



THE END

AND

Then

HANNAH BIRD

A



THE END

AND

Then

HANNAH BIRD

A

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym



THE END

AND

Then

HANNAH BIRD

A

Redaktorka inicjująca: Agnieszka Skowron
Tłumaczenie: Piotr Grzegorzewski (rozdz. 1–21), Marta Komorowska (rozdz. 22–35)
Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Kamila Reclaw, Katarzyna Juszyńska
Projekt okładki: Y'all, That Graphic
Przygotowanie polskiej wersji okładki: Maciej Trzebiecki
Opracowanie graficzne i skład: Maciej Trzebiecki
Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Dialogi z filmu *Totalna magia* ze s. 294–301 zaczerpnięto z tłumaczenia Grzegorza Janiaka.
Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

WYDAWNICTWO

Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Tytuł oryginału: *The End and Then*
Copyright © by Hannah Lindsay, 2022. All rights reserved.
Copyright for this edition © by Agora SA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4289-4

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Podziękowania

Od autorki

Poniżej przedstawiam **listę ostrzeżeń dotyczących treści książki**.
Jeśli uważasz, że ich nie potrzebujesz, sugeruję ich nie czytać.
Unikniesz spoilerów.

Wykorzystywanie seksualne, depresja, zespół stresu pourazowego.

*Moim starszym siostróm –
za ich niezłomną siłę i nieprzemijającą nadzieję.
Zdrowy cykl życia zaczyna się od nas.*

Rozdział 1

Poznaj moje dziecko.

Zoey odwraca się i pokazuje na słabo oświetlone pomieszczenie z ciemnymi drewnianymi boksami po prawej stronie oraz barem ciągnącym się wzdłuż ściany po lewej.

– Właściwie to dziecko Gary’ego, ale kupiłam je od niego, więc w tym wypadku można mówić o adopcji.

Uśmiecham się, ponieważ dokładnie takie lokale odwiedzałyśmy razem w college’u. Przypominają mi się też puby, do których wpadałyśmy, by skryć się przed deszczem podczas wakacji w Londynie przed ostatnim rokiem studiów.

– A gdzie Gary spędza emeryturę?

Zoey uśmiecha się i pokazuje na sufit.

– Na górze – odpowiada ze śmiechem. – Umówiliśmy się, że sprzeda mi bar za tyle, na ile mnie stać, ale w zamian nie będzie płacił za mieszkanie i pozostanie w nim aż do śmierci.

– Nie boisz się, że będzie cię nawiedzał? – pytam, śmiejąc się.

To naprawdę świetne miejsce. Zoey zdołała już nadać mu nieco swojego charakteru: w każdym kącie postawiła jakiś kwiat w doniczce, a podłogę przy wejściu wyłożyła czarno-białymi płytkami. Wzdrygam się wewnątrz na wspomnienie rozmów na FaceTimie, podczas których musiałam jej pomagać w wyborze tych cholernych płytek.

Zoey zdmuchuje z twarzy blond loki, które wysunęły się z koka, i opiera ręce na biodrach.

– Już mnie nawiedza. Przychodzi tu codziennie punkt piąta na kolację.

– Ale jestem przyjaznym duszkiem! – rozlega się za moimi plecami ochrypły głos.

Wystraszona, przykładam rękę do serca i się odwracam. Przede mną stoi mężczyzna mojego wzrostu, łysy i z piwnym brzuchem, który zapewne zawdzięcza temu, że zbyt często raczył się trunkami, które nalewał również gościom.

– Eden, prawda? Dużo o tobie słyszałem – mówi, wyciągając do mnie rękę.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – odpowiadam i mocno ściskam jego dłoń.

Ma najjaśniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam, niemal szare. Kiedy na mnie patrzy, pojawiają się w nich figlarne iskierki, a ja już czuję się jak stara przyjaciółka, a nie osoba, którą dopiero poznał. Ze swoją równo przyciętą siwą brodą przypomina świętego mikołaja z centrum handlowego.

– Przykro mi to mówić, ale ani jednej dobrej – odpowiada z przesadnie smutną miną, po czym szturcha porozumiewawczo Zoey, by ona też przyłączyła się do zabawy.

Moja przyjaciółka przewraca oczami, ale sądząc po jej minie, lubi te przekomarzanki. Cieszę się, że ma tu kogoś takiego, bo jej rodzina mieszka daleko stąd.

– No dobra, idę z Rose na kawę do kawiarni. Może dołączycie?

– Dzięki, Gary, ale nie. Eden jechała całą noc z Tennessee – wyjaśnia Zoey, biorąc mnie pod ramię. – Poprosimy Chase’a o pomoc w rozpakowaniu przyczepy. A potem Eden pewnie pójdzie spać.

Gary gwizdże i lustruje mnie wzrokiem. Domyślam się, że wyglądam równie źle, jak się czuję. Mam na sobie tę samą białą

koszulkę i te same spodenki, które włożyłam wczoraj przed załadowaniem rzeczy na przyczepę, i jestem rozczochrana po nocy spędzonej za kółkiem. Powinnam była przespać się przed jazdą, ale ostatnio mam kłopoty ze snem, a chciałam wyjechać, zanim do reszty stracę nerwy.

– Powiedz mu, że albo wyręczy was we wszystkim, albo będzie miał ze mną do czynienia – żartuje Gary. – Zobaczmy się potem, Eden?

Mrugam do niego porozumiewawczo.

– Pewnie, że tak. Postaram się następnym razem trochę lepiej pachnieć.

Wybuchą tubalnym śmiechem, a potem odwraca się i idzie do kawiarni, o której wspominał. Zoey zamyka za nami drzwi i patrzy na mój samochód i przyczepę.

– Nadal nie opanowałaś sztuki parkowania równoległego, co? – mówi, krzywiąc się.

Na swoją obronę mam to, że moja honda CR-V mieści się między liniami. Co innego przyczepa – ta zdecydowanie wystaje. Na szczęście jest sobota, nie ma jeszcze ósmej rano i Loveless chyba nie zdążyło się obudzić. Zastanawiam się, nie po raz pierwszy zresztą, co za smutas nadał temu miastu nazwę, która oznacza „bez miłości”, skoro dookoła rozciągają się tak piękne góry jak Colorado Rockies. Dochodzę do wniosku, że podoba mi się to. Smutas i ja pewnie byśmy się zaprzyjaźnili.

Zoey podchodzi do sąsiedniego sklepu i puka w szybę w drzwiach. „Taylor’s Landing – artykuły trekkingowe” wygląda na zamknięte, ale drzwi otwierają się wraz z dźwiękiem dzwonka i wychyla się zza nich facet pod trzydziestkę z dwudniowym zarostem, doskonale widocznym nawet z miejsca, w którym stoję. Przeczesuje palcami czarne loki i patrzy na Zoey.

– Co jest? – pyta.

– Chase, to Eden. – Zoey pokazuje na mnie, a ja macham do niego. – Moja przyjaciółka, o której ci mówiłam. Właśnie dotarła do miasta i potrzebujemy pomocy przy wyładunku jej pudeł. Mógłbyś nam pomóc?

Chłopak uśmiecha się i patrzy na mnie brązowymi oczami, od spojrzenia których z miejsca robi mi się cieplej. Opanowuję się i spuszczam wzrok.

– Pewnie. Po pierwsze, otwieramy dopiero za godzinę, a po drugie, ta przyczepa zastawia mi dojście do sklepu – odpowiada żartobliwie.

Jego niski i ochrypły głos nie przypomina żadnego innego, który słyszałam wcześniej, i przenika mnie do głębi. Rumienię się, słysząc komentarz dotyczący moich umiejętności parkowania.

– Pierwszy raz w życiu jechałam z przyczepą! – wyjaśniam.

Nie wiem, dlaczego obchodzi mnie jego opinia. Nie powinna. On i Zoey wymieniają uśmiechy. Chłopak odwraca się i zamyka sklep.

– A może po prostu zawieszysz Eden do mnie? – proponuje Zoey.

– Dzięki temu nie będziemy ryzykować życia przechodniów. Zostawisz jej samochód na moim podjeździe, a ja odwiozę cię z powrotem.

Nie podoba mi się perspektywa jazdy z obcym facetem, ale Chase odpowiada, zanim udaje mi się zaprotestować:

– Nie ma sprawy. Rozumiem, że dzisiaj piwo piję za darmo?

– Mam butelkę coorsa light podpisaną twoim imieniem – rzuca Zoey przez ramię i pobrzękując kluczami, rusza w tym samym kierunku, w którym poszedł Gary.

Mija „8th & Main” i skręca za róg. Podejrzewam, że za budynkami znajduje się parking. Centrum Loveless

przypomina to w naszym rodzinnym mieście – po obu stronach głównej ulicy stoją budynki w zabudowie szeregowej.

Odwracam się do Chase'a. Z lekkim uśmiechem podchodzi do mojego samochodu.

– Kluczyki w stacyjce, Eden?

Kiwam głową i zajmuję miejsce pasażera. Chase marudzi, gdy próbuje wcisnąć swoje długie nogi w przestrzeń, którą zostawiłam między siedzeniem a pedałami.

– Jezu, widzę, że nie jesteś zbyt wysoka, ale to już pewna przesada. Naprawdę chcesz, żeby poduszka powietrzna zmiażdżyła ci twarz?

Chwyta za drążek pod siedzeniem i przesuwają je maksymalnie do tyłu.

Te wszystkie docinki padają pięć minut po naszym poznaniu się. Ma szczęście, że nie jestem osobą, którą łatwo urazić. W sumie nawet mi się podoba, że nie ma w sobie nic z wymuszonej grzeczności, która tak często pojawia się przy poznawaniu nowych osób. Dzięki temu nie wydaje mi się tak bardzo obcy.

– Nie jestem znowu aż taka niska – protestuję. – Metr sześćdziesiąt dwa to przeciętny wzrost jak na kobietę. Tyle że wszystko poszło mi w tułów, więc nie sięgam nogami do pedałów.

Wzruszam ramionami i wlepiam wzrok w boczną szybę. Nie wiem, dlaczego jego obecność wydaje mi się taka przytłaczająca. Gdy włącza klimatyzację i prądy powietrza zaczynają krążyć wokół nas, wyczuwam od niego zapach sosny i mydła. Serce zaczyna mi szybciej bić.

Przepuszcza samochód Zoey, po czym rusza za nim. Jedziemy w kierunku jej domu, a ja się zastanawiam, jak często u niej gości. Nie wspominała o nim podczas naszych codziennych rozmów

telefonicznych, a zawsze opowiada o chłopakach, z którymi się spotyka. Odnoszę wrażenie, że facet zna drogę na pamięć. Zwalczam to uderzenie bezpodstawnej zazdrości.

– Eden... Chyba nie znam nikogo o takim imieniu – rzuca od niechcienia, jakby chciał rozładować atmosferę.

Podoba mi się to, w jaki sposób wypowiada moje imię, choć zwykle za nim nie przepadam.

– Między urodzeniem mojej siostry i mnie mama odnalazła Boga. I tak siostra dostała na imię Ella, a ja Eden – recytuję wyćwiczoną formułkę, którą często się dzielę ze świeżo poznanymi osobami. Zawsze śmieszyło mnie to, jak różna jest geneza tych imion (imię Ella mama zaczerpnęła z romansów, które uwielbiała czytać). – Nazwała mnie na cześć rajskiego ogrodu, z którego Bóg wyrzucił Adama i Ewę, gdy popełnili grzech pierworodny.

Mama nie cierpiała, kiedy opisywałam to w taki przyziemny sposób. „Twoje imię pochodzi od najdoskonalszego miejsca, jakie kiedykolwiek istniało na ziemi, miejsca wolnego od niedostatku i cierpienia” – twierdziła. „Skoro było takie idealne, to dlaczego Adam i Ewa chcieli z niego odejść?” – ripostowałam, a ona nigdy nie znalazła satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie.

Chase zerka na mnie kątem oka. Po chwili włącza kierunkowskaz i skręca w zadrzewioną ulicę, kilka przecznic od baru.

– Wierzysz w to wszystko? – pyta.

W jego głosie nie słyszę osądu. Wydaje się szczerze zaintrygowany.

– Kiedyś wierzyłam – odpowiadam, starając się, by w moim głosie nie wybrzmiała gorycz.

Nie chcę rozmawiać na ten temat z nieznanym (choć nieziemsko przystojnym) facetem po dwudziestu czterech godzinach bez snu i całym życiu pełnym frustracji.

Widzę, że zaciska zęby. Po chwili odpręża się, patrząc, jak Zoey wjeżdża na podjazd. Znam jej dom tylko z fotografii, ponieważ kupiła go jesienią. Na żywo wydaje się jeszcze bardziej uroczy. Szarzielony budynek w stylu rzemieślniczym stoi schowany za kilkoma dojrzałymi drzewami na końcu cichej uliczki. Wyróżniają go panoramiczne okna i niewielka weranda z białymi kolumnami. Moja przyjaciółka i tutaj dała wyraz swojemu zamiłowaniu do roślin, bo zawiesiła nad balustradami kosze pełne kwiatów. Pękam z dumy na myśl o tym, jak wspaniałe życie tu wiedzie.

W następnej chwili wstrzymuję oddech, bo Chase chwytą tył mojego zagłówek i patrzy w lusterka boczne, by z wprawą podjechać tyłem do bramy garażu. Rękaw jego czarnej koszulki podnosi się na bicepsie, odsłaniając krawędzie tatuażu, którego wzoru nie jestem w stanie rozszyfrować bez wpatrywania się w niego wprost, a nie tak jak teraz – kątem oka. Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę, gdy odwraca się, żeby zaparkować. Mruży oczy, a kąciki jego ust unoszą się w delikatnym uśmiechu. Gdy tylko się zatrzymuje, otwieram drzwi i wyskakuję z wozu, a późnowiosenne powietrze uderza mnie w twarz i uspokaja.

Chase wygląda na lekko zdezorientowanego moją ucieczką. Otwiera drzwi po swojej stronie i wysiada. Zoey podchodzi do mnie z uśmiechem na ustach i pokazuje na okna nad garażem.

– Masz tam własne mieszkanie z osobnym wejściem i aneksem kuchennym. Wprost idealne dla teściowej. Pralnia jest w głównym budynku. Twój klucz otwiera oba zamki – wyjaśnia, pokazując mi klucz wiszący na srebrnym łańcuszku z różową plakietką, na której kształtnym pismem wykalgafowała moje imię.

– Prowadź.

Wskazuje biegnące z boku garażu zewnętrzne schody, które wiodą do białych drzwi na piętrze.

– Powinnam rzucić jakiś żart o teściowej, ale jestem na to zbyt zmęczona – mówię, biorąc od niej klucz.

Jeszcze nie tak dawno to ja byłam tą rozważną, która ratuje ją z opresji. Jak widać, role się odwróciły.

– Myślę, że zapewnienie ci dachu nad głową dowodzi mojej przyjaźni – odpowiada Zoey z poważną miną.

– Szybko zapomniałaś o tych wszystkich nocach, kiedy podawałam ci elektrolity, gdy leżałaś na podłodze w łazience! – wołam do niej, idąc po schodach.

Chase parska śmiechem, a Zoey sięga do tyłu i uderza go w ramię.

Klucz przekręca się w zamku bez trudu i wchodzę do przytulnego pokoju będącego połączeniem salonu, kuchni i sypialni. Między oknami, które wychodzą na podjazd, stoi łóżko. Z okien widać miasto, a za nim góry. Na środku pokoju widzę niewielką sofę, a przed nią stolik kawowy, który kiedyś, gdy jeszcze chodziłyśmy do college'u, zrobił dla nas tata Zoey. Pod ścianą stoi szafka RTV.

Z tyłu dostrzegam aneks kuchenny z niewielkim stołem barowym i dwoma krzesłkami oraz drzwi, które, jak podejrzewam, prowadzą do łazienki.

– Nie żartowałaś z tym mieszkankiem dla teściowej. Jest świetne, Zo!

Moja przyjaciółka wzrusza ramionami.

– Zamierzałam wynająć je jakiemuś studentowi, ale zdecydowanie bardziej wolę mieć tu ciebie. Co moje, to i twoje. Za tą ścianą jest sypialnia gościnna. Ja śpię na parterze po drugiej stronie domu, więc nawet nie usłyszę, jeśli będziesz tu wyczytnąć

jakieś harce – wyjaśnia, a jej słowa tak bardzo rozpalają moje policzki, że teraz na sto procent pasują do moich włosów.

Chase śmieje się i pokazuje na drzwi.

– Zacznę wyładowywać te pudła – mówi i wychodzi.

Zoey odwraca się do mnie i kiwa za nim głową.

– No i? – pyta sugestywnie, unosząc brwi, po czym mruga do mnie niebieskimi oczami.

– Przystojniak. Zdecydowanie dziesięć na dziesięć. Dlaczego nie mi powiedziałaś, że kogoś masz? – pytam, myśląc, że chce wysłuchać opinii na temat swojej najnowszej zdobyczy.

Nawet nie jestem rozczarowana. No, może trochę.

Zoey chichocze.

– Nie pytam ze względu na siebie, tylko na ciebie. On nie jest w moim typie. Zbyt miły.

Słyszę kroki na schodach i po chwili Chase pojawia się w drzwiach, z łatwością niosąc najcięższe pudło, które spakowałam.

– Auć, Zo, to bolało – mówi żartobliwie. Zamieram, bojąc się, że słyszał nie tylko końcówkę tego, co mówiła, ale również początek. – Powiem Aaronowi, że flirtujesz z nim tylko dlatego, że jest dupkiem.

Zoey udaje, że poprawia włosy, chociaż cały czas są upięte w nieskazitelny kok na czubku głowy.

– Flirtuję z nim nie dlatego, że jest dupkiem, tylko dlatego, że ma niezły tyłek. To istotna różnica. – Odwraca się i wychodzi, by pomóc w rozładunku pudeł.

Chase przewraca oczami i się śmieje. Unosi karton i chwieje się na nogach.

– Jezu, Eden, co ty tam masz? Kamienie?

– Kolekcję kaset wideo ze specjalnymi wydaniem filmów z Shirley Temple – odpowiadam.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Serio?

– Nie – mówię, kręcąc głową. – To tylko książki.

Śmieje się z mojego żartu, choć w sumie jedyne, co zmyśliłam, to że mam tę kolekcję tutaj. W rzeczywistości leży w szafie w moim domu rodzinnym, co czyni ją niemożliwą do odzyskania.

– Gdzie mam to postawić? – pyta.

W jego brązowych oczach wciąż widzę błyski rozbawienia.

– Przy ścianie. Wieczorem wszystko rozpakuję – mówię, po czym odwracam się i odprowadzam wzrokiem schodzącą po schodach Zoey.

Wolę nie myśleć o jego oczach ani o tym, jak fajnie było go rozśmieszyć. Zaczynam żałować, że przed szesnastogodzinną podróżą nie wzięłam prysznic.

We troje udaje nam się rozładować przyczepę w pół godziny. Przed przeprowadzką sprzedałam meble, a sporo rzeczy oddałam do second-handu. Jestem pewna, że dwie kobiety w punkcie odbioru darów wzięły mnie za uciekinierkę. Zastanawiam się, czy historyjka, którą stworzyły w swoich głowach, była lepsza od historii mojego życia. Ciekawe, czy równie smutna.

Chase staje w drzwiach i kiwa do mnie.

– Jestem pewien, że zobaczymy się w barze. Niech Zoey zadzwoni do mnie, jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy zwrocie przyczepy. – Odwraca się i zbiega po schodach.

Zoey zaczyna iść za nim, ale po chwili się zatrzymuje i staje naprzeciwko mnie. Opieram się o kuchenny blat. Wszystkie mnie boli. Dopiero teraz czuję, jak bardzo jestem zmęczona. Widzę

w oczach przyjaciółki, że ma ochotę pogadać, ale pewnie zgaduje, że ja nie bardzo, bo tylko podchodzi i mnie obejmuje.

Od miesiący nie czułam dotyku drugiego człowieka. Kontakt fizyczny z kimś, komu ufam, sprawia, że się rozklejam. Niewiele mam takich osób na świecie. Zoey przykładła dłoń do moich włosów, a ja czuję się jak dziecko. W oczach wzbierają mi łzy, ale nie chcę płakać, nie przy niej. Chcę być sama. Odsuwa się, gdy czuje, że sztywnieję, ale trzyma mnie za łokcie, czekając, aż spojrzę jej w oczy.

– Wrócę wieczorem. Zadzwoń, jeśli wcześniej będziesz czegoś potrzebować – mówi. – Bardzo mi przykro, że musiałaś tu przyjechać, ale strasznie się cieszę, że tu jesteś.

Po tych słowach wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Słyszę, jak samochód wycofuje się z podjazdu. Zostaję sama ze swoimi myślami. Problem w tym, że ja nie chcę już być sama.

Chwytam pudło z kosmetykami, które trzymałam na tylnym siedzeniu samochodu, i zamykam się w łazience. Zoey zadbała o to, by były w niej ręczniki i papier toaletowy. Ściany pomalowane są na liliowo. Podejrzewam, że to pamiątka po poprzednim właścicielu. Moja przyjaciółka nienawidzi fioletu. Odkręcam wodę i czekam, aż zacznie lecieć gorąca. W końcu pomieszczenie wypełnia się parą i wreszcie robi mi się ciepło. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze, próbując patrzeć na siebie oczami Zoey i Chase'a. Na tle mojej bladej skóry worki pod oczami wyglądają jak siniaki. Szerokie ramiona obwisły od trzymania głowy w górze przez zbyt wiele godzin. Zawsze myślałam, że dzięki mojej atletycznej budowie ciała sprawiam wrażenie silnej, ale teraz wyglądam na kruchą. W końcu moje odbicie ginie pod warstwą pary.

Otwieram szafkę i wydajmuję trzy ręczniki. Dwa kładę na sedesie, żeby mieć do nich łatwy dostęp, kiedy skończę brać prysznic. Drugi rozkładam i klękam, żeby wsunąć go w szparę pod drzwiami łazienki. Kiedy w końcu jest w pełni zakryta, drżenie w moich rękach ustępuje i zaczynam się rozbierać. Jesteś bezpieczna, mówię sobie w myślach. Nikt cię nie zobaczy.

Woda pod prysznicem jest tak gorąca, że parzy moją skórę, ale zarazem łagodzi napięcie w plecach spowodowane godzinami siedzenia za kierownicą. Zmywam brud minionego dnia i pozwalam, by strumień wody kołysał mnie relaksująco. Zgodnie z sugestią Zoey staram się zapomnieć o powodzie swojego przyjazdu i po prostu cieszyć się tym, że tu jestem.

Wkładam za dużą koszulkę, którą spakowałem do tego samego pudła co kosmetyki. Jest miękka i powycierana ze starości. To stara koszulka mamy. Kiedy byłem mała, służyła mi za przytulankę. Mama opowiadała, że gdy mnie karmiła, pocierała materiał kciukami. Potem, kiedy nocowałem poza domem, wtulałem w nią twarz. Zapach mamy mnie uspokajał. Później koszulka stała się moja, a kiedy podczas pakowania znalazłem ją na dnie szuflady, okazało się, że jej widok nadal stanowi dla mnie pocieszenie.

Po przeniesieniu pięciu niepotrzebnych poduszek dekoracyjnych na ich prawowite miejsce na podłodze kulę się na białej lnianej pościeli, którą Zoey zaścieliła łóżko. Cieszę się, że jestem taka wyczerpana. Zmęczenie wnika w każdy centymetr mojego ciała, przyjemnym uczuciem ciężkości wypełnia nawet palce u nóg. Kiedy zamykam oczy, sen przychodzi niemal natychmiast. Po raz pierwszy nic mi się nie śni. Jestem wdzięczna za to małe błogosławieństwo.

Rozdział 2

Bez skrępowania ścieram sos z brody. Nic sobie nie robię z tego, że ktoś mógł to widzieć, bo właśnie jem najlepszego burgera, jakiego kiedykolwiek zaznały moje kubki smakowe.

– Santi, coś ty mi zrobił? – jęczę, a szef kuchni w barze Zoey i zarazem mój nowy ulubiony współpracownik zanosi się śmiechem.

Z cienkich kotlecików skapuje na moje dłonie zielony sos. Wydaje mi się, że oprócz nich w środku burgera widzę szarpaną wieprzowinę. Przyprawy są tak wyborne, że po wszystkim oblizuję palce.

– Colorado green chili – wyjaśnia kucharz, po czym bierze pusty talerz, podchodzi do blatu kuchennego, opłukuje naczynie z resztek, a potem wkłada do trzykomorowego zlewu, by się namoczyło. – Poczekaj, aż spróbujesz go z frytkami – odgraża się.

Jego czarne jak smoła włosy są krótko ścięte i siwieją na skroniach. Skóra ma kolor piasku w promieniach słońca, a ręce poruszają się zręcznie, gdy sieka pomidory na desce do krojenia. Te dwa krótkie zdania to najwięcej słów, jakie wypowiedział do mnie w ciągu ostatniej godziny, kiedy przygotowywaliśmy bar do otwarcia, jednak jego małomówność zupełnie mi nie przeszkadza. Słucha uważnie, co mam do powiedzenia, i nie mówi więcej, niż to konieczne. Szanuję to.

– Następnym razem na pewno – odpowiadam z tęsknotą w głosie, po czym wstaję i zawiązuję czarny fartuch wokół talii.

Brzuch mnie boli z przejedzenia. – Niewykluczone, że po tym obżarstwie będziesz musiał mnie stąd wytoczyć, zanim pojawią się pierwsi klienci.

W chwili, gdy wychodzę z kuchni, ze swojego biura położonego po drugiej stronie baru wynurza się Zoey. Zdejmuje okulary w czarnych oprawkach i ze śmiechem przeciera je rąbkiem bawełnianej bluzki. Wkłada okulary tylko wtedy, gdy długo pracuje przy komputerze, w innych sytuacjach zawsze nosi soczewki kontaktowe.

– Ostrzegałam, że w tym barze na dzień dobry przytyjesz jakieś pięć kilogramów.

Otwieram zmywarkę i dostaję w twarz chmurą pary, która niechybnie skręci moje proste kasztanowe włosy. Zaczynam ustawiać szklanki do drinków na pokrywającej blat macie, by obeschły.

– Myślałam, że wszyscy tutaj mają świra na punkcie fitnessu – zauważam.

Zoey wybucha śmiechem.

– Na to mają szansę tylko ci, którzy nie muszą spędzać całych dni w pracy. – Pomaga mi skończyć dekorowanie przystawek, po czym wyciera ręce w ścierkę, która wystawała z mojej tylnej kieszeni. – Co przypomina mi, że teraz, kiedy tu jesteś, wreszcie mam kogoś, z kim mogę podzielić się papierkową robotą.

Przytakuje, słuchając, jak powtarza mi plan, który sprawił, że rzuciłam kierowanie działem gastronomicznym w Marriotcie w Nashville, by przyjąć posadę menedżerki jej baru. Przeprowadzanie inwentaryzacji i zamawianie produktów to żmudne, ale konieczne obowiązki. Najbardziej chciałabym stać za barem, bo wtedy można podsłuchiwać rozmowy, których ludzie normalnie nie prowadziliby przy obcych. Maddie, nasza barmanka,

w poniedziałki i czwartki ma zajęcia w miejscowym college'u i wtedy będę ją zastępować.

Otwieram drzwi, bo zaraz czeka nas poniedziałkowa fala spragnionych lunchu gości. Podejrzewam, że będą dla Santiago większym utrapieniem niż ja. Tymczasem Zoey podlewa swoje roślinki.

– Zo, dlaczego na budynku nie ma szyldu z nazwą? – pytam.

Moja przyjaciółka krzywi się, wsuwając palec w ziemię w doniczce, by sprawdzić, czy nie trzeba jej podlać.

– I tak prawie wszyscy w mieście nazywają ten bar „U Gary’ego” i będą to robić przez następne pięćdziesiąt lat – odpowiada, opuszczając konewkę. – Kiedy go kupiłam, Gary powiedział, że mogę zmienić nazwę, więc kilka miesięcy temu zdjęłam szyld.

– I kiedy zawieszisz nowy? – Nalewam sobie coli z automatu.

Prostuje się i kładzie rękę na biodrze, wyraźnie zła na siebie.

– Gdy tylko zdecyduję się na nową nazwę.

– Nazwij to w takim razie „Bar Bez Nazwy”.

Zoey przewraca oczami, ale mam wrażenie, że przez chwilę rozważa ten pomysł, mimo że tylko żartowałam. Odwraca się w stronę drzwi, które właśnie się otwierają, i od razu nakłada maskę gościnnej właścicielki. Zaczesa blond loki za uszy, poprawia okulary, a na jej delikatnej twarzy pojawia się uśmiech.

– Siadajcie, gdzie chcecie. Zaraz przyniosę menu! – zwraca się słodko do pary w średnim wieku, która właśnie weszła. Przysięgam, jej głos jest o jakieś dwie oktawy wyższy niż normalnie.

Reszta popołudnia wygląda tak, że Zoey obsługuje stoliki, podczas gdy ja nalewam od czasu do czasu piwo i przyjmuję zamówienia od tych, którzy siedzą samotnie przy barze. Czuję się tak, jakbym znów była zarabiającą na chesne studentką, mimo

że od ukończenia studiów minęło pięć lat. Po południu strumyk gości wysycha, a Zoey wychodzi do sklepu, by dokupić trochę bułek. Dzięki temu przetrwamy do porannej dostawy. Podnoszę wzrok znad moich frytek, by zobaczyć, jak Gary zdejmuje lekką kurtkę, w której chodzi mimo wyjątkowo ciepłego dnia. Unoszę dłoń, by sprawdzić godzinę na zegarku.

– Jest piąta, punktualny jak zawsze – mówię.

Śmieje się do mnie, po czym siada przy barze i bierze frytkę z mojego talerza.

– Podobno kobiety gustują w punktualnych mężczyznach – odpowiada, przeżuając.

Jestem pewna, że swoją miną zdradzam, iż nie lubię dzielić się jedzeniem, ale Gary wydaje się tym nie przejmować.

– Nie zaszkodzi też trochę tajemniczości – zauważam. – Możesz zacząć od tego, żeby nie pokazywać mi, co masz w ustach, kiedy jesz.

Gary wybucha śmiechem.

– Jesteś dokładnie taka sama jak Zoey – stwierdza. – Pies, który szczeka, nie gryzie.

Chwyta kolejną frytkę, a ja podsuwam mu talerz, żeby tłuszcz nie kapał na szklanki, które właśnie ustawiłam na kontuarze. Pogodziłam się już z myślą, że to nasze wspólne frytki. Santi przechodzi obok nas, zmierzając do łazienki.

– Kiedyś mnie ugryzła i bolało jak cholera – rzuca z kamienną twarzą.

Na widok zszokowanej miny Gary'ego wybucham śmiechem. Mija dłuższa chwila, zanim udaje mi się uspokoić.

– Powiedz mi, Gary – mówię. – Jak to się stało, że dwudziestosiedmioletnia dziewczyna kupiła bar, który miałeś od tylu lat?

Wyciera usta po połknięciu ostatniej frytki.

– Cóż, moja świętej pamięci żona Wendy i ja nie mogliśmy mieć dzieci. Kiedy Zoey zaczęła u mnie pracować, poczuliśmy się tak, jakby była córką, której zawsze pragnęliśmy, a miło jest utrzymać biznes w rodzinie...

Uśmiecham się, nalewając mu sprite'a, a potem zabieram pusty talerz i odwracam się, żeby odnieść go do kuchni. Przejmuje go jednak Santi, który zdążył już wrócić z toalety.

– Co dwie córki, to nie jedna! – woła przez ramię.

Gary szczerzy zęby w uśmiechu i unosi szklanke.

– Święte słowa – mówi, patrząc na mnie.

Opuszczam głowę i wbijam wzrok w dłonie. Na szczęście wraca Zoey i następuje szybka zmiana tematu. Moja przyjaciółka narzeka na to, że w „Safeway” mają same beznadziejne bułki. Gary się z nią zgadza, a Santi bierze od niej torbę i idzie do kuchni, żeby spełnić prośbę staruszka o przyrządzenie mu tego, co zwykle – cokolwiek to jest. Santi wydaje się wiedzieć, bo nie pyta o szczegóły, tylko kiwa głową i znika na tyłach.

Po jakimś czasie Gary kończy jeść, życzy nam wszystkim miłego wieczoru, po czym wychodzi. Nim drzwi zdążą się zamknąć, ktoś je przytrzymuje; do środka wchodzi Chase, a mnie z trudem udaje się powściągnąć emocje, gdy nawiązuję z nim kontakt wzrokowy. Za nim idą jacyś dwaj faceci, ale nie zwracam na nich uwagi. Zauważam na twarzy Chase'a świeżą opaleniznę po dniu spędzonym na słońcu. Na głowie ma czarną czapkę odwróconą daszkiem do tyłu, przez co włosy nie opadają mu na czoło. Piegi na jego nosie pociemniały, dodając mu chłopięcego uroku, którego wolałabym nie dostrzegać.

Idzie z uśmiechem w moją stronę, ale zanim udaje mu się odezwać, robi to mężczyzna za nim.

– Zo, słyszałem, że twoim zdaniem mam niezły tyłek! – krzyczy do mojej przyjaciółki, która właśnie kroi limonki.

Zoey upuszcza nóż i piorunuje Chase'a wzrokiem. Zakłopotany Chase klepie kolegę w pierś. Jego kumpel jest niższy od niego, czarnoskóry i umięśniony jak zawodnik MMA. Ma piękne jadeitowe oczy i to dokładnie taki typ przystojniaka jak ci, z którymi Zoey chodziła w college'u.

– Stary, powiedziałem ci to w tajemnicy – rzuca Chase przez zaciśnięte zęby.

– To ja powiedziałam to w tajemnicy tobie! – woła Zoey.

– Ziomek zawsze ważniejszy od dziwek, Zo – odpowiada żartobliwie mężczyzna.

Zoey przykładła dłoń do serca.

– Czy ty właśnie nazwałeś mnie dziwką, Aaron? – pyta groźnie, ale na jej ustach błąka uśmiech.

Takie gierki sprawiają jej przyjemność. Nie znam nikogo, kto byłby w nich lepszy od niej. Jestem pewna, że to ona je wymyśliła.

– Wygląda na to, Zo, że ktoś opowiedział mu o twojej przeszłości – żartuję i daję jej kuksańca.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiada i mruga porozumiewawczo do Aarona.

Mężczyzna uśmiecha się do niej, po czym przenosi wzrok na mnie i wyciąga rękę ponad barem.

– Cześć, jestem Aaron Moore, facet z niezłym tyłkiem – żartuje.

Śmieję się, podając mu dłoń, i jednocześnie udaję, że obcinam wzrokiem jego zadek. Wzruszam ramionami.

– Eden Ross. Widywałam lepsze.

Chase i trzeci mężczyzna wybuchają śmiechem, a Aaron wydyma wargi, udając, że się dąsa. Nalewam coorsa light z beczki i stawiam

na serwetce przed Chase'em, podczas gdy Aaron kontynuuje pogawędkę z Zoey. Chase zerka na mnie z uśmiechem.

– Pamiętałaś – mówi z uznaniem, a jego głos jest ciepły i szorstki niczym opony na skąpanej w słońcu żwirowej drodze.

Uśmiecham się z rezerwą, ponieważ teraz, gdy jest tak blisko, widzę, że jego oczy nie są po prostu brązowe, ale mają barwę miodu, i boję się, że mina zdradzi moje myśli.

Odwracam się do trzeciego mężczyzny, równie wysokiego jak Chase, ale z długimi blond włosami związanymi w koński ogon i z wąsami, których chyba nie zapuścił dla żartu. Przedstawia się jako Zander i zamawia piwo IPA. Mimo zarostu ma tak dziecinną twarz, że proszę go o dokument tożsamości, a pozostali, słysząc to, znów wybuchają śmiechem. Policzki i czoło Zandera są zaróżowione w tych samych miejscach, w których opalił się Chase. Przez to jego szare oczy wydają się lodowate.

– Gdzie was dzisiaj poniosło? – pyta Zoey, dolewając piwa imbirowego do whiskey, którą przygotowała dla Aarona.

– Na Mount Bierstadt – odpowiada Zander, siadając przy barze. Pozostali idą w jego ślady. Akcent chłopaka z wybrzeża nie umniejsza jego hipisowskiego wyglądu. – Za wcześnie na inne czterotysięczniki.

– Czterotysięczniki? – powtarzam, mgliście przypominając sobie ten termin, ale nie będąc pewna jego znaczenia.

– Szczyty górskie mające powyżej czterech tysięcy metrów – wyjaśnia Chase. – W Kolorado mamy ich od cholery, ale w maju jest jeszcze trochę za wcześnie na te najtrudniejsze.

Wychyla szklanekę, a ja staram się ze wszystkich sił nie gapić na jego szyję, gdy przełyka.

Zoey uśmiecha się i ściska mnie za ramię.

– Eden uwielbia górskie wędrówki. Musicie ją kiedyś zabrać ze sobą.

Chase unosi brwi, a jego koledzy z uznaniem kiwiają głowami znad swoich drinków.

– Uwielbiałam górskie wędrówki w Tennessee – przyznaję. – Ale nasze góry to przy waszych kopce kreta. Nie zwracajcie uwagi na to, co ona mówi.

Czy chciałabym chodzić po tak imponujących górach? Pewnie, że tak. Czy chcę się zbłąźnić przed tym przystojniakiem i jego kumplami? A w życiu.

– Możemy zacząć od czegoś łatwego, żebyś się przyzwyczaiła do wysokości – proponuje życzliwie Chase. – Zobaczysz, że szybko zaczniesz biegać po najwyższych szczytach jak kozica.

Potakuję, doceniając to, że pomaga mi zachować twarz. Nowo przybyli zaczynają narzekać, że są głodni. Zoey przyjmuje zamówienia, a ja ponownie napełniam opróżnione już szklanki.

Podczas gdy mężczyźni jedzą, obsługuję pozostałych, nielicznych o tej porze klientów. Słucham staruszki opowiadającej o planach na lato związanych z jej ogródkiem, ale umysł mam zajęty zupełnie czymś innym. Zmuszam się, żeby nie sprawdzać co chwilę, czy Chase na mnie patrzy. Odkrywam też, że chodzę wyprostowana bardziej niż zwykle. Gdy staruszka się oddala, poprawiam włosy. Pozwalam sobie na ukradkowe spojrzenia dopiero wtedy, gdy do Chase'a i jego kolegów podchodzi Zoey.

Kiedy zbiera puste talerze, Aaron kładzie rękę na dolnej części jej pleców i szepcze do ucha coś, co wywołuje jej śmiech. Po chwili chłopak odwraca się i daje wszystkim do zrozumienia, że jest strasznie zmęczony, przeciągając się i przesadnie ziewając. Klepie Chase'a i Zandera po ramionach, po czym wychodzi.

Zoey wraca z zaplecza bez talerzy i rozgląda się po sali, po czym sprawdza godzinę na telefonie.

– Dasz sobie radę, prawda, Eden? – pyta z miną niewiniątka. – Mam za sobą długi dzień. Przy tak słabym ruchu możesz zamknąć wcześniej.

Nawet na nią nie patrzę, bo nie odrywam wzroku od Chase'a. Zagryzam wargi, by powstrzymać uśmiech. Chłopak mruży oczy, ale poza tym jego twarz pozostaje nieruchoma.

– Tak, idź do domu i odpocznij trochę. Poradzimy sobie z Santim.

Zoey dziękuje mi i idzie do biura po torebkę, masując przy tym szyję, jakby jej zdrętwiała. Potem macha mi na pożegnanie i rusza do wyjścia, a ja udaję, że nie widzę jej niemal tanecznego kroku. Wymieniamy z Chase'em spojrzenia. Chociaż wiele się zmieniło, niektóre rzeczy pozostają takie same.

* * *

Kończę liczyć utarg i zamykam kopertę w sejfie. Santi wychodzi z kuchni ze słuchawkami w uszach i z bluzą kucharską przewieszoną przez ramię. Dopiero co uraczył mnie darmowym koncertem, śpiewając głośno po hiszpańsku podczas zmywania naczyń. Nie skomentował teraz tego, więc ja też milczę.

Zamykam za nami drzwi, a potem ruszam w kierunku domu Zoey, w przeciwną stronę niż parking, na który zmierza Santi.

– Podwieźć cię do domu? – woła za mną.

Odwracam się do niego i macham ręką.

– Nie trzeba, dzięki. To niecałe pół godzinki drogi, a ja lubię chodzić.

Kiwa głową i rusza dalej. Po chwili znika za rogiem.

Wyciągam z kieszeni telefon i przeglądam listę kontaktów. Wybieram ten z głupawym zdjęciem Elli. Rozlega się pojedynczy

sygnał, po czym po drugiej stronie odzywa się znajomy głos.

– Eden! Zastanawiałam się, kiedy planujesz do mnie zadzwonić – mówi Ella podniesionym głosem. – Serio przeprowadziłaś się do Kolorado? Co takiego, do cholery, jest w Kolorado?

Nawet jej karcący ton stanowi dla mnie źródło pocieszenia.

– Zoey ma tutaj bar. Zgodziłam się jej pomóc w prowadzeniu go.

Jest trochę zimno, a ja nie wzięłam ze sobą kurtki. Za dnia czuje się już lato, ale wieczorami wciąż panuje wiosenny chłodek.

– Jeśli potrzebowałaś zmiany otoczenia, dlaczego nie przyjechałaś do Teksasu, żeby zamieszkać ze mną? Wiesz, że mamy wolny pokój. – W jej głosie słyszę urazę.

Wiem, że Elli zależy na tym, by się mną zająć. Ja jednak nie chcę być tak blisko, żeby próbowała mnie naprawiać.

– Myślałam, że miała się do ciebie wprowadzić mama?

– Taki był plan, ale zadzwoniła kilka tygodni temu i powiedziała, że na razie nie może, bo potrzebują jej w kościele. Najwyraźniej pastor Jakiś tam nie może żyć bez swojej księgowej.

Słyszę grzmot dudniący nieprzyjemnie blisko, ale jestem już w połowie drogi do domu. Mam nadzieję, że dotrę tam przed burzą.

– To gdzie w takim razie się zatrzymała? – pytam.

– Została w domu. Myślę, że przeniosła się do twojego starego pokoju – odpowiada Ella nieco łagodniejszym tonem. – Sama nie wiem, Eden. Pytam, jak sobie radzi, ale trudno jej o tym mówić.

– Wiem, jakie to uczucie – mamrocę.

Chociaż zawsze byłam bardziej otwarta niż nasza matka, odziedziczyłam po niej niechęć do omawiania swoich trudnych spraw z innymi. To Ella rozważa je wszystkie w naszym imieniu.

Kilka przecznic od domu Zoey czuję na ramieniu pierwszą kroplę deszczu. Zaraz za nią spada druga i zanim zdążę zareagować,

zaczyna się burza na całego. Przyspieszam kroku, gdy nagle przy chodniku zatrzymuje się biały chevrolet silverado i opuszcza się szyba.

– Podwieźć cię? – krzyczy Chase, starając się przedrzeć przez szum deszczu.

– Kto to? – pyta zaniepokojona Ella.

– Przyjaciel – wyjaśniam, z każdą chwilą moknąc coraz bardziej.

– Jesteś tam niecały tydzień, a już masz przyjaciół? – Moja siostra to sceptyczka, która uwielbia siać wątpliwości. Im dłużej trwa nasza rozmowa, tym bardziej obie jesteśmy na nie narażone.

– To może być morderca!

– Zamierzasz mnie zamordować? – krzyczę do Chase'a.

Moja biała bluzka jest już całkowicie przemoczona. Mimo to on nie odrywa wzroku od moich oczu. Podziwiam go za to.

– Nie! – krzyczy ze śmiechem. – Wskakuj!

Podbiegam do auta i otwieram drzwi od strony pasażera.

– Słyszałaś, El? Nie jest mordercą. Pogadamy później! – Rozłączam się, ucinając jej protesty i udaremniając próbę wyprowadzenia mnie z równowagi, po czym wsiadam do samochodu.

– Jesteś moim bohaterem, nawet jeśli mnie zamordujesz – mówię, a Chase rusza.

Jego śmiech sprawia, że robi mi się gdzieś w środku ciepło.

– To była twoja siostra? – pyta, nie odrywając wzroku od jezdni.

Moja przemoczona bluzka jest tak przezroczysta, że przez materiał widać znamię obok pępka.

– Tak. Jest bardzo opiekuńcza – wyjaśniam.

W samochodzie jest czysto, ale panuje nieład – trzy puste kubki po kawie toczą się po podłodze podczas naszej niespiesznej jazdy.

Pada teraz tak mocno, że wycieraczki nie nadążają ze ścieraniem deszczówki.

– Jesteście sobie bliskie?

Zerka przelotnie na moje piersi, po czym odwraca wzrok z powrotem na drogę i prostuje się. Odchrząkuje, a ja jestem pełna uznania, że stara się być dżentelmenem.

– Tak bliskie jak to możliwe, biorąc pod uwagę, że jest piętnaście lat starsza ode mnie i mieszka w Teksasie z dwójką nastoletnich dzieci – odpowiadam i wzruszam ramionami.

Moja siostra lubi mówić, że byłam jej próbnym dzieckiem. Nawet będąc na studiach, często mnie odwiedzała i zapraszała do akademika na nocowanie. Wyszła za Jarretta w tym samym roku, w którym nasza mama wzięła ślub z Markiem. Kiedy się przeprowadzili, bo Jarrett zdobył wymarzoną pracę, byłam zdruzgotana.

– A ty masz rodzeństwo? – pytam.

Chase włącza migacz, bo zbliżamy się do mojej ulicy. Błysk pioruna oświetla jego twarz. Kręci głową i uśmiecha się do mnie.

– Nie. Moi rodzice osiągnęli ideał już przy pierwszej próbie. Nie było potrzeby ryzykować drugiej.

– Jednak. To ma sens – komentuję.

Parkuje na podjeździe przed domem i gasi światła. Wciąż leje jak z cebra, więc nie od razu sięgam do klamki.

– Co masz na myśli? – pyta Chase z udawaną urazą.

W końcu ośmiela się patrzeć na mnie dłużej niż dwie sekundy. Jego spojrzenie wędruje w dół mojego ciała, a na jego twarzy pojawia się wyraz prawie niezauważalnej walki, jaką ze sobą toczy, by zmusić się do oderwania ode mnie wzroku.

– Po prostu wydajesz się bardzo pewny siebie – mówię, przechylając głowę i uśmiechając się, gdy ponownie patrzy na mój

dekolt. – A do tego nad wyraz dojrzały. – Kładę nacisk na ostatnie słowo, czym przykuwam jego uwagę.

Patrzy mi w oczy. Nie wygląda na zakłopotanego tym, że został przyłapany.

– Każdy się taki wydaje przy Aaronie – żartuje, ale po chwili poważnieje. – Dawniej miałem sporo za uszami. Ale kiedy kilka lat temu umarł mój tata, musiałem się zmienić ze względu na mamę i firmę. Tata ciężko na nią pracował.

Smutek sprawia, że jego oczy stają się niemal czarne i mam wielką ochotę go przytulić. Upominam się w duchu, że przecież jest właściwie obcym człowiekiem, nawet jeśli czuję co innego. Zadowolam się poklepaniem go po dłoni, która spoczywa na drążku skrzyni biegów.

– Bardzo mi przykro, Chase.

To innego rodzaju strata niż ta, której doznałam ja, więc nie do końca mogę to sobie wyobrazić, ale jest mi go bardzo żal.

– Dzięki, Eden – mówi, patrząc na rękę, której dotknęłam.

Deszcz pada coraz słabiej, a w końcu całkowicie przestaje. W samochodzie zapada cisza. Zdaję sobie sprawę, że trochę przesadziłam z tymi wyrazami otuchy. Otwieram drzwi i zeskakuję na ziemię z największą gracją, na jaką mnie stać.

– Przykro mi, że poruszyłam ten temat – mówię, odwracając się, by spojrzeć na Chase'a.

Jego wyraz twarzy łagodnieje.

– Niepotrzebnie, nic się nie stało – odpowiada i kręci głową. – Lubię o nim mówić, wspominać go. Z czasem staje się to coraz łatwiejsze.

Potakuję, ale kojarzy mi się to z plastrem, który został zerwany tyle razy, że przy kolejnym już nie boli tak bardzo. Chciałabym

wiedzieć, co się mówi w takich chwilach. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to:

– Dzięki za ratunek.

Mruży oczy, gdy zamykam za sobą drzwi. Macha mi na pożegnanie, po czym wycofuje auto i odjeżdża.

Rozdział 3

Stawiam laptop na kilku większych książkach, po czym otwieram go i klikam w ikonkę Zooma. Nerwowo poprawiam włosy i przeczesuję palcami długie kosmyki. Mimo że loguję się na spotkanie kilka minut przed czasem, Stephen już na mnie czeka.

– Dzień dobry, Eden. Jak tam?

Poprawiając się w fotelu, trąca laptop i kamera pokazuje go teraz pod niekorzystnym kątem, tak że mam przed sobą jego podwójny podbródek. Szkła jego okularów w drucianej oprawie odbijają refleksy światła. Drapie się po swojej szpakowatej bródce i w końcu stawia laptop na biurku.

– Wszystko dobrze, Stephen. Padam z nóg, ale wszystko gra.

Przytakuje ze współczuciem. Od miesiący wysłuchuje moich skarg na to, że źle sypiam. Gdy zauważyła na wpół rozpakowane pudło stojące na kuchennym blacie, marszczy brwi.

– Gdzie jesteś? – pyta.

Nic mu nie umyka.

– Kilka dni temu przeprowadziłam się do Kolorado – odpowiadam, kładąc dłonie na kolanach. – Pamiętasz, moja przyjaciółka Zoey zapraszała mnie do siebie...

– Pamiętam, że całymi miesiącami jej odmawiałaś. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Pyta o to delikatnie, tak jak o wszystko. Nie okazuje zaskoczenia, choć musi być zdziwiony. Wie już, że nie podejmuję pochopnych decyzji. A decyzję o przeprowadzce o dwa tysiące kilometrów

od miejsca naszej ostatniej sesji, która odbyła się dwa tygodnie temu, chyba można uznać za pochopną.

– Znalazłam list – mamroczę. – W swojej skrzynce pocztowej. Nie wysłał go pocztą, po prostu go do niej wrzucił. – Zaciskam mocniej palce na kolanach, by powstrzymać drżenie dłoni, gdy przypominam sobie jego bazgroły na niestemplowanej kopercie.

– Przeczytałaś? – pyta, poprawiając okulary.

Widzę troskę na jego twarzy. A także zrozumienie.

– Nie, nie przeczytałam – kłamię.

Nie jestem pewna, czy uwierzył, grunt, że to pozwala mi zakończyć ten temat. List leży gdzieś na polu soi w Kansas, ale słowa, które zawierał, są wypalone w moim mózgu.

– No dobrze, Eden – mówi Stephen i przechodzi od jednego niewygodnego tematu do drugiego, zupełnie jakby na tym polegała jego praca. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zacząć od twoich traumatycznych wspomnień. Dzięki temu potem będziesz miała trochę czasu, żeby się odprężyć.

Kiwam głową.

– Pamiętaj, w każdej chwili możesz przerwać – zapewnia mnie. – Możesz powiedzieć mi tyle, ile zechcesz. Chciałbym, żebyś skupiła się na dniach poprzedzających tamto wydarzenie. Opowiedz o tym, co robiłaś, jak się czułaś... O wszystkim, co wyda ci się istotne.

Ponownie potakuję i biorę notes, by przejrzeć notatki, które robiłam od naszej ostatniej sesji.

– Gotowa?

„Nie” – odpowiadam w myślach, ale jeszcze raz kiwam głową. Wygląda na to, że to wszystko, co umiem.

– W takim razie śmiało – zachęca mnie Stephen łagodnym głosem.

W oczach mam łzy. Zamazują mi obraz do tego stopnia, że nie mogę przeczytać tego, co napisałam. Zamykam notes i przytulam go do piersi, chcąc dodać sobie sił. Zaciskam powieki, żeby nie widzieć, że na mnie patrzy, i mówię z pamięci, tak jak mnie uczył.

Kiedy przyjeżdżam do domu rodziców, pada śnieg. W Alabamie nigdy nie ma śniegu w Boże Narodzenie. Wyobrażam sobie, że gdy obudzę się rano, pola, na których bawiłam się w dzieciństwie, będą pokryte białym puchem. Mama na pewno jest podekscytowana.

Wchodzę do środka z torbą przewieszoną przez ramię. Z Nashville do położonego tuż za granicą stanu Ardmore są dwie godziny jazdy. Cieszę się, że udało mi się wziąć wolne na święta. W hotelarstwie to się prawie nigdy nie zdarza. Mama biegnie mnie uściskać, zanim jeszcze zamknę za sobą drzwi. Tak dobrze ją widzieć.

– Kochanie, czy możesz uwierzyć, że pada śnieg? – mówi, ciągnąc mnie za sobą i zamykając przy tym drzwi. – Będziemy mieli białe święta!

Jest niższa ode mnie, ma nieco ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Za każdym razem, gdy ją widzę, jej rude loki są coraz gęściej poprzetykane siwizną, a wokół ust ma więcej zmarszczek. To dlatego, że tak często się śmieje. Mama jest najszcześliwszą osobą, jaką znam.

Zostawiam torbę w swoim dawnym pokoju, jedynym pomieszczeniu z różowymi ścianami w całym domu. Mark, mój ojczym, nalegał, by wszystko było beżowe. Dzięki temu dom miał nie stracić na wartości. Ale mama, w weekend, w który akurat wyjechał z miasta, kupiła puszkę różowej farby.

– Każda dziewczynka powinna mieć różowy pokój – stwierdziła.

Jadłam lody na patyku tak, jak niektórzy palą papierosy: jeden za drugim. W końcu moje usta stały się niebieskie. Tymczasem mama malowała ściany w moim pokoju i śpiewała we własnym niepowtarzalnym stylu piosenki Elvisa Presleya.

To wspomnienie sprawia, że się uśmiecham, mimo że po policzkach spływają mi łzy. Nie otwieram oczu. Przełykam z trudem ślinę i kontynuuję:

– Czekaliśmy na ciebie z ubieraniem choinki – mówi mama, podając mi kubek z gorącą czekoladą. W telewizji jak zwykle w święta leci Rudolf, czerwono nosy renifer. Wszystkie chwile naszego życia są zaklęte w ozdobach choinkowych. Mama opowiada mi historię każdej z nich, gdy zawiesza je na drzewku.

– Tę kupiłam z okazji twojej pierwszej gwiazdki – mówi, a jej oczy błyszczą. Trzyma ozdobę w kształcie półksiężyca, na którym śpi dziecko. Ozdoba jest ciężka, więc zawsze trafia na najgrubszą gałąź. To było też pierwsze Boże Narodzenie po tym, jak mama opuściła mojego ojca. Ja oczywiście tego nie pamiętam, ale ona uwielbia opowiadać o swoich pierwszych świętach tylko z nami, dziewczynkami. Szczyci się tym, że odważyła się go zostawić.

Nie znałam go. Mama i Ella zaczęły o nim mówić dopiero, gdy byłam starsza. A i wtedy były to tylko uwagi na temat tego, że odziedziczyłam po nim podbródek lub robię taką samą minę jak on, kiedy jestem zła. Gdy mama ponownie wyszła za mąż, a Ella się wyprowadziła, tamte szczegóły powoli zaczęły się zacierać. Ojciec znęcał się nad nią i Ellą zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Zostawiła go, gdy miałam zaledwie kilka miesięcy, nie chcąc wychowywać drugiego dziecka w takim środowisku.

– Tę zrobiła Ella, kiedy pojechała na obóz na rok przed twoimi narodzinami. – Mama trzyma w górze wyrzeźbioną z drewna literę E, dyndającą na czerwonej wstążce. Z nas dwóch to Ella jest artystyczną duszą. Ja mam plany, ona – marzenia.

Mark wchodzi do salonu z głównej sypialni. Jest już ubrany w swoją świąteczną piżamę, składającą się z czerwonych flanelowych spodni i takiej samej koszuli. Guzik przy kołnierzyku ma rozpięty, przez co widać siwe włosy na klatce piersiowej. Takiego samego koloru są włosy na jego łysiejącej głowie i krzaczaste wąsy.

– Cześć, skarbie! Udało ci się! – Obejmuje mnie mocno, swym wielkim brzuchem o mało nie wytrącając mi z ręki kubka z gorącą czekoladą.

Mama unosi dwa gołąbki dyndające na złotym haczyku.

– To z roku, w którym się pobraliśmy – ekscytuje się. Mark pochyla się, by pocałować ją w usta, po czym chwytą ją za rękę i wciąga w coś w rodzaju tańca. W rzeczywistości tylko kołyszą się w przód i w tył. Mama jest wspaniałą tancerką, Mark nigdy za nią nie nadażał.

– To wtedy twój Romeo poznał swoją Julię – mruczy przy jej ustach. Mama cofa się ze śmiechem.

– Wiesz, że nie cierpię tego imienia – karci go. To prawda. Przez całe moje życie poprawiała każdego pracownika banku, dyrektora szkoły czy człowieka z wydziału ruchu drogowego, który odważył się przeczytać jej imię na głos. – Jestem Julie, nie Julia – podkreślała. Tylko Mark nazywał ją Julią i przeżył.

Kiedy zrobił to przy mnie pierwszy raz (miałam wtedy siedem lat), pomyślałam, że jest supermanem. Mama nawet się nie wzdygnęła. A wręcz się rozpromieniła.

Moja babcia, podobnie jak mama, była romantyczką. Do tego stopnia, że do czterdziestki zdążyła mieć pięciu mężów. Zmarła, zanim się urodziłam, ale uwielbiam słuchać opowieści o jej podróżach. Babcia nie potrafiła nigdzie zagrać miejsca. Rodzinna legenda głosi, że oglądała *Romea i Julię* w jakimś teatrze w Kentucky, kiedy była w ciąży z moją mamą. W chwili, gdy Julia wyznawała ukochanemu miłość, mama tak mocno kopnęła babcie, że ta wiedziała, że musi ją tak nazwać.

Mark próbuje obrócić mamę w tańcu, ale tym razem chwytą ją nie za tę rękę, co trzeba. Kiedy ją unosi, mama wypuszcza gołąbki z ręki. Dźwięk rozbijającego się szkła nie może się równać z bólem, jaki odczuwa mama, gdy uświadamia sobie, co się stało. Podskakuję wystraszona. Gorąca czekolada pryska z kubka na moje ramię, a potem na dywan.

– Och, Julio, przepraszam. Nie chciałem... – Mark próbuje ją przytulić, ale mama się odsuwa. Po chwili smutek znika z jej twarzy. Ja jednak widzę, jak bardzo jej przykro. Umie wiele ukryć, ale nigdy wyrazu jasnozielonych oczu, które po niej odziedziczyłam. One zawsze mówią prawdę.

Biorę spod zlewu zmiotkę i szufelkę i zgarniam kawałki szkła. Mama klęka przy mnie, chwytą odłamaną skrzydełko i obraca je między kciukiem a palcem

wskazującym. Widzę, jak drży jej dolna warga. W końcu wzdycha przeciągle i kładzie ten kawałek wśród innych.

– Tak mi przykro, kochanie. Sprawimy sobie nowe – przekonuje mnie słabym głosem. Wyciąga do mnie rękę, bym pomogła jej wstać. Chwyta moją dłoń i równocześnie rzuca ostatnie spojrzenie na zawartość szufelki, nim przejdę do kuchni i wyrzucę odłamki. Poklepuje Marka po ramieniu. Teraz to ona pociesza jego.

– To nie twoja wina – szepcze. – Straszna ze mnie niezdara.

Tym jednym stwierdzeniem zdejmuję z niego winę i przenosi na siebie. Jak zawsze.

Otwieram oczy i widzę, że Stephen wpatruje się we mnie w zamyśleniu, zastanawiając się nad czymś, co powiedziałam. Wycieram rękawem łzy i odchrząkuję, by pozbyć się ucisku w gardle, który nie pozwala mi oddychać.

– Na dzisiaj chyba starczy – mówię.

Własny głos brzmi obco w moich uszach.

– Wykonałaś wspaniałą pracę. – W jego głosie słychać uznanie.

Dziwię się, bo przecież nawet nie dotarłam do naprawdę bolesnych wspomnień.

– Nie wiem, dlaczego muszę to robić – dziwię się. – Mówienie o tym niczego nie zmieni. Nie naprawi tego, co się stało.

– Masz rację – odpowiada szczerze. Znów drapie się po bródce, zastanawiając się, co powiedzieć. – To nie zmieni tego, co się stało. Ale im więcej o tym mówisz, tym mniejszy jest twój ból. To, co ci się przydarzyło, należy do ciebie. W opowiadaniu o swoich przeżyciach tkwi siła, Eden.

Kiwam grzecznie głową, bo chcę już zakończyć połączenie. Uzgadniamy, że kolejna rozmowa odbędzie się za jakieś dwa tygodnie i nawet udaje mi się do niego uśmiechnąć. Zamykam laptop, wstaję i podchodzę do łóżka. Przez okno widzę wracającą ze spaceru Zoey z kawą w ręce. Napotyka moje spojrzenie i macha, żebym wyszła, ale kręcę głową i zasuwam żaluzje, by nie widzieć jej rozczarowania.

Chwilę potem kulę się pod kocem i całkowicie zakrywam głowę. Szloch kołysze moim ciałem jak fale rozbijające się o poszarpaną skałę. Usiłuję pamiętać o oddychaniu. Tęsknię za objęciami mamy. Pod nosem przeklinam Stephena. Wcale nie czuję się silna.

Rozdział 4

Najdziwniejsze w życiu po tragedii bywa to, że czasami człowiek czuje się zupełnie normalnie. W niektóre poranki budzę się i niebo jest tak niebieskie, że aż bołą mnie oczy, a moje serce wydaje się lekkie jak piórko, cierpienie za to na tyle odległe, że prawie o nim nie pamiętam. W takie dni moje życie jest tak proste i łatwe, że nawet nie przychodzi mi do głowy, by podważać jego sens.

Potem jednak ktoś wypowiada zdanie, które porusza czułą strunę i dopada mnie wspomnienie czegoś, czego nie mogę przeżyć ponownie, albo jakaś złośliwa myśl wdziera się w mój skądinąd przeciętny dzień i nagle zmieniam się w otwartą ranę. Jestem niczym obnażony żywy nerw i nawet najdelikatniejsze dotknięcie odczuwam tak, jakby ktoś przejechał mną po tarce. Najprostsze zadania wydają się niemożliwe do realizacji i nieistotne.

Toczę tę wewnętrzną walkę przez cały czas, gdy próbuję wprowadzić do systemu nasze faktury. Żeby uniknąć kolejnego zmoknięcia, niewielką odległość z domu do pracy pokonałam autem. Podczas jazdy słyszałam jakiś dziwny szum. Najpierw pomyślałam: „Coś jest nie tak z samochodem. Muszę zadzwonić do Marka”. W następnej chwili uświadomiłam sobie, że to niemożliwe. I chociaż w końcu odkryłam, że to tylko gałąź zaczepiła się o podwozie i szorowała po jezdni, nie mogłam już odegnąć ponurych myśli. Teraz siedzę tutaj i nawet coś tak prostego jak dźwięk klawiszy klikających podczas pisania doprowadza mnie do szału.

– Eden, możesz mi pomóc?! – woła Maddie.

Nie domknęłam drzwi biura. Przechyliłam głowę, by dostroić się do gwaru po drugiej stronie. Nie słyszę, by było dużo gości, w każdym razie nie tylu, by potrzebny był drugi barman. Jednak już po krótkim czasie pracy z Maddie przekonałam się, że nie jest ona zbyt samodzielna.

– Eee... den... – jęczy.

Nienawidzę, gdy robi z mojego imienia dwa osobne słowa.

Wychodzę z programu księgowego i wstaję od biurka. Zanim dotrę do drzwi, ścieram z twarzy irytację. Maddie stoi przy otwartej lodówce na beczki, pod jednym z nalewaków, i patrzy na mnie z rozpaczą, szeroko otwierając brązowe oczy. To chucherko z patchworkiem tatuaży na ramionach, które przypominają mi dziecięce naklejki. Jej wojskowe buty i czarne podarte dżinsy w połączeniu z ciemnym eyelinerem i kolczykiem w nosie sprawiają, że mam wrażenie, jakby wróciły nastoletnie czasy, gdy byłam fanką zespołu Paramore.

Rozglądam się po sali i widzę, że Zoey jest zajęta rozmową z grupą obładowanych plecakami turystów. Kiedy przenoszę wzrok z powrotem na Maddie, spostrzegam, że wyciągnęła beczkę do połowy i nie może jej ruszyć dalej.

Podchodzę i pochylam się, by pomóc. Gdy tylko chwytam beczkę, Maddie ją puszcza i się odsuwa.

– Och, dzięki Bogu, próbowałam ją wyjąć przez jakieś dziesięć minut – mówi, masując swoje szczupłe ramiona.

Opieram stalową beczkę na udzie. Zerkam na gości czekających przy barze na piwo. Rzucają mi spojrzenia, które zdają się mówić: „No co się tak guzdrzesz?”

Wzdycham z irytacją, ale zachowuję uprzejmy wyraz twarzy.

– Nie ma sprawy, Maddie.

Czy nie jestem za młoda na myśli w stylu: „Ach, ta dzisiejsza młodzież”?

– Pójdiesz po drugą beczkę? Na zapleczu jest wózek, na którym możesz ją przywieźć.

Kiwa głową, odwraca się na pięcie i rusza do kuchni. Mam nadzieję, że Santi to zobaczy i zaoferuje jej pomoc. Prostuję się, unosząc pustą beczkę. Jest całkiem lekka, nie rozumiem więc, o co to całe halo. Przecież nie przeszła jeszcze nawet do tej trudniejszej części zadania.

Santi wychodzi przez podwójne drzwi z nową beczką na wózku. Maddie idzie za nim, zadowolona, że udało jej się wciągnąć kolejną osobę w wykonywanie pracy za nią. Santi widzi, że na niego patrzę, i przestaje gwizdać, po czym wzrusza ramionami. Razem wstawiamy nową beczkę do lodówki, podczas gdy Maddie rusza na koniec baru, by obsłużyć opaloną brunetkę o kanciastej twarzy, z krótkimi, muskającymi jej brodę lokami i małym, zadartym nosem. Maddie odkapslowuje butelkę piwa i podsuwa ją kobiecie, zalotnie obracając na palcu kosmyk farbowanych na srebrno włosów.

Dziękuję Santiemu, a on bez słowa odwraca się i wycofuje do swojej świątyni.

– Przepraszam, chłopaki, dajcie mi jeszcze chwilę. Tylko to podłączę i będziecie mieli swoje piwa.

Stękam, przebiegając dłońmi po rurce, która prowadzi do nalewaka. Przechylam beczkę na kolano i podłączam głowicę do kega. Dźwignia jest śliska i wyslizguje mi się z ręki.

To dzieje się tak szybko, że nie mam nawet szansy, by zasłonić twarz. Piwo pod ciśnieniem zalewa każdy otwór z przodu mojego ciała. Wypełnia oczy, uszy, nawet nos. Jedyne, co czuję, to chmiel. Kaszlę i pluję, a mężczyźni naprzeciwko krzyczą i się śmieją. Zoey

dobiega do mnie szybciej, zanim Maddie zdąży się choćby odwrócić. Przyjaciółka zdejmuje beczkę z mojej nogi, podłącza ją, upewnia się, że wszystko gra, po czym zamyka lodówkę.

Policzki mi płoną, całe moje ciało oblewa fala gorąca. Popełniłam typowy błąd nowicjusza. Nie do wiary, że przytrafiło mi się to przy gościach. Piwo kapie mi z nosa i opuszek palców. Dotyk mokrego materiału na ramionach i piersiach napawa mnie obrzydzeniem. Na szczęście udało się oszczędzić większą część dzinsów. Przynajmniej nie wyglądam, jakbym zmoczyła się w spodnie.

Prostuję się i napotykam spojrzenie Zoey. Zaciska mocno usta, podejmując heroiczną próbę zachowania powagi. Tusz do rzęs spływa mi do oczu, które zaczynają mnie szczypać. Podejrzewam, że wyglądam jak pijany klaun. Usta przyjaciółki drżą od z trudem powstrzymywanego śmiechu. Zasłania je dłonią.

– Chyba pojedę dziś trochę wcześniej do domu – mówię.

Staram się trzymać nerwy na wodzy ze względu na facetów przy barze. Jestem zirytowana i zmartwiona, ale nie zamierzam tego okazywać.

– Bez sensu, po prostu biegnij do sklepu obok. Chase bez przerwy dostaje darmowe próbki ubrań. Na pewno znajdzie ci jakąś koszulkę – odpowiada Zoey.

Weszła w tryb „ciocia dobra rada”, by nie zwracać uwagi na to, jak śmiesznie wyglądam. Bierze z pojemnika kilka papierowych ręczników i rzuca je Maddie, która w końcu zarejestrowała, że powinna pomóc.

– Nie zamierzam pokazywać się Chase’owi w takim stanie. – Wskazuję na przylegającą do ciała bluzkę i spływający po twarzy makijaż.

Zoey prychnęła.

– Mam plany na wieczór, pamiętasz? Obiecałaś, że popilnujesz baru. Ktoś musi się upewnić, że nie będzie tu pożaru, a Santi ma tyle na głowie, że nie może być jeszcze niańką. – Patrzy wymownie na Maddie. – Więc nie ma tu miejsca na twoje marudzenia.

Piorunuję młodą barmankę wzrokiem. Zanim udaje mi się zadać pytanie, Zoey odpowiada:

– Ona jest młoda, a ty jesteś perfekcjonistką. Głowa do góry.

Wiem, że ma rację i że po prostu jestem wredna. Biorę od niej papierowe ręczniki, żeby zetrzeć z twarzy lepka substancję. Smród jest wszechogarniający, naprawdę cuchną. Zoey kładzie rękę na biodrze i już wiem, że tej potyczki nie wygram. Zamiast zrobić jej przyjemność i się z nią zgodzić, po prostu odwracam się i ruszam do wyjścia.

Po raz pierwszy mam okazję zobaczyć wewnątrz „Taylor’s Landing”. Gdy wchodzę, dzwonek oznajmia moje przybycie. Drzwi zamykają się za mną łagodnie. Pachnie tu tak mocno drewnem i tytoniem, że prawie nie czuję już piwa. Albo po prostu przyzwyczaiałam się do tego smrodu. W „Taylor’s Landing” można kupić odzież trekkingową dla kobiet i mężczyzn, grille, buty i w ogóle wszystko, co może być potrzebne do wędrówki po górach. Pod moimi stopami skrzypi podłoga z tego samego drewna dębowego, które pokrywa ściany. Całość sprawia wrażenie wnętrza chaty z bali.

Poza młodą parą przeglądającą dział z produktami firmy CamelBak jedynym klientem jest tu trzymetrowy wypchany niedźwiedź grizzly w kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. W łapie trzyma tabliczkę z napisem: „Witamy w Taylor’s Landing!”

Z korytarza za kontuarem wychodzi Chase. Kiedy na mnie patrzy, na moich ramionach pojawia się gęsia skórka. Za każdym

razem, gdy go widzę, nie mogę wyjść ze zdziwienia, że jest taki piękny. Mężczyźni nie mogą być tacy piękni.

Wydaje przeciągły gwizd.

– Co ci się stało?

Odnoszę wrażenie, że ma ochotę się roześmiać, ale nie chce mnie urazić. Ma na sobie błękitną koszulkę, dzięki której jego oliwkowa skóra wydaje się jeszcze ciemniejsza niż zwykle. Po raz pierwszy, odkąd go znam, jest ogolony i zauważam niewielką bliznę na jego brodzie. Mam wielką ochotę przycisnąć do niej usta, ale ostatecznie wracam do rzeczywistości i przypominam sobie, co mnie tu sprowadza.

– Mały wypadek podczas wymiany beczek – wyjaśniam, po czym żartuję, zanim on to zrobi: – Powinieneś zobaczyć tego drugiego gościa.

Podchodzi ze śmiechem do kontuaru. Z jakiegoś powodu wcale mi się nie podoba to, że się śmieje. Czuję, jak narasta we mnie wściekłość, chociaż bliskość Chase'a ją rozprasza. Staje zaledwie kilka centymetrów ode mnie, a potem sięga do przodu i sunie palcem po mojej skórze, od obojczyka do szyi, wywołując dreszcz, który przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa. Następnie bierze palec do ust i zlizuje z niego piwo. Na rękach i nogach mam gęsią skórę i brakuje mi tchu w piersiach. Chase opiera rękę na blacie.

– Eden, dlaczego zawsze przy mnie jesteś mokra?

Gdyby nie to, że już i tak nie mogę oddychać, pewnie w tej chwili zabrakłoby mi powietrza. Otwieram usta, ale nie chcą się z nich wydobyć żadne słowa. Na widok mojej miny Chase wybuchą śmiechem. Zerkam na parę stojącą kilka metrów od nas, ale są pochłonięci rozmową. Najwyraźniej nie słyszeli jego słów.

Podąża za moim spojrzeniem i uśmiecha się, po czym mówi:

– Nie martw się, Geronimo uważa moje żarty za bardzo śmieszne.

– Geronimo?

– Niedźwiedź. – Pokazuje na niego na wypadek, gdybym jakimś cudem przegapiła to olbrzymie stworzenie. – Zanim się na mnie wkurzysz, dodam, że to nie ja go zastrzeliłem. Można powiedzieć, że go odziedziczyłem. – Prostuje się, po czym pyta: – W czym mogę ci pomóc, Eden?

Drgam na dźwięk swojego imienia. Nagle odzyskuję czucie w rękach i nogach oraz zdolność mówienia.

– Nie mogę jechać do domu i się przebrać, bo Maddie zostałaby sama, a jest, łagodnie mówiąc, niekompetentna. Zoey powiedziała, że masz jakieś próbki koszulek. Może mógłbyś mi którąś pożyczyć? To znaczy, nie obrażę się, jeśli tego nie zrobisz, mogę też jakąś kupić, nie twierdzą, że musisz dawać mi coś za darmo, po prostu... – Przerrywam.

To do mnie niepodobne, że tak paplam. Myślę, że jeszcze nigdy nie powiedziałam do niego za jednym razem tylu słów.

Mruży oczy, a ja staram się zapamiętać, żeby później się na niego obrazić za to, że to wszystko go tak bardzo bawi, podczas gdy ja jestem tak oszołomiona, że ledwo mogę stać. Odwraca się bez słowa i idzie na zaplecze. Po chwili wraca z zieloną koszulką L.L. Bean. Podaje mi ją z uniesionymi brwiami.

– Będzie ci pasować do oczu.

Chwytam koszulkę i spoglądam na nią, marząc, bym przestała się rumienić i mogła spojrzeć Chase'owi w oczy. To wszystko przez Zoey. To ona przyjęła do pracy Maddie i zmusiła mnie do jej niańczenia. I to przez nią pracuję w tym debilnym miasteczku w jej debilnym barze obok sklepu tego debilnego faceta. Co za idiotka.

Uświadamiam sobie, że mówię to wszystko w myślach. Mamroczę pod nosem słowa podziękowania i odwracam się z nadzieją, że w samotności uda mi się jakoś uleczyć urażone ego. Chase chrząka, więc odwracam się z powrotem. Intensywność w końcu znika z jego spojrzenia. Chwyta krzesiwo turystyczne leżące na kontuarze i obraca je w dłoniach. Powiedziałabym, że wygląda na nieco zdenerwowanego, choć nie wiem, czym miałyby się zdenerwować.

– W ramach zapłaty za koszulkę może pozwolisz się zaprosić w góry?

Zaczynam protestować, ale on unosi rękę.

– Na pierwszy raz nie wyznaczę zbyt intensywnej trasy. Potraktuję cię ulgowo – obiecuje.

Przestępuję z nogi na nogę. W moim wnętrzu toczy się wojna między hormonami a rozsądkiem, który podpowiada, że nie jestem na odpowiednim etapie, by zaczynać coś nowego.

Chase zauważa moje wahanie.

– Bar jest zamknięty w niedzielę, a mnie mógłby zastąpić Aaron – próbuje przekonywać. – Moglibyśmy pójść jutro. Albo w następny weekend.

Gdy na niego patrzę, mam ogromną ochotę po prostu się zgodzić. Chciałabym zapomnieć o wszystkim, co mnie tu przygnało, i zwyczajnie wybrać się na wędrowkę z tym uroczym facetem. Chciałabym wygenerować nieco więcej wiary w siebie, bo nie mam najmniejszych wątpliwości, że byłby w stanie mnie w sobie rozkochać. Cały bagaż wspomnień, który ze sobą noszę, powstrzymuje mnie jednak przed tym krokiem.

– Nie wydaje mi się, żeby to dobry pomysł, Chase. Przykro mi – mówię, żałując tych słów już w chwili, gdy je wypowiadam.

Wyraźnie smutnieje, ale już po chwili dochodzi do siebie.

– Jasne, rozumiem – odpowiada, choć wiem, że niczego nie rozumie. Gdy słyszę jego zduszony głos, ogarnia mnie przemożne pragnienie, by pojął, że to nie jego wina. I że nie ma co tracić na mnie czasu. – Nie musisz mi się odwdzięczać za koszulkę – dodaje.

Przygryzam wargę. Zerka na moje usta, po czym pospiesznie odwraca wzrok.

– Chciałabym, wierz mi. To po prostu niewłaściwa chwila.

Moje słowa są jak balsam na jego zranione ego. Spogląda na mnie z nadzieją, a ja natychmiast zaczynam żałować, że pozwoliłam sobie wypowiedzieć je na głos.

– No cóż, Eden, dobra wiadomość to ta, że jestem cierpliwy – mówi.

Figlarny błysk w jego oczach odbiera mi mowę.

Odwracam się i wychodzę, bo boję się, że zaraz wycofam się ze swoich słów i zgodzę na wszystko. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Jeszcze raz dzięki za koszulkę! – wołam chwilę przed tym, jak drzwi się za mną zamykają.

Przez szybę widzę jeszcze, jak do mnie macha. Wchodzę do baru, gdy Zoey właśnie go opuszcza. Idzie tak sprężystym krokiem, że w innych okolicznościach na pewno miałabym mnóstwo pytań. Jestem jednak zbyt oszołomiona spotkaniem z Chase'em. Przyjaciółka zerka na koszulkę w moich rękach, po czym ściska mnie za ramię.

– Widzisz? Nie bolało – triumfuje. – I nawet wybrał całkiem ładną!

– Pasuje do moich oczu – odpowiadam z roztargnieniem.

Zoey marszczy brwi, ale nie komentuje. Ruszam do biura, żeby się przebrać. Maddie unosi na chwilę wzrok, by się upewnić,

że wróciłam. Wkładam koszulkę i patrzę na swoje odbicie w małym lustrze, które Zoey zawiesiła na ścianie. Skórę mam zarumienioną, a oczy szeroko otwarte. Na ten widok w mojej głowie rozlega się pytanie: „Coś ty sobie, do cholery, myślała?”

Rozdział 5

Wszystkie okna na parterze domu Zoey są otwarte. Gdy wchodzę po schodkach na werandę, zamiast smrodu farby i rozpuszczalnika, którego się spodziewałam, czuję zapach cynamonu. Otwieram drzwi i mój wzrok natychmiast pada na bułeczki, które stygną na wyspie kuchennej. Przesuwne szklane drzwi, które prowadzą na podwórko, są szeroko otwarte i w domu panuje przeciąg.

– Nic dziwnego, że Chase nie przestaje o tobie gadać! – rozlega się jakiś nieznany mi głos.

Odwracam się i widzę siedzącą w jadalni kobietę o popielatych włosach spiętych luźno na karku. Ma na sobie nosidełko z dzieckiem i przygląda mi się z rozbawieniem, oblizując palce z karmelu. Spogląda na Zoey, która zabezpiecza listwę przypodłogową niebieską taśmą malarską, i woła:

– Jest naprawdę ładniutka!

Zoey unosi wzrok i uśmiecha się do mnie. Podczas gdy wciąż nie mogę się otrząsnąć z tego, co nieznajoma powiedziała o Chasie, moja przyjaciółka wstaje i wyciera ręce o uda.

– Eden, poznaj Rose. Ona i jej mąż są właścicielami „8th & Main”

Rose uśmiecha się do mnie, po czym pokazuje na pulchne niemowlę z jasnożółtą kokardą we włosach i skwaszoną buzią.

– A to jest Cleo – przedstawia swoją córeczkę. – Nie przejmuj się jej wyglądem, po prostu odziedziczyła po mnie wiecznie

zagniewaną minę.

Cleo łypie na mnie dużymi oczami w kolorze orzechów laskowych, takimi samymi jak u jej matki, i marszczy brwi. Chyba jej się nie spodobałam.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tu jesteś i jej w tym wszystkim pomożesz – ciągnie Rose. – Jestem o wiele lepszym nadzorcą niż robotnikiem.

Śmieję się i zanoszę do jadalni pędzle, które kazała mi kupić Zoey. Wszystkie meble zostały wyniesione, a drewnianą podłogę przykrywa płachta z folii. Czeka tam na mnie puszka śmiałej granatowej farby, którą moja przyjaciółka odłożyła na czas prac wykończeniowych. Nigdy nie wahała się nadawać swoim wnętrzom wyrazistego charakteru, ale nigdy też nie miała cierpliwości do parapetów i krawędzi.

– Upiekłam bułeczki, częstuj się! – mówi Rose. – Są... – Przykłada palce do ust i cmoka je.

W jej prawym policzku pojawia się dołeczek. Jest chyba najbardziej uroczą osobą, jaką znam.

Odkładam pędzle, szybkim krokiem podchodzę do wyspy kuchennej i biorę z patelni cynamonową bułeczkę z posypką z orzechów. Próbuję i z trudnością powstrzymuję się przed jękiem rozkoszy. Cóż za eksplozja smaku. Gdybym była supermenką, wypieki byłyby moim kryptonitem.

– Rose, uwielbiam cię – wzdycham.

Śmieje się w odpowiedzi, kołyszając Cleo. Próbuje ją uspokoić, bo mała zaczęła marudzić.

– Santi twierdzi, że jemu też wyznałaś miłość. Zaczynam podejrzewać, że po prostu kochasz każdego, kto cię karmi.

Zoey wybucha śmiechem, akurat wkładając kawałek bułeczki do ust.

– Jak pies – stwierdza i zaczyna jeść.

Przewracam oczami.

– Kurczę, najpierw Chase, teraz Santi, czy dla ciebie nie ma żadnej świętości? – mówię, wcinając kolejny kęs.

Wmawiam sobie, że to żaden podstęp. Ja tylko rozmawiam. Niestety, Rose nie daje się na to złapać.

– Dopadam ich przed poranną kawą – tłumaczy rzeczowo. – Wtedy są bezbronni.

– Rzuca się na tę ich bezbronność – tłumaczy Zoey – jak kobieta, która dwa dni temu rozpoczęła dietę.

– Zupełnie jakbyś jakiejś potrzebowała – odpowiada Rose.

Cleo zasnęła i złożyła usta w dzióbek. Nie komentuję tych słów. Po latach mówienia Zoey, jak bardzo zazdrozczę jej krągłości, wie, co myślę o jej modnych dietach.

Nic dziwnego, że faceci na nią lecą. Dodatkowe kilogramy poszły jej w tyłek i cycki, co sprawia, że ma idealną figurę klepsydry. Dzięki temu oraz nieskrępowanej pewności siebie działa na nich jak narkotyk. Zrobiłabym wszystko, żeby mieć takie ciało jak ona zamiast mojego, z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami. Gdyby nie piersi, czułabym się jak nastolatka.

Myję ręce w kuchennym zlewie, a potem wracam do jadalni, wyciągam z torby pędzle i naciągam gumkę recepturkę na otwartą puszkę, żeby mieć gdzie usunąć nadmiar farby z pędzla. Zaczynam od dużej ramy okiennej, którą Zoey już okleiła taśmą.

– Jak sobie radzi Julie? – pyta Zoey.

Maluje ścianę szerokimi pociągnięciami wałka, a Rose nadzoruje pracę ze swojego punktu obserwacyjnego w kuchni, uważając przy tym, by dziecko nie znajdowało się za blisko oparów. Wzdycham ciężko. Nie podejrzewałam się o taką reakcję.

– Przypuszczam, że najlepiej, jak tylko może. – Przygryzam dolną wargę. – Z nikim nie gada.

Próbowałam nawiązać z nią kontakt. Po przyjeździe wysłałam jej esemes, żeby wiedziała, że dotarłam bezpiecznie na miejsce. Wymagała tego przy moich poprzednich podróżach. Tym razem jednak, zamiast zwykłej lawiny pytań, odpowiedziała po prostu: *Kocham cię.*

Zoey zatrzymuje się w połowie ściany i patrzy na mnie z dziwną miną. Z wyrazem zmieszania i czymś, czego nie potrafię zidentyfikować.

– Dziwne. Na studiach nie było dnia, żebyś z nią nie rozmawiała.

To prawda. Nawet kiedy skończyłam studia i pracowałam na cały etat, mama dzwoniła do mnie codziennie, gdy jechałam do pracy. Przez większą część swojego życia miała w domu jakieś dziecko i boleśnie dotknął ją syndrom pustego gniazda. Jednak po tamtym pamiętnym Bożym Narodzeniu nasze rozmowy telefoniczne stały się pełne napięcia i niezręczności, a ostatnio się urwały. Żadna z nas nie potrafi pocieszyć tej drugiej z powodu głębi własnego smutku.

– A co się stało? – pyta Rose bez skrępowania.

Zrobiłaby tym na mnie wrażenie, gdybym nie była tak zaskoczona. Wzruszam ramionami i wracam do pracy. Nie chodzi o to, że jej nie ufam. Po prostu nie umiem o tym mówić nawet sobie, a co dopiero komuś innemu. Zoey przenosi wzrok ze mnie na Rose, która unosi dłonie w geście niewinności.

– Przepraszam, chyba przesadziłam.

– Nic się nie stało – szepczę.

Zapada niezręczna cisza. W końcu Zoey robi to, co wychodzi jej najlepiej, czyli przerywa milczenie.

– Eden ma problemy z ojcem – wyjaśnia.

Dopiero po chwili dociera do mnie sens tych słów, a kiedy to następuje, o mało nie upuszczam pędzla. Cisza, jaka zapada, jest prawie namacalna. Rose otwiera szeroko oczy, jakby przygotowywała się na to, co nadchodzi, a Zoey patrzy wyzywająco.

Absurdalność tego, co właśnie powiedziała, zagłusza smutek, który mogła tym stwierdzeniem wywołać, i zaczynam się tak intensywnie śmiać, że nie mogę oddychać. Leżę na plecach, dysząc między kolejnymi wybuchami śmiechu. Również Zoey skręca się w ataku histerycznego śmiechu, a Rose wygląda tak, jakby nie wiedziała, czy do nas dołączyć, czy wezwać karetkę, która zabierze nas do wariatkowa.

– To jest niedopowiedzenie roku! – krzyczę, gdy w końcu odzyskuję oddech.

Cleo już nie śpi i wpatruje się w nas z bezbrzeżną pogardą. Od tak dawna się nie śmiałam, że ból mięśni brzucha, który mnie dopada, jest dla mnie czymś niemal zupełnie nowym. Zoey zawsze miała zdolność zdejmowania ze mnie ciężaru. Zupełnie jakbym była dzieckiem przygniecionym przez samochód, a ona matką o nadludzkiej sile, która ten samochód podnosi.

W tym momencie zaczyna dzwonić telefon Rose. Wyjmuje go z tylnej kieszeni, odwraca się od nas, przykłada do ucha i osłania dłońią, by odciąć od hałasu, który robimy. Patrząc na Zoey i wystawiam język. Ona z kolei do mnie cmoka. Parskam śmiechem.

– To był Mitchell – odzywa się Rose po chwili. – Złapał gumę, a lewarek jest w moim samochodzie. Muszę do niego jechać. – Bierze torebkę, ale na szczęście zostawia bułeczki. Oddycham z ulgą. – Miło było cię poznać, Eden. Do zobaczenia!

Siadam i patrzę przez okno, jak idzie do samochodu i delikatnie wyjmuję Cleo z nosidełka. Przypina dziecko do fotelika i całuje w czoło. Mała uśmiecha się do matki.

– Przepraszam, chyba nie zrobiłam zbyt dobrego wrażenia – mówię.

Właśnie dlatego staram się unikać rozmów o swojej przeszłości. Nie chcę, żeby ludzie czuli się niezręcznie. Jest mi teraz strasznie wstyd.

– Spoko! – odpowiada Zoey. – Mitchell pracuje w budowlance. Nie ma tygodnia, żeby nie najechał samochodem na jakiś gwóźdź. Zapewniam cię, że to nie była fałszywa wymówka.

Sprawia wrażenie szczerzej, zresztą nie należy do osób, które kłamią. Mimo to czuję się trochę jak chmura burzowa, która wygoniła wszystkich z imprezy na świeżym powietrzu.

– A poza tym – dodaje, poważniejąc – Rose jest równie popieprzona jak my. Po prostu dobrze się z tym kryje.

Patrzę, jak Rose obchodzi swoją czerwoną kię i siada za kierownicą. Gdy unosi wzrok, by sprawdzić lusterka, zauważa mnie. Uśmiecha się i macha na pożegnanie. Po chwili odjeżdża. Zastanawiam się, co za ciężar nosi i jakim cudem tak dobrze przy tym wygląda.

– Co twoim zdaniem mówił jej o mnie Chase? – pytam jakby nigdy nic.

Zanurzam pędzel w puszcze z farbą o jeden raz za dużo i muszę odsączyć jej nadmiar przed ponownym zanurzeniem. Wydało się.

– Dlaczego pytasz? – Zoey unosi brwi i uśmiecha się do mnie kpiąco.

Zauważam, że kropla granatowej farby spadła na jej blond kucyk, ale ze złości jej o tym nie mówię.

– Z czystej ciekawości. – Kończę malować ramę okna i staję w rogu pokoju. Wchodzę na drabinkę, którą postawiła tam Zoey, i zaczynam od góry. Moja przyjaciółka wzdycha z irytacją. – No dobra, może i jestem emocjonalnie niedostępna, ale na pewno nie ślepa! – kapituluję.

– Wiedziałam – komentuje z triumfalną miną.

Po chwili poważnieje.

– To dobry człowiek, Eden. Mogłaś trafić na gorszego.

Odwracam się, żeby nie zobaczyła, jak bardzo mnie to stwierdzenie dotknęło. Przez lata rzadko się z kimś umawiałam i poza jednym nieudanym związkiem z facetem, który tuż po studiach nadal musiał się wiele nauczyć, nie było to nigdy nic poważnego. W tej chwili ogarniają mnie jeszcze większe wątpliwości, czy mam coś do zaoferowania takiemu mężczyźnie jak Chase. Czuję się jak kula do burzenia budynków, pozostawiająca po sobie tylko zniszczenie.

– A jak ci idzie z Aaronem? – pytam, odwracając się, żeby na nią spojrzeć.

Przestaje malować, a w jej oczach pojawia się błysk. Zamiłowanie do plotkowania o własnych podbojach miłosnych przeważa nad potrzebą bycia moją powierniczką. Dzięki temu jestem bezpieczna.

Rozpoczyna długi monolog. Opowiada, że poznali się, gdy Aaron, który jest nauczycielem, zaczął pomagać Chase'owi w sklepie przez kilka wieczorów w tygodniu. Wspomina, jak przychodził do baru i brał dwie cole w kubkach na wynos tylko po to, by ją zobaczyć i trochę z nią poflirtować. Potem zaczęli się potajemnie spotykać. Prosi, żeby nikomu o tym nie mówić. Zapewnia, że to nic poważnego.

Gryzę się w język, nie chcąc jej psuć nastroju, i zapewniam, że są tak dyskretni jak pryszcz, który dojrzewa na moim nosie. Zoey nie jest przyzwyczajona do tego, że faceci, z którymi się spotyka, stają się jej bliscy. Boję się, że gdybym uświadomiła jej, że czuje coś do Aarona, ze strachu wzięłaby nogi za pas. Może Aaron jest flirtarzem, ale ma w sobie to coś, co sprawiło, że wpadła po uszy. Jest nie tyle zdobyczą, ile nagrodą.

Po południu, gdy kończymy ostatnie poprawki, wyciągamy butelkę wina. Sączę chardonnay, podczas gdy Zoey powoli odkleja taśmy. Okazuje się, że wyszły nam tak proste linie, że nie powstydziliby się ich profesjonalni malarze. Pomagam jej wyznaczyć położenie dwóch złotych ramek z sylwetkami kobiet. Wbijamy kołki i wieszamy na nich obrazki. Chwiejąc się na nogach, przesuwamy meble z powrotem do pokoju, a kiedy wszystko jest już gotowe, cofamy się i podziwiamy nasze dzieło. Dzięki mojej skrupulatności i fantazji Zoey pokój wyszedł dokładnie taki, jak planowała.

– Wygląda świetnie – stwierdza.

To prawda. Podczas gdy mnie zawsze pociągały minimalizm i różne odcienie bieli, Zoey nigdy nie bała się jaskrawych barw i ekstrawaganckich elementów wystroju. Dlatego nasze studenckie mieszkanie przypominało wystawę sklepu z artykułami do dekoracji wnętrz.

– Mogłabyś zostać projektantką, gdybyś chciała – stwierdzam.

Zoey powoli odciska swoje piętno na każdym pomieszczeniu w tym domu. Sprawia, że stają się one przytulne, ale zarazem inspirujące. Mogłyby trafić na okładkę czasopisma wnętrzarskiego.

– Może i tak. – Przechyliła głowę, jak zawsze krytyczna wobec swojej pracy, po czym odwraca się do mnie i uśmiecha. Unosi

swój kieliszek, a ja stukam w niego swoim. – Ale wolę pomagać
ludziom topić smutki.

Obejmuję ją, zdając sobie sprawę z dwuznaczności tych słów.

– Wypijmy za to.

Rozdział 6

Do szklanki wypełnionej lodem wlewam rum kokosowy i wódkę jagodową, po czym dodaję odrobinę soku z ananasa i limonki. Gary i Zoey patrzą w milczeniu, jak wydaję z plastikowego opakowania czerwony cukierek w kształcie patyczka i mieszam nim koktajl. Obrzuć dopełnia starta skórka pomarańczy na krawędzi szklanki – stanowi dodatkowy element dekoracyjny.

– Ten drink nazwałam *Lody na patyku* – wyjaśniam, stawiając szklankę na kontuarze przed nimi.

Przypomina mi czasy, gdy w dzieciństwie szłam na „nocowanie” do Zoey. Kiedy pod dom przyjeżdżała furgonetka lodziarza, kupowałam kultowe czerwono-biało-niebieskie lody. Gary marszczy nos, ale Zoey spogląda z uznaniem i przyciąga do siebie szklankę, by upić łyk.

– Musisz jeszcze znaleźć odpowiednią przekąskę do tego koktajlu – mówi, po czym oblizuje się i dodaje: – Naprawdę niezły.

– To sam cukier! – twierdzi Gary, ale przejmuje szklankę od Zoey i również próbuje. Po posmakowaniu jego podejrzliwe oczy rozszerzają się i Gary zaciska usta. – No dobra, może nie jest to takie złe.

Śmieję się.

– Potraktuję to jako komplement. Weź pod uwagę fakt, że ludzie zamawiający koktajle zwykle lubią słodkie drinki. Nudziarze zamawiają piwo.

Mamrocze coś w odpowiedzi, podczas gdy Zoey dodaje koktajl do przygotowywanego przez nas letniego menu. Właściwie to Maddie wpadła na pomysł, by skojarzyć drink z lodami. Tyle że drink o smaku lodów pomarańczowych, który zaproponowała, ostatecznie nie przeszedł. Jediną pozostałość po nim stanowi szron na szklance, którą postawiłam przed moimi testerami smaku. Sięgam po cukierkowy patyczek do mieszania, obserwując, jak czerwony kolor powoli barwi koktajl. Próbuję. Alkohol miesza się ze słodyczą dokładnie tak, jak chciałam.

– Pijecie w pracy?

Znajoma chrypka alarmuje wszystkie moje zmysły. Krztuszę się drinkiem. Chase sięga ręką zza pleców Gary’ego i bierze szklankę. Pije, nie spuszczać ze mnie wzroku. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie czuję ulgi, gdy odstawia koktajl na miejsce i kiwa głową.

– To do celów badawczych – odpowiada Zoey, podsuwając mu listę. Chase pochyla się i mruży oczy, by przeczytać jej schludne pismo. – Nie tak dobre jak te wojskowe racje żywnościowe, których kazałeś nam próbować zeszłej jesieni, ale ujdzie.

– Ej, chili nie było takie złe – mówi, unosząc ręce w obronnym geście.

Szara koszulka napina się na jego ramionach. Udaję, że tego nie zauważam.

Gary mierzy mnie wymownym spojrzeniem.

– Miałem po nim problemy w toalecie.

Te słowa tak bardzo mnie szokują, że znów zaczynam się krztusić, jakbym miała zwymiotować. Zoey uderza Gary’ego w ramię, a stojący za nim Chase rechocze.

– Jesteś obrzydliwy – stwierdzam, kręcąc głową.

Gary wzrusza ramionami.

– Po prostu pomyślałem sobie, że powinnaś znać wszystkie fakty, zanim Chase spróbuje cię wciągnąć w następną degustację – odpowiada.

Zaczynam odkładać butelki na właściwe miejsca na półkach za barem, świadoma, że Chase cała czas się na mnie gapi. Kiedy zdobywam się na odwagę, by na niego spojrzeć, na jego twarzy pojawia się uśmiech. Kręcę głową, ale nie mogę się powstrzymać i również się uśmiecham.

– Przyszedłeś tu na lunch? – pyta Zoey, przerywając milczenie. – Czy tylko po to, żeby skrytykować naszą pracę?

Chase odrywa ode mnie wzrok.

– Właściwie po to, żeby sprawdzić, czy to już może właściwa chwila.

Moja dłoń nieruchomieje na szyjce butelki rumu. Gary i Zoey patrzą na mnie, podążając za spojrzeniem Chase'a. Są zakłopotani. Niemal niezauważalnie kręcę głową, nie umiając się odezwać. Czuję się jak jeleń oślepiiony przez reflektory pędzącej wprost na niego ciężarówki. Chase ani myśli zdjąć stopy z pedału gazu. Wciąż na mnie patrzy zmrużonymi oczami.

– Dałeś mi zaledwie tydzień – zauważam.

– Na co? – pyta Zoey, zagłuszając moje słowa.

Chociaż wiem, że mnie usłyszał, Chase odpowiada mojej przyjaciółce, a nie mnie.

– W ostatni weekend zaprosiłem Eden na wędrowną po górach. Odparła, że to niewłaściwa chwila, więc chciałem sprawdzić, czy coś się zmieniło.

Robi minę niewiniątka, a ja niemal widzę, jak w głowie Zoey zaczynają się kręcić koła zębate. Tymczasem Gary próbuje nadrobić zaległości i zrozumieć, jakim cudem tak szybko skończyliśmy rozmawiać o wpływie wojskowych racji żywnościowych na jakość

jego wypróżnienia. Zanim udaje mi się zaprotestować, Zoey wykrzykuje:

– Jasne, że się zmieniło! To idealna chwila!

– Też tak sobie pomyślałem – stwierdza Chase, uśmiechając się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz?”

– Jesteście niemożliwi – mówię.

Zoey wie lepiej niż ktokolwiek inny, dlaczego to wcale nie jest właściwy moment. Przez chwilę toczy się między nami milcząca wojna, wiem jednak, że przegram – moja przyjaciółka zawsze była lepszą wojowniczką ode mnie.

– Uważam, że powinnaś się zgodzić – włącza się do rozmowy Gary. – Jeśli tego nie zrobisz, ciągle będzie ci wiercił dziurę w brzuchu i działał na nerwy.

Chase śmieje się, ale zaraz wzrusza ramionami. Wie, że to trafna diagnoza.

– Bardzo entuzjastycznie podchodzi do życia na świeżym powietrzu. Nawet mnie namówił na piesze wędrówki – dodaje Zoey.

Szczeńka opada mi z wrażenia. Poza krótkim okresem nauki jazdy konnej („bo strój amazonki jest taki słodki!”) Zoey nigdy nie była entuzjastką aktywnego trybu życia. Gdy w dzieciństwie wychodziłyśmy na dwór, zamiast ze mną biegać albo w coś grać, wolała opalać się na leżaku obok mojej mamy, z okularami przeciwsłonecznymi w kształcie serc przesuniętymi na czubek głowy. – Poza tym to ci dobrze robi. Przynajmniej oderwiesz się od kłopotów. – Chase i Gary patrzą na nią ze zdziwieniem, zastanawiając się zapewne, co mogła mieć na myśli. Po krótkiej przerwie Zoey dodaje: – No wiecie, przeprowadzka, nowa praca i w ogóle...

– Tak się składa, że nie lubię mężczyzn, którzy nie potrafią przyjąć odmowy – mówię ostro, marszcząc brwi.

– Potrafię przyjąć odmowę – zapewnia Chase.

– Ta, jasne... – kpi Zoey.

Gary udaje, że wygładza wąsy, jednak w rzeczywistości w ten sprytny sposób próbuje ukryć uśmiech.

Biorę jedną ze szklanek i ścieram z niej zacieki. Muszę przyznać, że Chase łatwo się nie poddaje. Nie wiem, dlaczego nie daje mu to spokoju. Jest jak dziecko, któremu w sklepie spodobała się zabawka, a gdy rodzice powiedzieli mu, że jej nie kupią, zaczęła go kusić jeszcze bardziej. Kiedy zrozumie, że reprezentuję sobą mniej, niż mu się początkowo wydawało, odpuści, a ja będę mogła wrócić do cierpienia w samotności.

– To jak? – pyta Chase.

Opiera łokcie na blacie, kładzie podbródek na kłykciach i nie odrywając ode mnie wzroku, trzepocze rzęsami, które są stanowczo zbyt ciemne i długie. Bije od niego zniewalająca energia, jasność, jakiej nie widziałam od miesięcy. Jego magnetyzujący uśmiech przyciąga mnie do niego. Czuję się jak ćma, która podlatuje zbyt blisko świecy, chociaż wie, że spłonie.

Nadzieja, z jaką na mnie patrzy, i wyczekujące miny dwojga pozostałych zdrajców sprawiają, że kapituluję. W końcu jakie znaczenie ma jedna blizna więcej, skoro i tak jestem szczelnie zakryta?

– Dobra, niech ci będzie.

Wbrew temu, jak się czuję, mój głos brzmi pewnie. A nawet tak, jakbym miała na to ochotę. Serce mi mocno wali i mam wrażenie, jakbym właśnie skoczyła w przepaść, z której prawdopodobnie nigdy nie uda mi się wydostać.

Z uśmiechem kiwa głową i wsuwa ręce do kieszeni. Jego ciemne włosy są krótko ścięte po bokach, ale góra jest dłuższa i na czoło opadają mu gęste kosmyki. Przechodzi mi przez myśl, że wygląda jak Elvis. Mama byłaby ze mnie dumna.

– Świetnie, przyjadę po ciebie w niedzielę rano – stwierdza z triumfującą miną.

Gary wraca do wybierania leżących przed nim tacos, nieświadomy ukrytego znaczenia tego, co właśnie się wydarzyło. Usta Zoey drżą z wysiłku, by powstrzymać uśmiech. Oczywiście moja przyjaciółka świetnie wie, do czego się przyczyniła.

– Tym razem postaram się być sucha – rzucam i natychmiast ogarnia mnie zażenowanie z powodu tej dziwnej aluzji do żartu, którego Chase prawdopodobnie już nie pamięta.

Wbijam wzrok w listę przepisów, na której plamy wody rozmazały atrament. Chase kładzie dłoń płasko na blacie, sprawiając, że unoszę wzrok.

Na jego twarzy nie widzę już rozbawienia sprzed chwili. Ta nagła zmiana nieco mnie uspokaja. Wbija we mnie spojrzenie karmelowych oczu i zaciska usta.

– Dziękuję. Nie pożałujesz.

Jakimś sposobem odczytał moje myśli. Tak mnie to zaskoczyło, że tylko kiwam głową. Mimo że wszystko we mnie krzyczy, bym tego nie robiła, trzymam się jego słów, rozpaczliwie pragnąc, by okazały się prawdą.

Rozdział 7

Czasami terapia wydaje się nie tyle rozmową, ile smaganiem batem. Z tego powodu, a także z racji potwornego bólu głowy wywołanego zbyt dużą ilością kofeiny i zbyt dogłębną autorefleksją, przed kolejnym etapem tortur biorę kilka tabletek advilu. Stephen patrzy na mnie, gdy ponownie pojawiaam się w kadrze. Przywykł już do tego, że czasami przerywam nasze sesje, by coś zjeść albo wziąć pigułkę, w zależności od tego, jak się czuję w danym dniu. Zobaczywszy, że nie trzymam w ręce paczki chipsów ani ciastka, podejrzewa najgorsze. I słusznie.

– Czy to oznacza, że jesteś gotowa opowiedzieć mi coś więcej o tamtej nocy? – pyta.

Przez ostatnie piętnaście minut cierpliwie słuchał moich opowieści o wybrykach Maddie w barze. Starannie dobrałam te historie tak, by nie uwzględniały wieczorów, gdy do baru wpadał Chase, żeby sprawdzić, czy nie stchórzyłam i nie odwołałam naszej wędrowki. Spędzam tyle czasu na rozmowach ze Stephenem o negatywnych aspektach mojego życia, że boję się wspominać o relacji, która może się udać. Nie chcę jej zatruć.

– Tak. – Przełykam głośno ślinę.

Nigdy nie miałam zbyt dobrej pamięci, trzymałam się raczej idei niż konkretnych faktów. Ale z jakiegoś powodu, prawdopodobnie z powodu klątwy ciążyącej na mnie przez to, że mam wątpliwości co do istnienia Boga, pamiętam każdy szczegół tamtej nocy. Nawet

dni, które nastąpiły po niej, choć mgliste z powodu mojego ówczesnego stanu psychicznego, są dojmującym wspomnieniem.

– Śmiało, Eden. – Stephen zerka na notatki leżące na biurku i marszczy brwi. – Co się stało po stłuczeniu gołąbków?

– Gdyby był coś wart, zrozumiałby, jak wspaniałą jesteś kobietą – twierdzi Mark. Właśnie rozwałkowuję ciasto na placek. Przykleja się do noża, gdy próbuję pokroić je w paski, które mają utworzyć plecionkę na górze. Nie jest wystarczająco chłodne. Odkładam nóż, wkurzona na ciasto za to, że ośmieliło się stawiać opór, podczas gdy jestem w trakcie opowiadania ojczymowi o swoim nieudanym randkowaniu.

– Wiem – odpowiadam. – Nie wiem tylko, co ze mną nie tak. Byliśmy zaledwie na dwóch randkach. Czy to wystarczy, żeby miał pewność, że nie jest mną zainteresowany? – Wrzucam spód ciasta do lodówki z nadzieją, że to załatwi sprawę. Skrawki pozostałe na blacie zamiast do kosza na śmieci trafiają do moich ust.

– A czy przypadkiem nie zadzwoniłaś do Julii po pierwszej randce i nie powiedziałaś, że jadł z otwartymi ustami i uprawiał, jak to ujęłaś: tłumaczym? – Mark ma rację. Chichoczę na to wspomnienie. Nie chodzi o to, że jakoś bardzo chciałam dalej spotykać się z Landonem, po prostu niefajnie być olaną. Zwłaszcza że z nas dwojga to ja byłam tą „dobrą partią”.

– Najgorsze jest to – mama włącza się do rozmowy chwilę po wyjściu spod prysznic – że w ramach tego tłumaczymu wprowadził cię w błąd. Próbował ci wmówić, że twoje imię nie pochodzi z Biblii, ale jest żeńskim odpowiednikiem imienia Aiden. – Wyciera swoje loki postrzępionym niebieskim ręcznikiem, w który owijała mnie, gdy byłam dzieckiem. Czasami jest bardzo sentymentalna.

Mark jęczy, a ja się śmieję, czując ulgę, że mama najwyraźniej doszła do siebie po katastrofie z gołąbkami. Wiem, jak bardzo jest przywiązana do przedmiotów, z którymi ma jakieś wspomnienia. Ten dom to muzeum dzieciństwa mojego i Elli, mimo że moja siostra nigdy tu nie mieszkała. Wszystkie te oprawione w ramki zdjęcia wiszące na każdej ścianie i bibeloty stłoczone na półkach z książkami mamy dokumentują każdy szczegół naszego życia. Gdybym uważnie przyjrzała się futrynie drzwi prowadzących do kuchni, pod cienką warstwą farby dojrzałabym kreski, które mama stawiała przez wiele lat, zaznaczając postępy mojego wzrostu. W zeszłym roku Mark w końcu dopiął swego i ją pomalował. Oczywiście na beżowo.

Czekam, aż ciasto się schłodzi, a potem próbuję ponownie i tym razem bez problemu udaje mi się je pociąć w paski. Mark sięga ponad wyspą, na której pracuję, chwyta jeden z nich i wrzuca do ust, zanim udaje mi się zaprotestować.

– Jesteście tacy sami – komentuje mama, po czym przechodzi do salonu, by oglądać kolejny ze swoich ulubionych świątecznych filmów: *Jacka Frosta*.

– Lepiej tam pójde, zanim zaczniesz się ślinić na widok Michaela Keatona. – Mark robi spanikowaną minę, po czym chwyta kolejny kawałek ciasta i ucieka, by do niej dołączyć.

Nie zawsze nam się tak dobrze układało. Kiedy stało się jasne, że Mark będzie kimś więcej niż tylko kolejnym chłopakiem mamy, zbuntowałam się. Nie cierpiałam go. Twierdziłam, że zanim się pojawił, mamie i mnie było dobrze razem i nie potrzebowałyśmy mężczyzny w naszym życiu. Myślę, że po prostu nie chciałam się

nią z nikim dzielić. Ella się wyprowadziła, mama wychodziła za męża, a ja czułam się jak piąte koło u wozu.

Na weselu, po wymianie przysięg i zrobieniu zdjęć, przyszedł czas na pierwszy taniec. Mark wziął mamę za rękę i poprowadził ją na parkiet. Każdy w promieniu kilometra widział uwielbienie w jego oczach. Jej herbaciana sukienka kołysała się, gdy bujali się tam i z powrotem. Próbował tańczyć, naprawdę dawał z siebie wszystko, ale nie wychodziło mu nic poza gibaniem.

Kiedy utwór się skończył, didżej ogłosił, że nadszedł czas na taniec ojca z córką. Drgnęłam zmieszana, bo ojciec mojej matki zmarł, gdy była bardzo młoda. Nie miałam dziadka, więc kto miałby z nią zatańczyć?

Nagle poczułam na moim ramieniu silną dłoń, a kiedy się odwróciłam, przede mną klęczał Mark. Jego twarz była pełna życzliwości, ale zarazem wahania. Wiedział, co do niego czuję, najwyraźniej jednak nie tracił nadziei.

– Eden, czy zechciałabyś mi ofiarować ten taniec?

Skubię moje białe satynowe rękawiczki, niespokojna, ale podekscytowana. Co roku w mojej podstawówce z okazji walentynek ojcowie tańczyli z córkami. Mama zawsze próbowała odwrócić moją uwagę od tej imprezy, zabrać mnie na lody albo zorganizować jakiś inny wspólny wypad. Ja jednak opłakiwałam to, czego nigdy nie zaznałam. I nigdy nie zaznam. Ojca, który zabrałby mnie na tańce.

Kiedy podałam mu dłoń, uśmiechnęliśmy się do siebie, tyle że jego uśmiech skrywały szcokowate wąsy. Wziął mnie w ramiona i obrócił dookoła przy aplauzie całej sali. Mama stała z boku i płakała. Łzy radości na widok jej małej córeczki. Moja sukienka w kwiaty powiewająca wokół mnie. W tamtej chwili zrozumiałam, co musiała czuć. Kiedy Mark cię wybrał, czułaś się najbardziej wyjątkową osobą na świecie.

Słyszę ich śmiech w pokoju obok, gdy kłócą się o pilota. Choć nasza więź zmieniała się z upływem czasu, cieszę się niewymownie, że Mark pojawił się w naszym życiu. To dobrze, że mama ma przy sobie kogoś, kto ją kocha.

Tworzę z pasków ciasta kratkę na szarlotce i wkładam ją do rozgrzanego piekarnika. Dołączam do mamy i Marka w salonie akurat w chwili, gdy Jack Frost w magiczny sposób ożywa jako bałwan. Zawsze zapominam, jak tandetne – a zarazem dobre – bywają świąteczne filmy.

Po skończonym seansie mama, zamiast natychmiast przejść do następnego filmu ze świątecznej listy, wyłącza telewizor.

– Mikołaj musi jeszcze zapakować prezenty – mówi i pokazuje ukradkiem na Marka. – Dlatego musisz już iść spać.

Jęczę i podrywam się z wygodnego miejsca, na którym zaledwie chwilę wcześniej drzemałam. Piekarnik piszczy, dając znać, że ciasto jest już gotowe. Przechodzę do kuchni, wyjmuję je i stawiam na stojaku do studzenia.

– Czy Mikołaj mógłby je schować, kiedy skończy? – pytam, na użytek mamy nie wychodząc z konwencji.

– Mam je zjeść? – pyta Mark. – Nie ma sprawy.

Wbijam palec w jego klatkę piersiową.

– Jeśli jutro, gdy rodzina Zoey przyjdzie na kolację, będzie brakować choćby jednego kawałeczka, rozpęta się tu piekło.

Mark unosi ręce i robi minę niewiniątka, a mama upomina mnie za to, że w święta mówię o piekle.

– Dobranoc, Eden! – woła, ruszając do sypialni dla gości. To tam trzyma pamiątki i zdjęcia, które nie zmieściły się na ścianach, oraz swoją bogatą kolekcję butów. Tam też, jak odkryłam w szóstej klasie, przechowuje nasze świąteczne prezenty. Wchodzę do swojego pokoju, który znajduje się naprzeciwko. Gdy sięgam do klamki, wyczuwam jej spojrzenie. Patrzy na mnie z psotnym uśmiechem. Równocześnie zamykamy za sobą drzwi, po czym wlokę się do łóżka.

Czytałam kiedyś o badaniach dotyczących składu chemicznego różnych rodzajów łez. Autor artykułu dowodził, że łzy smutku wyglądają pod mikroskopem inaczej niż na przykład te wywołane krojeniem cebuli. Wszystkie zawierają białka i słoną wodę, której smak czuję teraz na ustach. Wyniki wykazały jednak, że łzy biorące się z emocji zawierają coś jeszcze. Hormon zwany enkefaliną leucynową, który działa jak środek przeciwbólowy.

Gdy strużki łez spływają mi po twarzy, zastanawiam się, dlaczego wciąż tak bardzo boli. Stephen milczy, zapewnia mi wolną przestrzeń, bym w każdej chwili mogła zacząć mówić. Wyjawić, co czuję. Wpuścić go do środka. Jak już wspominałam, pamiętam każdą chwilę tamtej nocy. Pamiętam, jak zmartwiona mama zaciskała dłonie, gdy zamiatałam resztki gołąbków. Pamiętam czarne ziarnko pieprzu, które utkwilo między przednimi zębami Marka. Pamiętam spokój, jaki czułam w duszy, gdy kładłam się spać, słuchając, jak mama przesuwając albumy ze zdjęciami i pudełka po butach, szukając prezentów ukrytych w pokoju po drugiej stronie korytarza. Pamiętam, że zostałam obudzona, nie zdając sobie sprawy, że zasnęłam.

Pamiętam, że potem całe moje życie legło w gruzach.

– Nie zawsze będziesz się czuć tak okropnie, Eden. – Stephen pochyla się, jakby to miało go do mnie przybliżyć, sprawić, że będę słuchać i chłonać jego słowa. – Czasami, gdy ktoś łamie sobie kość, zaczyna się ona zrastać, zanim została nastawiona. Na dłuższą metę to tylko szkodzi, dlatego lekarz musi ponownie tę kość złamać, żeby zrosła się prawidłowo. To właśnie robisz, gdy

przywołujesz wspomnienia z tamtej nocy podczas naszych sesji. Nastawiasz się na prawidłowe gojenie, bez żadnych błędnych przekonań.

Patrzę na niego i przytakuję, rozumiejąc, że muszę przejść ten proces, nawet jeśli rozpaczliwie tego nie chcę. Tamtej nocy wiele wycierpiałam, ale przeżywanie wszystkiego ponownie, już bez błogostawionego szoku, jest o wiele gorsze.

– To gojenie – udaje mi się wydusić – jest cholernie brutalne.

Odchyła się na fotelu, a na jego twarzy pojawia się grymas.

– Wiem. – Zastanawia się, co powiedzieć. – Chodzi o to, że albo przejdiesz przez ten proces teraz, albo pozwolisz, żeby to powoli zżerało cię od środka. A to jest o wiele gorsze, uwierz mi.

To nie tyle pocieszenie, ile wyzwanie, a ja lubię wyzwania.

– Eden, czy mogę cię o coś zapytać?

– Chyba tak.

– Zauważyłem, że nie nazywasz Marka tatą – mówi, badając moją reakcję.

– To nie jest pytanie – odpowiadam asekuracyjnie.

Patrzy na mnie surowo, po czym dodaje:

– Jak myślisz, dlaczego tak jest? Wychowywał cię od dziecka, wydawało się, że jesteście ze sobą związani.

Wygląda na szczerze zaciekawionego, ale wiem, że zawsze, gdy terapeuta zadaje pytanie, ma jakiś ukryty motyw. Wpatruję się w niechłujne bazgroły w notesie, próbując powrócić w myślach do dawnych czasów. Postrzegać Marka tak jak kiedyś, a nie jak potwora, którym stał się w moich koszmarach.

– Tak trudno jest oddzielić to, co wiem teraz, od tego, co czułam wcześniej... – zaczynam. – Lubię myśleć, że przez cały czas podejrzewałam, że coś jest nie tak. Ale bardziej prawdopodobne jest, że nie chciałam stracić kolejnego ojca. A może czułam,

że dopóki nie nazywam Marka tatą, nie może zrobić tego, co zrobił mój prawdziwy ojciec. Nie może nas skrzywdzić.

Najwyraźniej się myliłam.

Stephen bazgrze coś w swoim notesie. Lubię wyobrazić sobie, co tam pisze. Śmieszy mnie myśl, że zgrywa wyrozumiałego, ale gdy narzekam na coś, potajemnie notuje: „maruda”. Gdy wyrażam niezadowolenie, że zasługuję na lepsze życie niż to, które mi się dostało, zapisuje: „niewdzięczna suka”. A gdy wycieram smarki, jak na przykład teraz, gryzmoli: „obrzydliwa fleja”.

– To było bardzo dobre, Eden, doskonała samoocena.

„Pretensjonalna mądralińska”. Zakrywam usta, żeby stłumić chichot.

Po skończonej sesji pochylam się nad umywalką i ochlapuję twarz chłodną wodą. Nie muszę nawet na siebie patrzeć, by wiedzieć, że moja blada skóra pokryła się czerwonymi plamami od płaczu. Unoszę włosy i upinam je spinką na czubku głowy. Krótsze kosmyki na karku natychmiast opadają, ale przynajmniej będzie mi chłodniej.

Natarczywe pukanie sprawia, że zaczynam się bać. Zoey zerka przez okienko w drzwiach. Muszę kupić zasłonkę. Gdy tylko przekręcą gałkę, wparowuje do środka z dwiema kawami z „8th & Main”.

– Zo, ja...

Unosi rękę, żeby mnie uciszyć.

– Zanim coś powiesz: ani myślę zmuszać cię do gadania. Wiem, że robiłaś to przez ostatnią godzinę. – Podaje mi ciepły kubek, z którego dolatuje zapach waniliowego latte. – Ale Noah Gundersen wydał nową płytę, a my musimy być w barze dopiero za kilka godzin, więc możemy wybrać się na przejażdżkę.

Kręcę głową, ale ostatecznie pozwalam się wyciągnąć z domu. Pakujemy się do jej samochodu i zanim jeszcze ruszymy, otacza nas ciepły uścisk, jakim jest głos Noaha. Jedziemy przez miasto i przedmieścia. W ciągu tych tygodni, odkąd tu jestem, poza wycieczką do Safeway, nie zwiedziłam prawie nic. Bo krótkie dojazdy z naszego domu na Main Street i z powrotem się nie liczą. Góry są coraz bliżej, a my siedzimy w ciszy, popijając kawę i zapamiętując słowa piosenek.

W końcu docieramy do końca albumu, a w drodze powrotnej do miasta sięgamy po starsze, bardziej znane utwory Gundersena. Śpiewamy razem piosenki, które przez wiele lat stanowiły ścieżkę dźwiękową naszego życia. Po jakimś czasie docieramy do *First Defeat* – i nagle znów jesteśmy licealistkami, szwendającymi się po uliczkach naszego rodzinnego miasta po tym, jak Topher Nichols złamał Zoey serce.

Gdy patrzę na nią, wiatr rozwiewa nieujarzmione złote loki okalające jej twarz. Zoey śpiewa z taką pasją, że można by pomyśleć, że sama napisała tę piosenkę. Uśmiecha się do mnie, chwytając moją rękę i ściska ją, by przypomnieć mi, że tutaj jest. Wiem, że gdybym musiała, znalazłabym w sobie siłę, by odbyć tę podróż samodzielnie. Ale siedząc z moją najlepszą przyjaciółką, jestem wdzięczna, że nie muszę. Zoey nie krytykuje mnie za to, że nie znalazłam się wystarczająco daleko. Zamiast tego spotyka się ze mną tam, gdzie jestem, i delikatnie popycha do przodu.

Rozdział 8

To są twoje buty trekkingowe? – pyta Chase z niedowierzaniem.

Spoglądałam w dół na strój, nad którego wyborem spędziłam zenująco dużo czasu. Lekki top na ramiączkach i szorty khaki wydawały się najrozsądniejszym wyborem, biorąc pod uwagę prognozowaną falę upałów. Poza tym mam na sobie tak grubą warstwę kremu do opalania, że pewnie z daleka cuchnę kokosem i SPF. Wiekowy plecak u moich stóp jest sfatygowany, ale funkcjonalny i mieści wszystko, czego potrzebuję. Nie udaje mi się jednak ukryć moich adidasów, które najwyraźniej są niewystarczające.

– Nie mam innych butów. Mówiłeś, że to nie będzie trudna wyprawa, więc możesz mieć pretensje tylko do siebie.

Jest szósta rano. W nocy prawie nie zmrużyłam oka ze zdenerwowania. Nie wlałam w siebie na tyle dużo kawy, żeby znaleźć odpowiednie argumenty, którymi mogłabym przekonać go o słuszności swojego wyboru, i jestem wściekła, że tak bardzo przejmuję się tym, co myśli.

Chyba zastanawia się nad tym przez chwilę, ale w końcu uznaje, że nie jest to warte dyskusji. Podnosi mój plecak, przerzuca go przez ramię i znika na schodach. Idę za nim, śmiejąc się, gdy jęczy, jakby to była najcięższa rzecz, jaką kiedykolwiek niósł.

– Coś ty tam spakowała? Kasety Shirley Temple? – kpi, po czym rzuca plecak na tylne siedzenie swojej ciężarówki.

Wsiadam do kabiny.

– Wodę, krem do opalania, przekąski – wyliczam.

Chase wycofuje wóz z podjazdu, a ja zmuszam się, by tym razem patrzeć przez okno, a nie gapić się na jego biceps. Słońce wygląda zza szczytów i opromienia miasto złocistą poświatą. Ruszamy w kierunku gór.

– Ciekawe, jaka jest twoja ulubiona przekąska na wędrówki.

Zerka na mnie zza okularów przeciwsłonecznych. Promienie słońca padają na jego policzki. Chyba lepiej, jeśli nie będę na niego zbyt często patrzeć, w przeciwnym razie mój wkład w rozmowę będzie minimalny. Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Akurat dzisiaj batony energetyczne i suszona wołowina, bo właśnie to miałam pod ręką.

A dokładnie to Zoey miała to pod ręką, kiedy wczoraj dokonałam najazdu na jej spiżarnię.

– Ale moja ulubiona przekąska to mieszanka studencka minus...

– Rodzynki – kończy za mnie.

– O rany, też tak masz?!

Śmieje się z mojej entuzjastycznej reakcji.

– Kurwa, rodzynki są najgorsze.

Dyskutujemy nad różnymi markami mieszanki studenckiej dłużej, niż można by to uznać za normalne. Ostatecznie wybieramy Caramel Cashew z „Targetu”. Słodka, słona i bez pomarszczonych winogron.

– A jaka jest twoja ulubiona przekąska na wędrówki? – pytam, w końcu pozwalając sobie znów na niego zerknąć.

Ma dziś inną czapkę z daszkiem, tym razem wojskową, zieloną, z żółtym napisem „Sitka”. Jego usta układają się w idealny łuk kupidyna, otoczony lekkim zarostem. Melodyjna muzyka reggae wypełniająca kabinę urywa się, gdy ścisza odtwarzacz.

– W sumie to nie tyle przekąska, ile napój. Jestem fanem dobrej lemoniady. W sąsiednim mieście jest restauracja o nazwie „Raven”,

która ją robi i butelkuje. Nie martw się, wziąłem wystarczająco dużo dla nas obojga – zapewnia.

To, że pomyślał o tym, by wziąć trochę dla mnie, sprawia, że się uśmiecham. Zaraz jednak poważnieję, przygryzając dolną wargę.

– Czyli... – pokazuje palcem na moje buty – to twoje buty do biegania, tak?

Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– Sprzedają je w swoim sklepie – wyjaśnia.

No tak, racja.

– Biegasz? – pyta, rzucając mi zza okularów szybkie spojrzenie.

– Można tak powiedzieć. W liceum uprawiałam biegi przełajowe, potem robiłam to już tylko dla zabawy. Przestałam kilka miesięcy temu i już do tego nie wróciłam.

Kiedyś lubiłam biegać, bo mogłam przy tym spokojnie myśleć, nie rozpraszało mnie nic poza uderzeniami stóp o ziemię. Potem okazało się, że kiedy nie chce się już myśleć o swoim życiu, bieganie staje się torturą.

– Dlaczego przestałaś?

– Chyba po prostu jestem zbyt zajęta pracą.

Wyjaśnianie prawdziwych powodów to zdecydowanie za dużo na pierwszą randkę. O ile to w ogóle jest randka. Kolejny raz żałuję, że się w to wpakowałam.

– Skoro już mowa o pracy... – Dziękuję mu w duchu za to, że wykorzystał chwilę przerwy, by zmienić temat. – Czy kierowanie barem to twoja praca marzeń?

– Jestem zdecydowaną zwolenniczką powiedzenia, że to nie praca powinna być marzeniem, ale życie, które prowadzi się poza nią – odpowiadam ze śmiechem. – Właśnie dlatego skończyłam zarządzanie. To na tyle ogólny kierunek, że mogę po nim pracować

prawie wszędzie. Tak się składa, że jestem dobra w liczeniu i planowaniu.

Zastanawia się nad moimi słowami. Unosi kąciki ust w uśmiechu.

– Wygląda na to, że Zoey znalazła pracę marzeń.

Tu mnie ma.

– To na pewno. Posiadanie restauracji było numerem jeden na jej liście marzeń jeszcze w liceum.

– A co znajduje się na twojej liście? – pyta.

Pocieram z roztargnieniem bliznę na nadgarstku, patrząc na jej półksiężycowy kształt. Czekając cierpliwie na odpowiedź, Chase zjeżdża z autostrady i rusza drogą, która pnie się stopniowo do góry.

– Kiedyś marzyłam o tym, żeby pobiec w maratonie bostońskim – przyznaję, uciekając wzrokiem za okno. – A inne marzenia? Wyjazd na biwak. W ogóle podróżowanie. I posiadanie rodziny.

Kaszlę, by ukryć to, że głos mi się załamał na tym ostatnim słowie.

– Nigdy nie byłaś na biwaku?

Kręcę głową.

– Musimy to naprawić.

Myśl o nas dwojgu przytulonych do siebie w namiocie sprawia, że robi mi się gorąco. Postanawiam przenieść uwagę na Chase'a.

– A o czym ty marzysz?

– O zaliczeniu najważniejszych gór na wszystkich kontynentach – odpowiada bez wahania, po czym włącza kierunkowskaz i wjeżdża na pustą działkę u podstawy tamy.

– Chyba z wyjątkiem Antarktydy – zauważam.

– Zwłaszcza na Antarktydzie – podkreśla.

Otwiera drzwi i zabiera nasze torby, dzięki czemu mam obie ręce wolne i mogę sobie nimi pomóc przy zeskakiwaniu z kabiny samochodu. Jest tu bardzo spokojnie, ciszę zakłócają jedynie szmer wody i nawołujące się wzajemnie ptaki. Chase podaje mi mój plecak, a ja zarzucam go sobie na plecy. Wcale nie jest taki ciężki.

– Właśnie dlatego trzeba tu przyjeżdżać wcześniej. Przed turystami!

Zamyka ciężarówkę i wrzuca klucze do swojego plecaka.

– To będzie jakieś osiem kilometrów w obie strony. Nie powinno stanowić problemu dla takiej doświadczonej biegaczki jak ty.

Prycham, ale zrównuję się z nim krokiem. Nie żartował, gdy wspominał, że będzie wysoko. Powietrze jest tu rzadkie i ostre. Modłę się do kogokolwiek, kto może mnie słuchać, żeby na oczach Chase'a nie dostać choroby wysokościowej.

Widok zapiera dech w piersiach. Wokół rozciągają się wzgórza usiane głazami i mnóstwem dzikich kwiatów. Na horyzoncie widać jodły. Szczyty gór w oddali są pokryte białym puchem. Znajdują się tak wysoko, że fala upałów nie może ich dotknąć. Teraz już wiem, dlaczego Chase martwił się o moje buty – ścieżka nie jest ubita, jak te w Tennessee. Idziemy po drobnych kamieniach o różnym stopniu stabilności. Gdy jeden z nich przesuwają się pod moją stopą, przeklinam pod nosem.

Skupiam się na stopach Chase'a. Jego kroki są pewne, porusza się z godną podziwu łatwością. Widać, że jest w swoim żywiole. Choć, jeśli mam być szczerą, chyba nigdy nie widziałam, żeby w nim nie był. To jedna z tych rzeczy, które mnie w nim pociągają. Jeśli życie to seria wyborów, całe moje istnienie dręczy mnie niepewność, czy dokonuję właściwych. Chase stanowi moje

przeciwieństwo. Wydaje się mieć pewność, że niezależnie od tego, co wybierze, zawsze jakoś mu się uda.

– Hej, Chase! – odzywam się, a mój głos aż huczy mi w uszach po tym, jak przez tyle czasu szliśmy w całkowitej ciszy.

Spogląda na mnie przez ramię.

– Ona mówi! – rzuca z uśmiechem.

Przewracam oczami, po czym kontynuuję:

– Dlaczego nazwałeś swój sklep „Taylor’s Landing”?

Zwalnia i zaczyna iść obok mnie, wykorzystując to, że ścieżka robi się szersza. Jego bliskość sprawia, że serce bije mi mocniej, choć jestem również bardzo świadoma tego, że teraz ma doskonały widok na wszystkie moje potknięcia.

– Zaczniemy od tego, że nazywam się Taylor – wyjaśnia ze śmiechem, a ja czuję, że się rumienię, bo dotąd nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać go o nazwisko.

– Dorastałem tutaj – pokazuje dookoła – i około dziewięćdziesięciu procent czasu spędzałem z moim ojcem. Mama to wspaniała kobieta, ale nie lubi aktywności na świeżym powietrzu. – Chrypka w jego głosie jest tak uwodzicielska, że z trudem zmuszam się do skupienia na słowach.

Kiwam głową na znak, że uważnie słucham.

– W każdym razie, całe życie wypełniały mi wędrówki z ojcem, a naszym ulubionym szlakiem był Angel’s Landing w Utah. Udało mi się go pokonać, gdy miałem szesnaście lat. W tym samym roku wystawiono na sprzedaż sklep obok lokalu Gary’ego. Tata musiał go mieć. – Gdy mówi o ojcu, jego twarz łagodnieje.

Serce mi się kraje, bo znam finał tej historii.

– Zawsze chciał prowadzić sklep z akcesoriami turystycznymi, a ja byłem już na tyle duży, że mogłem pomagać mu po szkole

rozkrećć interes. Połączyliśmy nasze nazwisko z nazwą górskiego szlaku i tak powstała nazwa „Taylor’s Landing”

– A jak pojawił się w tym wszystkim niedźwiedź?

– Geronimo? – Chase śmieje się, porzuciwszy smutne myśli. – Mój wujek z Montany podarował go tacie na otwarcie sklepu.

Wyobrażam sobie Geronima zawiniętego w kilka warstw papieru do pakowania, załadowanego na pakę ciężarówki jakiegoś kowboja i jadącego autostradą. Ten obrazek sprawia, że zaczynam się śmiać. Poważnieję, gdy drzewa się przeredzają i przed nami pojawia się lazurowe jezioro. Zatrzymuję się. Za jeziorem wznosi się góra. Jej skaliste zbocza porastają świerki. Łąka, przez którą właśnie idziemy, prowadzi nas do kamienistego brzegu.

Teraz rozumiem, dlaczego Chase wysłał mi wczoraj wieczorem esemes, w którym nalegał, bym pod ubranie włożyła strój kąpielowy.

Spogląda na mnie z dumnym uśmiechem na twarzy.

– Mam nadzieję, że umiesz pływać – mówi.

– Chase, to być może najbardziej niesamowita rzecz, jaką w życiu widziałam.

Sięga po moją rękę i ciągnie mnie za sobą. Czuję jego szorstkie odciski na dłoni. Jego dotyk tak bardzo mnie rozprasza, że potykam się o kamień.

Chase natychmiast odwraca się, by się upewnić, że nic mi się nie stało.

– Uważaj – rzuca. – Nie potrzebujemy tu złamanych kostek.

Przeszywam go gniewnym spojrzeniem, po czym ruszam dalej. Odczuwam niewytłumaczalny smutek, gdy puszcza mnie, by zdjąć plecak.

Pod kryształową taflą wody widać każdy kamyczek. Idę w ślady Chase’a i kładę swój plecak na pobliskim głazie. Chase wyjmuję

dwie szklane butelki z wytłoczonym czarnym zarysem ptaka.

– Przygotuj się na uzależnienie – ostrzega.

Odkręcam nakrętkę, uwalniając syczący gaz. Goryczka i kwaskowatość cytryny to pierwsze smaki, jakie czuję na języku. Potem następuje kojący pocałunek cukru. Biorę kolejny łyk i przenoszę się w myślach do letnich dni spędzanych na zabawach w lesie za naszym domem, w którym zawsze na stole stał dzbanek lemoniady, gdy mama wołała mnie na obiad.

– Wow! – To wszystko, co udaje mi się powiedzieć.

– A nie mówiłem?

A potem znowu mnie zaskakuje, ściągając koszulkę. Lemoniada utyka mi w gardle, a moje policzki robią się czerwone. Sunę wzrokiem po jego doskonale wyrzeźbionej klatce piersiowej i mięśniach brzucha tworzących literę V, po czym przenoszę spojrzenie na czarno-szare tatuaże na prawym ramieniu. Z trudem przełykam ślinę.

– Zegary? – udaje mi się wydukać.

Ma tatuaże z różnego rodzaju zegarami. Unosi rękę, żebym lepiej widziała. Na delikatnej skórze nad łokciem widzę wytatuowany zegar szafkowy. Obok – zegarek elektroniczny z wyświetloną godziną: 12.14. Wokół tricepsu owija się topniejąca tarcza, rzymskie cyfry prowadzą w górę, w kierunku barku.

Wzrusza ramionami i kładzie czapkę oraz okulary przeciwsłoneczne na kamieniu obok plecaków. A potem patrzy mi przeciągle w oczy. Jego wzrok znów nabiera intensywności.

– Nigdy nie ma się tyle czasu, ile się myśli – wyjaśnia.

Podczas gdy zastanawiam się nad tymi słowami, odwraca się i wskakuje do wody. Nerwowo zdejmuję koszulkę i kładę ją obok jego rzeczy. Wkładam skarpetki do butów i rozpinam szorty. Gdy

je opuszczam, Chase wynurza się na powierzchnię i uważnie mi się przypatruje.

Wciągam powietrze przez zęby, gdy moje stopy zanurzają się w wodzie.

- O cholera! – syczę.
- Nie bądź dzieckiem – kpi ze mnie.
- Ta woda jest lodowata! – krzyczę.

Właśnie dotarło do mnie, że jestem w górach i że kąpię się w stopionym śniegu. Tysiąc igiełek kłuje każdy centymetr mojej skóry, gdy powoli idę w głąb jeziora. Nie mam pojęcia, jak Chase zdołał tak szybko się zanurzyć. Jest teraz tylko głową unoszącą się na powierzchni i śmiejącą się z mojego nieszczęścia.

- Mogę pomóc ci się do tego przyzwyczać – drażni się, wyciągając ręce i udając, że chce mnie złapać.

- Jeśli mnie dotkniesz, zabiję – grożę mu.

To nie do końca żart. Nie jestem kimś, kto od razu nurkuje w nieznanie. Należę raczej do osób, które brodzą w wodzie tak długo, aż się przyzwyczajają. Przez chwilę obserwuje mnie z rozbawieniem. Sunie dłonią po włosach, odgarniając je do tyłu. Jego wzrok wędruje w dół mojego ciała, a ja nagle jestem bardzo świadoma mojego pasiastego bikini i tego, jak mało ono zakrywa.

Nie wiem, czy próbuję być odważna, nurkując, czy to właściwie tchórzostwo, bo nie chcę, żeby oceniał moją figurę. Tak czy owak, zanurzam się w lodowatej wodzie. Ciemnieje mi przed oczami, ale po chwili jakimś cudem moje ciało się przyzwyczajają. Kiedy się wynurzam, czuję się tak żywa jak nigdy. Chase zaczyna pływać. Robię to samo, jednocześnie kołysana przez wodę i obejmowana błękitem nieba. W uszach szumi mi woda i tak intensywnie chłonę to, co mnie otacza, że nie wiem, gdzie kończę się ja, a zaczyna wszystko inne.

Rozumiem już, dlaczego uwielbia to miejsce. Czuję się mała i nieistotna w dobrym znaczeniu tych słów. Jeśli jestem tak mikroskopijna w oczach wszechświata, to ból, który noszę w sobie, jest nieważny. Nie wiem, co czeka nas po śmierci. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek to wiedziała. Ale unosząc się w tym górskim jeziorze, myślę, że jeśli każdy z nas mógłby wybrać sobie niebo, chciałabym, żeby moje wyglądało właśnie tak.

Nagle czuję na plecach dłonie Chase'a, które zwalniają mnie z odpowiedzialności za unoszenie się w wodzie. Jestem zaskoczona, że jego dotyk jest tak naturalny, tak pocieszający. Pochylam twarz w jego stronę, pragnąc poczuć smak kropli wody zbierającej się nad jego górną wargą. Powoli odwraca się i zaczyna ze mną płynąć.

– W co wierzysz, Chase? – pytam z zamkniętymi oczami.

Słońce sprawia, że wewnątrz moich powiek jest czerwone.

– Na pewno w Wielką Stopę, ewentualnie w potwora z Loch Ness. I w to, że ludzie po zakupach powinni odstawiać wózki na miejsce. Wiem też, że kiedyś istniały megalodony, ale nie mam pewności, czy nadal gdzieś się tu nie kręcą...

Klepię go w pierś, żeby go uciszyć.

– Chodzi mi o taką wiarę, o jaką pytałeś mnie, kiedy rozmawialiśmy o moim imieniu – wyjaśniam, choć wiem, że temat megalodonów na pewno jeszcze wróci. – Czy wierzysz w te wszystkie rzeczy?

Otwieram jedno oko, by na niego spojrzeć. Zastanawia się nad odpowiedzią. Podoba mi się, że zawsze stara się odpowiedzieć, nawet gdy pytania są bardzo osobiste lub niedorzeczne. Nigdy nie zbywa ich milczeniem tylko dlatego, że nie ma gotowej opinii.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem religijny. – Lodowata woda wnika w moje ciało, wywołując dreszcze. – A ty? Co sprawiło,

że przestałaś wierzyć?

– Chyba z wiekiem coraz trudniej było mi wierzyć w istnienie kogoś, kto wszystkim rządzi i kogo można by uznać za dobrego, biorąc jednocześnie pod uwagę, ile strasznych rzeczy przytrafia się niewinnym ludziom.

Szczękam zębami. Chase chwytą mnie mocniej i podnosi z wody. Zanim udaje mi się otworzyć oczy, leżę już na nagrzonej od słońca skale przy brzegu. Krople wody z włosów Chase'a opryskują mnie, gdy kładzie się przy moim boku.

– Mogę to zrozumieć. – Podpiera się na łokciu i odwraca do mnie, by zaoferować mi pełną uwagę.

Marszczy brwi, ale wydaje mi się, że nie krępuje go rozmowa na tak poważne tematy.

– Jak myślisz, co się dzieje po śmierci? – pytam cicho.

Mam nadzieję, że może zna właściwą odpowiedź. Taką, która przyniesie mi pocieszenie. Ciepło z kamienia rozchodzi się po moim ciele, odprężając mnie.

– Nie wiem – odpowiada po prostu, bez odrobiny strachu.

Dziwne, że to, co mnie napełnia przerażeniem, na nim zdaje się nie robić wrażenia.

– Czy to cię nie przeraża? – Osłaniam oczy, żeby lepiej go widzieć.

– Nie, to po prostu sprawia, że chcę żyć najlepiej, jak potrafię, póki tu jestem.

Gdzieś wewnątrz mnie rozplątuje się węzeł, z którego istnienia nie zdawałam sobie sprawy. Może jednak Chase zna właściwą odpowiedź.

– Podoba mi się to, w jaki sposób postrzegasz świat – mówię.

– Podoba mi się to, w jaki sposób go kwestionujesz – odpowiada.

Uśmiecham się, słysząc ten dziwny komplement.

Sięga po kosmyk moich mokrych włosów i przewleka go między palcami.

– W barze w ogóle nie widać, że masz rude włosy. Ale w tej chwili słońce sprawia, że wyglądają jak miedź.

Chcę mu powiedzieć, że światło słoneczne zamienia jego oczy w kawałki bursztynu. Niemal spodziewam się, że jeśli poszukam, znajdę w nich prehistorycznego komara, który został tam uwięziony na zawsze. Chcę mu to powiedzieć, ale nie mogę, bo opiera dłoń na moim brzuchu. Muska kciukiem okolice mojego pępka, a ja zapominam języka w gębie.

– Tamtego deszczowego wieczoru nie wiedziałem, czy to jakiś dziwny tatuaż, czy coś innego.

Opieram się na łokciach, patrząc, jak pieści kciukiem moje znamię.

– Żadnych tatuaży – mówię. – Zawsze chciałam jakiś mieć, ale moja tolerancja na ból jest zbyt niska.

Patrzy mi w oczy i poważnieje.

– Założę się, że jesteś o wiele silniejsza, niż myślisz.

W tej chwili w ogóle nie myślę. A nie robię tego, bo jego usta spotykają się z moimi. Są ciepłe, kojące i tak miękkie, jak sobie wyobrażałam. Jedną ręką podtrzymuje moją głowę, a drugą przesuwając z mojego brzucha na biodra i przyciąga mnie do siebie. Mam wrażenie, że nagle wypełniło mnie słońce i stanęłam w płomieniach. Jego język delikatnie wsuwa się do moich ust i myślę, że mogę wydać westchnienie, ale nie jestem w stanie zebrać się w sobie. On jest wszędzie i jednocześnie.

Odsuwa się i opiera swoje czoło o moje, jego oddech jest drżącą bryzą pieszczącą moje policzki. Kiedy w końcu zbieram się

na odwagę, by spojrzeć mu w oczy, bursztyn w nich wydaje się roztopiony.

– Chciałem to zrobić od dnia, w którym cię poznałem. – Oczywiście kłamie. W dniu, kiedy mnie poznał, byłem zaniedbana i w rozsypce. Jednak i tak moje serce nie może się uspokoić. – Nie rób tego – rzuca.

– Czego? – pytam zdezorientowana.

– Za każdym razem, gdy słyszysz komplement, krzywisz się z lekceważeniem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Siadam, prowokując go do tego, by kontynuował. Nie mam pojęcia, jakim cudem tak łatwo mnie przejrzał.

– Zrobiłaś taką samą minę, kiedy Gary powiedział, że masz ładne włosy. Nawiasem mówiąc, to prawda. Gary nigdy nie mówi komplementów. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. – Prostuje się, wyraźnie przekonany co do słuszności swoich sądów.

– To przysłowie nigdy nie miało dla mnie sensu – prychnam, wstając z kamienia.

Nie jestem w nastroju do psychoterapii. Stephen w zupełności mi wystarcza.

Natychmiast zdaję sobie sprawę, że popełniłam poważny błąd w obliczeniach. Ból przeszywa mnie od kostki aż po biodro, pozbawiając tchu. Patrzę w dół i odkrywam, że moja stopa tkwi pod dziwnym kątem w szczelinie między dwiema skałami. Ból promieniuje z niej z każdym uderzeniem mojego serca, powodując, że w moich oczach pojawiają się łzy.

Chase natychmiast przystępuje do działania. Gramoli się ostrożniej niż ja na niestabilne podłoże, po czym klęka przede mną i kładzie moją ranną stopę na swoje kolana. Wciągam powietrze i powoli je wydmuchuję, zdecydowana nie płakać przy nim.

Porusza moją kostką w każdą stronę, a ja zaciskam dłoń na jego ramieniu.

– Wolisz dobrą wiadomość czy dobrą wiadomość? – Patrzy na mnie z psotnym uśmiechem.

A gdy zastanawiam się, czy się nie przesłyszałam, kontynuuje:

– Dobra wiadomość jest taka, że nie jest złamana. Złamałem obie kostki i strzaskałem całe prawe ramię, więc wiem, o czym mówię. Nie mogłabyś poruszać stopą, gdyby to było coś więcej niż zwichnięcie. – Delikatnie stawia moją nogę na ziemi, a potem odwraca się, by wziąć nasze rzeczy z głazu naprzeciwko. – Druga dobra wiadomość jest taka, że nie powinnaś chodzić.

– Dlaczego to jest dobra wiadomość?

Wrzuca mój mniejszy plecak do swojego, po czym wkłada koszulkę i buty.

– Dlatego – rzuca mi moje szorty i top – że dzięki temu będę mógł cię nieść.

Rozdział 9

Chase zamyka za sobą drzwi samochodu i okrąży auto z zapalonym, który podziwiam. Cztery kilometry ze mną i wszystkimi moimi przekąskami na plecach bez słowa skargi. Muszę cholernie dobrze całować. Otwiera drzwi po mojej stronie i odwraca się do mnie plecami, żebym mogła się na nie wdrapać.

– Myślisz, że poradzisz sobie jeszcze ze schodami? – pytam.

Oplatam go nogami w pasie i zarzucam mu ręce na ramiona. W tej pozycji mogę do woli wdychać zapachy sosny i mydła, których pragnie moje serce.

– Dziewczyno, przygotowywałem się do tego całe życie.

Chichoczę, gdy mnie podnosi. Z łatwością pokonuje schody i kuca, żebym mogła włożyć klucz do zamka. Po przekroczeniu progu mieszkania wyciąga spod stołu krzesło i sadza mnie na nim.

– Wiem, że już kiedyś cię tak nazwałam i nie chcę, żeby ci się od tego przewróciło w głowie – unoszę ostrzegawczo palec – ale jesteś moim bohaterem.

Kłania się z szerokim uśmiechem na twarzy. Składa szybki pocałunek na moich ustach, po czym zbiega po schodach, by przynieść z samochodu mój plecak. Ten pocałunek był tak naturalny, jakbyśmy całowali się od zawsze. Jestem w szoku. Dociera do mnie, że może jednak nie popełniłam wielkiego błędu. Może tego właśnie potrzebuję.

Kiedy wraca, rozpakowuje dwa białe czekoladowe batony z orzechami makadamia, podaje mi jeden, po czym zaczyna jeść

drugi. Burczało mi w brzuchu przez ostatni kilometr naszej wędrówki i całą drogę powrotną samochodem. Teraz żołądek wydaje ostatni triumfalny pomruk, gdy przełykam pierwszy kęs. Chase siada naprzeciwko mnie i opiera moją nogę na swoim kolanie. Obraca delikatnie moją stopę, by ją zbadać.

– Obrzęk zaczął się już zmniejszać. Musisz unikać stania na tej nodze przez kilka następnych dni i trzymać ją uniesioną, gdy tylko można. W krótkim czasie wszystko powinno wrócić do normy.

– No cóż, jutro to Gary będzie musiał zastąpić Maddie za barem – mówię ze śmiechem.

Jego dotyk jest delikatny, gdy Chase pociera kciukiem moją stopę, uważając, by nie podrażnić kostki.

– Powinniście zatrudnić jeszcze jednego barmana.

Nasz śmiech cichnie, gdy Chase zaczyna sunąć wzrokiem w górę mojej nogi, poprzez biodra i piersi, by ostatecznie skupić się na ustach. Gdy mój umysł wypełnia wspomnienie jego warg na moich wargach, czuję na policzkach gorąco.

– Mam cię zanieść do łazienki, żebyś mogła się przebrać w suche ubrania? – pyta z lekką nutką nadziei, jakby liczył na coś więcej.

– Dzięki, poradzę sobie. Mógłbyś za to wziąć moją piżamę z łóżka i wyjąć majtki z górnej szuflady. Tylko nie patrz. Po prostu weź te, które pierwsze wpadną ci w ręce.

Podskakuje z entuzjazmem i zgarnia z łóżka moją za dużą koszulkę oraz spodenki w kratę, po czym otwiera górną szufladę komody, na pewno nie zamykając oczu. Grzebie w niej znacznie dłużej niż trzeba, mimo moich protestów. W końcu wyjmuje czerwone koronkowe stringi, które w ogóle nie nadają się do spania. Unosi je i patrzy na mnie znacząco.

– Jeśli w tej chwili nie przestaniesz się w ten sposób na mnie gapić, nigdy więcej nie zobaczysz moich majtek.

Śmieje się i zanosi piżamę oraz majtki do łazienki. Zostawia je na blacie przy umywalce.

– Czyli jest szansa, że jednak je zobaczę? – Jest wyraźnie podekscytowany tą perspektywą.

A ja cieszyłabym się, gdybym nie była tak zażenowana.

– Może... – odpowiadam i opierając się na jego ramieniu, pokonuję krótką odległość od stołu do łazienki.

Kuśtykam, starając się nie obciążać za bardzo nogi. Gdy zamykam za sobą drzwi, słyszę, jak Chase woła, zupełnie jakby z kimś rozmawiał:

– Powiedziała „może”!

Ledwo przekręcam klucz w zamku, ogarnia mnie znajome uczucie przerażenia. Ściągam z wieszaka ręcznik i klęcząc na zdrowej nodze, wciskam go w szczelinę pod drzwiami. Kropla potu pojawia się na moim czole, a dłonie zaczynają mi się trząść. Próbuję wziąć głęboki oddech, sięgając po brzeg mojej koszulki, ale trzęsę się zbyt mocno, żeby ją zdjąć. Płuca wydają się odrzucać tlen, który im oferuję. Mój oddech staje się płytki i przerywany.

Kiedy po tym, co się wydarzyło, zaczęły się ataki paniki, Stephen porozmawiał ze mną o sposobach radzenia sobie z lękiem. Powiedział, żebym myślała o nim jak o osobnym bycie, potworze, który chce mnie zdominować. To właśnie ten potwór pochłania mnie teraz, biorąc we władanie każdą racjonalną część mojego umysłu, która zapewnia mnie, że tamten mężczyzna na zewnątrz to dobry człowiek. Nie chce mi zrobić krzywdy. Jestem bezpieczna. Jestem bezpieczna. Jestem bezpieczna.

– On cię widzi – mówi potwór.

Dodaję kolejny ręcznik do stosu leżącego na podłodze. Gaszę światło, żeby nie widzieć swojej przerażonej twarzy w lustrze.

Z moich zwężonych płuc wydobywa się urywany oddech. Jestem pewna, że zaraz zwymiotuję.

– Potrzebujesz pomocy, Eden? – woła Chase.

Potwór wypełnia moją głowę mrokiem. Chase kręci gałką, kiedy nie odpowiadam. Z trudem powstrzymuję szloch. Potwór myśli, że mnie broni, kiedy gwałtownie otwiera drzwi, sprawiając, że Chase odskakuje.

– Musisz stąd iść – udaje mi się wykrztusić.

Jego wyraz twarzy zmienia się z zakłopotania w niepokój. Nie rozumie, dlaczego płaczę i dlaczego pochylam się nad stosem ręczników.

– Co się dzieje, Eden? To przez kostkę? – Na jego twarzy maluje się współczucie.

Nie wie, co jest nie tak, ale chce to naprawić. Lecz potwór zamierza to zrobić sam. Mijam go i biegnę do kuchni.

– Proszę, idź sobie – rzucam przez zaciśnięte zęby.

Jestem oszołomiona. Kiedy ogarnia mnie panika, po prostu daję się nieść fali. Nie chcę, żeby Chase mnie widział w takim stanie. Dlaczego nie potrafi tego zrozumieć?

Wyciąga rękę, by mnie złapać za ramię, ale odskakuję, jakbym miała się poparzyć.

– Odejdź, Chase! – krzyczę.

Wiem, że go krzywdzę. Jego i siebie. Ale nie mam pojęcia, jak mu to wytłumaczyć. Jeśli mu powiem o potworze, pomyśli, że jestem szalona. Być może już tak uważa.

Niechętnie się ode mnie odsuwa z wyrazem szoku i niezrozumienia w ciemnych oczach, po czym wychodzi. Nie mogę na niego nawet spojrzeć, kiedy zamykam za nim drzwi. Zataczając się, wracam do kuchni, ból promieniuje na całą nogę. Otwieram szufladę z lekami i wydaję pomarańczową buteleczkę

wypełnioną tabletkami. Zmuszam się do połknięcia jednej. Nie cierpię myśli o tym, jak będę się przez nią czuła. Nie cierpię już teraz tego, jak się czuję.

Chwilę później leżę w łóżku otumaniona lekiem i zawstydzona. Moje ramiona i nogi wydają się tak ciężkie, jakbym miała przywiązane do nich woreczki z piaskiem, jak wtedy, gdy Mark i mama uczyli mnie nurkować. Słyszę pukanie do drzwi i wiem, że to Zoey. Wiem, że Chase musiał się do niej zwrócić o pomoc. Wstyd wzrasta dziesięciokrotnie.

Co on musi o mnie myśleć? Dlaczego niszcę wszystko, czego się dotknę? Kiedy trauma pozbawi mnie dosłownie wszystkiego?

Zoey otwiera drzwi. Słyszę ją, ale leżę nieruchomo, odwrócona do ściany zamiast w stronę przyjaciółki. Zaciskam mocno powieki. Ani drgnę, gdy wypowiada moje imię, cicho i smutno, jakbym była nie wiem jak delikatna.

Kiedy nie odpowiadam, podchodzi do mnie. Pochyliła się nade mną, przypuszczając, że śpię. Odgarnia mi włosy z twarzy i z jej ust wydobywa się smutne westchnienie. Słyszę, jak stawia coś na stoliku nocnym. Następnie jej kroki oddalają się, a po chwili zamykają się drzwi.

Czekam, dopóki nie nabieram pewności, że nie wróci. Dopiero wtedy przewracam się na bok, by spojrzeć na to, co mi przyniosła. Szok rozchodzi się po całym moim ciele, gdy moje spojrzenie pada na szklaną butelkę z czarnym konturem ptaka.

Rozdział 10

Nie jestem pewna, co boli mnie bardziej: skóra na głowie czy kostka. Zerkam w dół na stopę, która leży na jednej z tańszych poduszek Zoey, i znajduję winowajcę. W miarę jak lód topniał, woreczek, który położyłam na kostce, przesunął się, aż wreszcie jego róg wysunął się ze szmatki, w który go zawinęłam, i naciska teraz bezpośrednio na moją wrażliwą skórę. Nie ma bariery, która chroniłaby mnie przed jego ukłuciami.

Chcę się pochylić, ale nie mogę, bo Zoey trzyma mnie od tyłu za włosy. Kiedy za nie ciągnie, dochodzę do wniosku, że jednak skóra na głowie boli mnie bardziej. Zdecydowanie bardziej.

– Czy mogłabyś siedzieć spokojnie? – mruczy.

Kiedy poprosiła o zaplecenie mi włosów, myślałam, że to będzie relaksujące. Powinnam była wiedzieć, że podejździe do tego z taką samą skrupulatnością jak do wszystkiego innego.

– A czy mogę poprawić woreczek z lodem?

Wzdycha z frustracją, ale puszcza moje włosy. Kładę oliwkowo-zieloną szmatkę z powrotem pod woreczkiem i czuję natychmiastową ulgę. Warkocze rozplątują się, gdy zaczynam masować swoją delikatną skórę głowy.

Zoey opada z powrotem na aksamitną, szmaragdową kanapę i wciska guzik na pilocie, by odrzucić pytanie: „Czy nadal oglądasz?“, które pojawiło się na ekranie. Oczywiście, że nadal oglądamy. Nie ruszamy się sprzed telewizora od wielu godzin, nie

licząc wycieczek na siusiu i uzupełniania miski z popcornem i orzechowymi M&M'sami.

– Gary jest pewnie zadowolony, że znowu wszystkim rządzi? – pyta Zoey.

Wrzuca do ust kolejną garść popcornu. Odchylam głowę i otwieram szeroko buzię, by mogła wrzucić do niej dwa cukierki. Przyczepiła się do nich sól z popcornu, dzięki czemu moje ulubione słodycze są jeszcze lepsze niż zwykle – o ile to w ogóle możliwe.

– Najbardziej chyba z tego, że przyuczy do zawodu Zandera – odpowiadam.

Ostrożnie przenoszę się na kanapę i opieram kostkę na podłokietniku, dając odpocząć nodze od lodu. Moja skóra jest wściekła z powodu zimna, pękająca czerwien dopełnia fioletowego siniaka.

– Skąd u Zandera to nagłe zainteresowanie barmaństwem? – pyta Zoey.

– Wspominał coś o tym, że zbiera kasę na wędrowkę szlakiem PCT, którą zaplanował na przyszły rok.

Dowiedziałam się, że Zander pracuje jako przewodnik w miejscowej firmie turystycznej ATV. Jego gotowość do pomocy Maddie w weekendy i zastępowania jej, gdy dziewczyna ma wolne, była dla mnie wybawieniem. Zoey kiwa głową i przez chwilę oglądamy w milczeniu serial.

– Co sądzisz o tym, żeby nazwać bar „The Village”? – pyta w końcu moja przyjaciółka.

Prycham wbrew woli.

– Za bardzo przypomina nazwę tej wioski dla emerytów na Florydzie. Wiesz, że mają najwyższy wskaźnik chorób wenerycznych w stanie?

Zanim zdąży odpowiedzieć, rozlega się sygnał mojej komórki, która leży na marmurowym stoliku kawowym. Sięgam po nią, myśląc, że to esemes z baru. Odblokowuję telefon, nie patrząc na podgląd. Klikam w wiadomość i się krzywię.

Chase: *Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Możemy pogadać?*

Znowu robi mi się niedobrze i natychmiast żałuję ostatniego czekoladowego cukierka, który teraz zalega w moim żołądku. To straszne, że Chase obwinia się za to, co się stało, ale nie wiem, jak sprawić, by zrozumiał. Musiałabym mu wszystko zdradzić.

– Co się dzieje między wami? – pyta Zoey. Jej głos jest dociekliwy, a jednocześnie łagodny. Z natury jest bardzo ciekawska, w tym wypadku jednak stara się być delikatna. – Eden, wiesz, jak bardzo kocham Chase’a, ale jeśli w jakiś sposób cię zranił...

– Boże, nie! – przerywam jej. – Nie zrobił nic złego. Zachowywał się jak dżentelmen. Ja tylko... – Nawet z najlepszą przyjaciółką nie jest mi łatwo. Nie wiem, jak jej to wytłumaczyć, skoro nie potrafię tego wyjaśnić nawet sobie. – Czasami wspomnienia wydają się takie prawdziwe, wiesz? Jakby wszystko zaczynało się od nowa.

Zoey zatrzymuje odcinek *Dobrego miejsca* i odwraca się do mnie.

– Powiedziałaś mi, co się stało? – pyta, marszcząc brwi i patrząc na mnie z niepokojem.

– Nie – odpowiadam, skubiąc luźny ściąg w kocu okrywającym moje kolana. – Nie chcę go wystraszyć.

Wyrywam jedną z nitek. Jest miękka, gdy nawijam ją na palec.

Wyraz twarzy Zoey nagle się zmienia. Gniew rumieni jej kremową skórę i przyciemnia oczy do barwy granatu.

– Co za gówno – rzuca.

Drgam zaskoczona, choć w sumie nie powinno mnie dziwić, że ma dość słuchania moich zwierzeń. Nie mogę jej winić. Ostatnio wszystkie nasze rozmowy kręcą się wokół moich problemów.

Wstaje i przechodzi do kuchni. Opiera dłonie na granitowym blacie wyspy, odchyła głowę i ciężko wzdycha, próbując zmniejszyć napięcie. Zastanawiam się, co powiedzieć. W końcu Zoey patrzy na mnie nagle poczerwieniałymi oczami. Na jej ustach pojawia się przeprasający uśmiech.

– Chodziło mi o to, że choć to on zrobił ci coś złego, ty musisz ponosić konsekwencje jego czynów.

Nagle całe moje napięcie znika.

– Przepraszam, Eden. Po prostu nie cierpię cię widzieć w takim stanie – mówi Zoey, gdy nie odpowiadam. – Daj mi chwilę. – Odsuwa się od blatu, przechodzi przez pokój i znika za drzwiami sypialni.

Zanim udaje mi się przetworzyć to, co właśnie się stało, znów odzywa się mój telefon. Tym razem to nie esemes. Na wyświetlaczu pojawia się twarz mojej mamy. Ten widok wyrywa mnie z odrętwienia. Podnoszę telefon i przesuвам kciukiem po ekranie.

– Eden? Jesteś tam? – woła mama w ciszy.

Każda komórka mojego ciała reaguje na ten głos, który znam lepiej niż własny. Ogarnia mnie uczucie ulgi i w końcu jestem w stanie mówić.

– Mamo, jestem! Jak dobrze cię słyszeć!

Drzwi sypialni Zoey otwierają się z trzaskiem i moja przyjaciółka wystawia głowę. „Julie?” – pyta bezgłośnie. Potakuję podekscytowana.

– Ja też się cieszę, kochanie! – odpowiada mama. – Przepraszam, że tyle czasu nie dzwoniłam. Ostatnio odzwyczaiałam się od rozmów.

Jej głos jest cichszy niż zwykle, moja mama sprawia wrażenie bardziej kruchej. Mam wrażenie, że jej słowa są tak delikatne, że w każdej chwili mogą się rozpaść na tysiąc kawałeczków.

Zoey wychodzi z sypialni i dołącza do mnie na kanapie. Dziecięcy meszek otaczający jej owalną twarz jest mokry od wody. Oczy nie są już zaczerwienione. Gdyby nie fakt, że jej tęczołki wciąż mają kolor morza podczas sztormu, trudno by się było domyślić, że jeszcze chwilę temu była zdenerwowana.

– Dzień dobry pani! – mówi, przybliżając usta do mojej komórki.

Trzymam telefon między naszymi głowami, żeby mama mogła nas wyraźnie słyszeć.

– Zoey! – krzyczy mama w odpowiedzi. – Czy trzymasz moją córeczkę z dala od kłopotów?

– Dobrze pani wie – odpowiada Zoey – że robię wszystko, co w mojej mocy, żeby znajdowała się w samym środku kłopotów.

Mama śmieje się i ten śmiech jest muzyką dla moich uszu. Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej, jeszcze przed moją przeprowadzką, sprawiała wrażenie nieobecnej. Uświadamiam sobie, jak wielkie poczucie winy dręczyło mnie z powodu tego, że powinnam z nią być i się nią opiekować, mimo że sprawiałoby mi to ogromny ból. Jedyne, co pozwoliło mi odejść, to świadomość, że mama przeprowadzi się do Elli. Kiedy tego nie zrobiła, poczucie, że ją porzuciłam, stało się niemal nie do zniesienia.

– Mamo, dlaczego nie wyjechałaś do Teksasu? – pytam.

Jest mi przykro, że psuję tę chwilę, ale to pytanie dręczyło mnie zbyt długo. Mama waha się chyba w nieskończoność, aż odnoszę wrażenie, że połączenie zostało przerwane. Kiedy w końcu się odzywa, jej głos jest bardziej odległy niż wcześniej.

– Och, wiesz, brat Richard nie poradziłby sobie beze mnie. Nie mogłam go zostawić na pastwę losu, bez kogoś, kto by zadbał o to, żeby rachunki były zawsze zapłacone na czas. – Wije się jak piskorz.

Nikt nie robi tego lepiej niż ona. Na szczęście Zoey jest urodzoną łowczynią piskorzy.

– A co z Markiem? – pyta.

Kiedy byłam dzieckiem, mama ciągle mi powtarzała, że powinnam być bardziej podobna do Zoey, bardziej bezczelna. Zastanawiam się, czy teraz tego nie żałuje.

– Cóż, Zo, on ma swoje sprawy, a ja swoje.

Szkoda, że mama nie umie posługiwać się FaceTime'em. Poprosiłabym, żeby mrugnęła dwa razy, jeśli jest do czegoś zmuszana. Nie umiem jej rozszyfrować, wyszłam z wprawy. Zoey zerka na mnie, pociągając nosem, jakby chciała przekazać, że coś jej tu śmierdzi. Barwa jej oczu tym razem wieści huragan.

– Czy rozmawiałaś z tym prawnikiem, którego polecił ci twój przyjaciel? – pytam.

Ostatnio za każdym razem, gdy do siebie dzwonic, czuję się tak, jakbym chodziła po linie. Pode mną rozciągają się te wszystkie okropne możliwości, których rozpaczliwie pragnę uniknąć, a to, co pozostało niedopowiedziane, blokuje mi drogę, grożąc upadkiem.

– Tak, kochanie, rozmawiałam. – To wszystko, co mówi w odpowiedzi.

Sprawia wrażenie wyczerpanej. Można by pomyśleć, że po tej krótkiej rozmowie ze mną będzie potrzebować kilku dni, by dojść do siebie. Nie wiem, jak to się stało. Tak bardzo staram się chronić ją przed najokropniejszymi etapami mojego procesu zdrowienia. W esemesach dzielę się z nią tylko tymi optymistycznymi rzeczami, na przykład moimi przemyśleniami na temat najnowszego sezonu jej ulubionego serialu *true crime* lub zdjęciami nowego koktajlu, który Maddie i ja wymyśliłyśmy na ten tydzień. Nie chcę, żeby się o mnie martwiła. Zastanawiam się, czy Ella mówi jej to, czego ja nie mówię.

– Muszę już kończyć, dziewczynki – odzywa się. – Prowadzę dziś cichą aukcję. Zbieramy fundusze na obóz młodzieżowy.

Trudno mi sobie wyobrazić te wszystkie starsze panie z jej kościoła uczestniczące w wydarzeniu określanym jako „ciche”. Zoey chyba myśli o tym samym, bo szyderczo się uśmiecha, ale odchodzi, by nalać sobie wody, więc mama pozostaje nieświadoma jej reakcji.

– Baw się dobrze, mamó. Może porozmawiamy jeszcze w tym tygodniu?

Staram się, by w moim głosie nie było słychać smutku, ale nie jestem pewna, czy mi się udaje. W kontaktach z nią zachowuję się tak samo jak Ella w kontaktach ze mną. Mam o to do siebie pretensje.

– Może przyjechałabyś latem do Kolorado, żeby się ze mną zobaczyć?

Po raz kolejny zapada między nami ciężka cisza. Słyszę brzęk naczyń i wyobrażam sobie, że mama wyciąga je ze zmywarki i wyciera przed włożeniem do szafek. Wyobrażam sobie, jak stoję obok niej ze ścierką w ręce. „Naprawdę, kochanie, nie trzeba” –

mówi i wyciera je dalej, ignorując moją wyciągniętą rękę. „Mogę to zrobić sama”

– Może – odpowiada w końcu.

Odkładam ścierkę. Rozłączam się.

Rozdział 11

Siedzę w samochodzie dłużej, niż chcę przyznać, próbując zebrać siły, by jakoś dokuśtykać do pracy. Po kilku nocach spędzonych na kanapie Zoey (chciałam uniknąć chodzenia po schodach) moja kostka w końcu zagoiła się na tyle, że udaje mi się pokonywać krótkie dystanse. Plecy jednak mogą mi tego nigdy nie wybaczyć.

Gęsta mgła wiruje na parkingu, zasłaniając widok kutych schodów, które pną się po rzędzie ceglanych budynków. Przez mgłę przebija się światło z mieszkania Gary'ego. O tej porze jest już pewnie po drugim kubku kawy wypitym u Rose. Dociera do mnie, że nie mam pojęcia, co robi przez cały dzień, kiedy akurat nie je nic w barze ani nie uzupełnia płynów w „8th & Main”. Wierzyć mi się nie chce, że siedzi przy komputerze i gra w pasjansa, jak to robił dziadek Zoey, kiedy pilnował nas po szkole. Cała ta kofeinowa energia musi znaleźć jakieś ujście.

Zaczynam już sobie wyobrażać Gary'ego biegającego po parku w ocieplaczach na nogi, kiedy moje myśli przerywa niski pomruk silnika. Białe silverado Chase'a zatrzymuje się naprzeciwko mojego auta. Oślepia mnie reflektorami, po czym silnik cichnie. Chwilę trwa, zanim odzyskuję wzrok. Po czwartym mrugnięciu widzę Chase'a podchodzącego do mojego samochodu i gapiącego się na mnie. Wstrzymuję oddech ze zdenerwowania.

Ma na sobie czarne spodenki i czerwony top z logo tak wyblakłym, że nie mogę go rozpoznać. Kiedy zatrzymuje się przed moimi drzwiami, zauważam, że jego skórę pokrywa pot. Spływa

po jego gardle i gromadzi się w zagłębieniu obojczyka. Chase puka w szybę. Przez okno słyszę stłumione słowa:

– Możemy porozmawiać?

Przesuwam się, żeby otworzyć drzwi i, jak się okazuje, większego zaproszenia nie potrzeba. Chase otwiera je, a ja zastygam z ręką w powietrzu. Jest po porannej przebieżce i owiewa mnie zapach świeżego powietrza oraz czegoś charakterystycznego tylko dla niego. Mam ochotę go objąć, ale mózg przejmuje kontrolę nad moimi zmysłami i przypomina mi, że to nie najlepszy moment. Moja ręka opada na kolana, podobnie jak spojrzenie.

Chase kuca przy mnie i patrzy mi w oczy. Z troską marszczy brwi. Zaciska szczęki i zgrzyta zębami, sondując mój nastrój. Wyciąga do mnie rękę, ale ostatecznie się rozmyśla i chwytą się ramy drzwi. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. To moja wina, że jest taki nerwowy. Nie wie, dlaczego wtedy, w mieszkaniu, zareagowałam tak gwałtownie, więc cacka się ze mną jak z dzieckiem.

– Chase, ja...

– Przepraszam, Eden...

Oboje przerywamy, by pozwolić mówić drugiemu. Niezręczny śmiech wypełnia przestrzeń między nami i czuję się już nieco lepiej. Gestem daję mu do zrozumienia, żeby mówił dalej i zaciskam mocno usta, żeby nie przerywać. Uśmiecha się i ostrożnie poklepuje mnie po kolanie.

– Przepraszam, że tak bardzo naciskałem. Źle odczytałem twoje komunikaty. To moja wina. Ja tylko...

– Wcale nie – wtrącam.

To tyle, jeśli chodzi o nieprzerywanie.

Otwiera szerzej oczy i spogląda na mnie z nadzieją. Instykt pokonuje logikę, która, jak sądziłam, mną kieruje. Zanim dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę, widzę, jak mój kciuk delikatnie

naciska miejsce między jego zmarszczonymi brwiami i wygładza zmarszczkę na miękkiej skórze. Skoro już pokonałam mur, który wokół siebie wzniosłam, nie pozostaje mi nic innego, jak kontynuować. Sunę palcem po piegach na jego nosie i policzku. Krótki zarost drażni moją dłoń, gdy obejmuję jego twarz. Po chwili pozwalam ręce powoli opaść.

– Nie rozumiem – mówi cicho Chase ochrypłym głosem.

– Ja też nie – przyznaję. – Ale to nie twoja wina. Niczego nie odczytałeś źle. Spędziłam z tobą niesamowity dzień, najlepszy od dawna. Ja tylko...

Dlaczego to takie trudne? Czuję się, jakbym po raz pierwszy w życiu próbowała układać spójne zdania, a mój umysł za nimi nie nadążał. Chase kręci nieznacznie głową, dając znać, że nie rozumie.

– Przeprowadziłam się tutaj, żeby uciec od pewnych spraw. – Rwany oddech wyślizguje się spomiędzy moich zębów. – Czasami to wszystko po prostu wraca. Bez ostrzeżenia.

Wiem, że to, co mówię, nie ma sensu. Jęczę z frustracji i przykładam dłoń do twarzy.

– Nie próbuję być tajemnicza. Po prostu nie jestem w tym dobra.

Słowa ledwo dobiegają do niego zza moich palców. Chase delikatnie odsuwa je od moich ust. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Spodziewam się, że gdy spojrzę na jego twarz, zobaczę na niej wyraz zmieszania lub może nawet gniewu, ale zamiast tego spotykam się z wyrazem zrozumienia, która sprawia, że serce bije mi mocniej.

– Eden, nie musisz mi się tłumaczyć – odzywa się. – Mówiłem ci już, że nigdzie mi się nie spieszy.

Jego słowa są tak szczerze, że prawie żałuję pierwszej myśli, jaka przyszła mi do głowy. W przeszłości umawiałam się

z mężczyznami, którzy na wieść, że pochodzę z rozbitej rodziny, natychmiast nadymali się, zdecydowani zakasować wszystkich mężczyzn, którzy byli przed nimi. U Chase'a nie wyczuwam takiej brawury. Czuję za to, jak nas do siebie ciągnie, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, dlatego zdobywam się na ostatnie ostrzeżenie, jakie jestem w stanie dać:

– Nie zdołasz mnie naprawić.

Kręci głową.

– Przecież nie jesteś zepsuta.

Nie wyprowadzam go z błędu.

Przyciska usta do moich palców i czuję drzenie docierające do samego serca. Widząc, że się nie odsuwam, składa kolejny pocałunek, tym razem na moim nadgarstku. Następnie wytycza szlak lekkich jak muśnięcia piórkiem pocałunków w górę mojego ramienia. Zatrzymuje się na chwilę tylko po to, by podwinąć rękaw mojej koszulki, potem kontynuuje. Jego słodki oddech jest teraz tak blisko, że mnie owiewa. Nie spieszy się, dając mi czas, bym mogła się wycofać.

Zamiast to zrobić, pochylam się i przywieram ustami do jego warg. Przygryza delikatnie zębami moją dolną wargę i sunie po niej językiem. Mój puls przyspiesza. W chwili, gdy myślę, że nie wytrzymam tego dłużej i moje serce zaraz wyrwie się z piersi, Chase odrywa się ode mnie. Opiera głowę na moim obojczyku, z trudem łapiąc oddech.

– Jak tam twoja kostka? – pyta w końcu.

Wydaję z siebie drżące westchnienie, odwracam wzrok i spoglądam w dół na moją obolałą stopę, na której mam nałożoną tanią ortezę, którą kazałam Zoey kupić w aptece.

– Dobrze. Wciąż boli, jeśli ją zbyt długo obciążam, ale daję radę.

Na jego twarzy pojawia się znajomy grymas.

– No co? – pytam.

– Może panią zanieść? – pyta.

Jęczę i wznoszę oczy do nieba. Kiedy znów na niego patrzę, jego tęczęwki są ciemne jak noc.

– Eden, nie możesz przy mnie wydawać takich odgłosów – upomina mnie surowym tonem. – Inaczej nie ręczę za siebie.

Wstrzymuję oddech. Kiwam głową, a po kręgosłupie przebiega mi dreszcz. Chase przykłada dłoń do szyi i masuje sobie kark.

Chwytam torebkę z siedzenia pasażera i odwracam się, żeby wysunąć nogi z samochodu. Okazuje się, że w tym czasie Chase zdążył odwrócić się do mnie plecami. Cienki materiał spodenek napina się na jego umięśnionych pośladkach.

Aaron, możesz się schować.

– Wskakuj – mówi Chase.

Walę go w plecy torebką.

– Nie pozwolę, żebyś mnie tam wniósł! – krzyczę. – Wszyscy sobie coś pomyślą!

– Właśnie na to liczę – rzuca przez ramię. – Chcę, żeby wszyscy w mieście plotkowali, że Chase Taylor zarywa do tajemniczej nieznajomej.

Przewracam oczami, ale posłusznie oplatom go nogami w pasie w zbyt dobrze mi już znany sposób.

– „Tajemnicza” to nie jest słowo, które do mnie pasuje.

– Ale właśnie taka jesteś, Eden. – Uśmiecha się do mnie, po czym prostuje się i zamyka za mną drzwi. – Musisz jednak wiedzieć, że obejrzałem naprawdę sporo odcinków *Sherlocka Holmesa* i nie spocznę, dopóki nie rozwiążę zagadki tego, co się dzieje w twojej pięknej głowce.

Chichoczę przy jego szyi, ze zdziwieniem konstatuując, że liczę na to, że mu się uda.

Idzie ze mną po chodniku wzdłuż ruchliwej głównej ulicy. Choć większość sklepów otwiera się później, to jednak piątkowy ranek. Po drugiej stronie jakiś facet pcha wózek z płaczącym dzieckiem. Fryzjerka w czarnych fartuchu właśnie odwraca tabliczkę z napisem „Otwarte”. Kobieta w eleganckiej szarej garsonce otwiera drzwi kancelarii prawnej i wpuszcza do środka towarzyszącego jej mężczyznę.

W środku „8th & Main” jak zawsze ciągnie się długa kolejka ludzi spragnionych porannej dawki kofeiny. Cała frontowa ściana lokalu jest przeszklona, dzięki czemu wszyscy klienci mogą się nam dokładnie przyjrzeć. Udują, że nie widzą dorosłej kobiety niesionej do baru. Patrzę, jak Rose mija swoją asystentkę Jessie, gdy ta zakręca pokrywkę na kubku i podaje go klientowi. Patrzy w górę, uśmiecha się do mnie i unosi kciuki. Wtulam twarz w plecy Chase’a, żeby ukryć rumieńce.

W końcu Chase stawia mnie na schodkach przed barem. Uśmiecha się szeroko. Jego zęby wydają się perliście białe na tle oliwkowej skóry. Czuję, że cały świat rozświetla się tylko dla mnie.

– Nie planowałaś drugiego treningu tego ranka, co? – rzucam, szukając kluczy w torebce.

– Nie żartuj. – Szczypie mnie delikatnie w ramię. – Jesteś lekka jak piórko. A teraz, jeśli pozwolisz, dołączę do kolejki, żeby zdobyć swoją porcję świętego eliksiru. Chcesz coś?

– Nie, dzięki, piłam już dzisiaj kawę – odpowiadam, po czym otwieram drzwi i włączam lampę. Daje mdłe, nastrojowe światło, ale lepsze to niż nic. – Poza tym muszę otworzyć drzwi na zapleczu, zanim przyjedzie Shawn z nowymi beczkami.

Nozdrza Chase’a drgają, ale wyraz jego twarzy pozostaje bez zmian.

– Uważaj na tego gościa, na jego widok zawsze mam gęsią skórkę.

Kiwam głową, dokładnie wiedząc, o co mu chodzi.

– Zobaczymy się później? – pytam.

Znowu się uśmiecha, po czym schyla się i wyciska na moich ustach mocny pocałunek, który z pewnością doceniają kolejkowicze obok. Potem jeszcze całuje mnie w policzek i szepcze mi do ucha:

– Zdecydowanie.

Patrzę, jak odchodzi, a potem wzdycham i pozwalam, by drzwi się za mną zamknęły. Przechodzę przez główną salę, by wejść do kuchni, gdy drzwi ponownie się otwierają.

– Wszystko widziałem.

Głos Gary'ego kompletnie mnie zaskakuje. Kiedy się odwracam, żeby na niego spojrzeć, wahadłowe drzwi do kuchni, które pchnęłam, wracają i uderzają mnie w plecy. Gary wybucha śmiechem, który w następnej chwili tłumi, przykładając rękę do ust. Przeszywam go gniewnym spojrzeniem, po czym włączam znacznie jaśniejsze światła w kuchni i kuśtykam powoli, by wyłączyć alarm i otworzyć drzwi dla dostawcy. Okazuje się, że zaczął padać lekki deszcz, który zmył mgłę.

– Santi będzie dzisiaj później, a ze mnie raczej kiepska kucharka!
– wołam przez ramię.

Gary obserwuje, jak sprawdzam temperaturę w lodówkach i zamrażarkach, a przemądrzały uśmieszek nie schodzi mu z ust.

– I tak nie mam apetytu. Przez ostatnie kilka dni dokuczał mi żołądek.

Przytrzymuje przede mną otwarte drzwi, gdy kulejąc, wracam do głównej sali. Siadam na stołku barowym, kładę nogę

na hokerze naprzeciwno i wzdycham z ulgą. Ten dzień będzie dobry na papierkową robotę i niewiele więcej.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co to było? – pyta Gary, pokazując kciukiem do tyłu, w kierunku ulicy. – Nie lubię jako ostatni dowiadywać się o takich sprawach.

Zabawne, że dorosłego mężczyznę tak bardzo interesują plotki.

– Dlaczego się śmiejesz, Eden? To nie jest śmieszne! Najpierw łamie ci kostkę, a potem startuje do ciebie na moim ganku! To za dużo wrażeń dla starego człowieka.

Teatralnym gestem ociera wyimaginowany pot z czoła, po czym zapada się w fotelu – akurat w momencie, gdy z zaplecza rozlega się wołanie Shawna. Niechętnie wstaję. To tyle, jeśli chodzi o chwilę spokoju.

– Po pierwsze, moja kostka nie jest złamana, tylko zwichnięta. – Przed pójściem do kuchni dodaję szeptem, by nie usłyszał mnie Shawn: – A po drugie, dowiedziałaś się jako pierwszy, więc trzymaj gębę na kłódkę, dobrze?

Gary patrzy na mnie zszokowany. Po chwili udaje, że zamyka usta kluczem i wyrzuca go przez ramię.

– Co ci się stało? – pyta Shawn, gdy wchodzę do kuchni.

Przywozi na wózku pełne beczki, stawia je przy lodówce, a następnie wyjmuję puste na wymianę. Biorę od niego fakturę, sprawdzam, czy wszystko się zgadza, i podpisuję.

– W zeszłym tygodniu skręciłam kostkę podczas wędrówki po górach – wyjaśniam, oddając mu kopię faktury.

– Znaczy się piękna, ale niezdarna – komentuje.

Shawn to niski, krępy mężczyzna, wyższy ode mnie zaledwie o jakieś dwa, trzy centymetry. Skórę na jego tłustych rękach pokrywają wytatuowane litery, tak wytarte, że nie da się ich

odczytać. Pot ściekający po czole i liście tytoniu do zucia wystające z ust to niemal stałe elementy jego wyglądu.

– Coś w tym stylu – odpowiadam szorstko.

Ładuje ostatnią pustą butlę na swój wózek. Przed drzwiami zatrzymuje się na chwilę.

– Musisz na siebie uważać, kotku. Szkoda by było tych smakowitych kąsków. – Gapi się na moje piersi, a potem mruga do mnie i rusza do swojej ciężarówki.

Zatraskuję drzwi, włączam alarm i wychodzę z kuchni najszybciej, jak tylko mogę. Przechodzę przez główną salę do biura. W chwili, gdy opadam na fotel przy biurku, z toalety wychodzi Gary. Próbuję rozprostować fakturę, bo trochę za mocno zacisnęłam na niej palce.

Światło z mojej lampy odbija się od łysej głowy Gary'ego, gdy zagląda przez szparę w drzwiach.

– Powiedz Chase'owi, że skopię mu tyłek, jeśli skrzywdzi którąś z moich dziewczyn – mówi.

Przez obrzydliwy komentarz Shawna zupełnie zapomniałam, o czym rozmawialiśmy. Przypomnienie sobie o tym zajmuje mi chwilę. Gdy w końcu dociera do mnie sens jego słów, fakt, że uważa mnie za jedną ze swoich dziewczyn, przyćmiewa niedorzeczny pomysł, że mógłby dla kogokolwiek stanowić zagrożenie. A co dopiero dla Chase'a. Nagle coś mi się przypomina.

– Gary, grasz może w pasjansa? – pytam, a on patrzy na mnie ze zdziwieniem, nie wiedząc, co sądzić o tak nagłej zmianie tematu rozmowy. – Wiesz, kiedy nie jesteś tutaj lub u Rose, grasz w pasjansa? Albo chodzisz biegać?

Odrzuca głowę do tyłu, rycząc ze śmiechu. Uspokaja się dopiero wtedy, gdy chwyta się za brzuch i jęczy z bólu.

– Eden... – udaje mu się w końcu wysapać. – Jak myślisz, ile ja mam lat?

Rozdział 12

Robisz kupę na dworze? – upewnia się Zoey, krzywiąc się z obrzydzenia.

Dopytuje o to już czwarty raz, ale Zander nadal ją zbywa. Stawia butelkę z niebieskim płynem do czyszczenia na drewnianym blacie, przewracając oczami w rzadkim u niego przejawie wzburzenia.

Sama już nie wiem, na czym się skupić – na ich komicznej sprzeczce czy rozmowie pary na końcu baru, która właśnie się rozstaje. Zanoszę słoik z wiśniami do niewielkiej lodówki, która stoi pod blatem na końcu baru, gdzie siedzą ci dwaj mężczyźni, ale niestety, czeka mnie rozczarowanie – na mój widok milkną. Inicjator rozstania kładzie na blacie banknot, płacąc za wino, którego nie tknęli, i ciągnie za ramię swojego partnera, który z tego, co zdążyłam się zorientować, zdradzał go podczas weekendowych wyjazdów do pracy.

Zdradzający otwiera szeroko orzechowe oczy i patrzy na mnie błagalnie, zupełnie jakbym mogła coś zrobić, by go uratować. Nie da rady. Unoszę tylko brwi i lekko wzruszam ramionami, dając mu do zrozumienia, że czas ponieść konsekwencje swoich czynów. Jego partner, potężnie zbudowany i wyższy od niego o jakieś trzydzieści centymetrów, ale o łagodnej twarzy, która kontrastuje z jego gabarytami, odwraca się i wychodzi. Wiarołomca rusza za nim.

– Tak, Zo, wszystko robisz na dworze. Na tym właśnie polega wędrówka z plecakiem. – Charakterystyczny blond kucyk Zandera kołysze się, gdy chłopak potrząsa głową w wyrazie szyderczej pogardy dla jej niewiedzy.

– Będziesz sam przez wiele miesięcy! Z kim będziesz gadał? – pyta moja przyjaciółka z przerażeniem.

– Z nikim. Taki jest właśnie sens samotnej wyprawy.

Słyszę w jego głosie, że na samą myśl o tym się uspokaja. To właśnie podoba mi się w pracy z Zanderem. Rozmawia z tobą, gdy tego chcesz, ale nie gada jak najęty, byle tylko wypełnić czymś ciszę. On i Santi stanowią miłą przeciwwagę dla wiecznie paplających Zoey i Maddie.

Nie słyszę reakcji przyjaciółki, bo idę do boks w rogu sali, gdzie starsza para czeka na rachunek. Wręczam mężczyźnie jego kartę kredytową wraz z długopisem i paragonem. Dziękuje mi i się podpisuje. Sposób, w jaki kobieta opiera głowę na ramieniu partnera, i jej delikatny uśmiech podkreślający zmarszczki mimiczne wokół ust tak bardzo przypominają mi moją matkę, że na chwilę odpływam i zapominam języka w gębie. Bez słowa biorę od mężczyzny paragon i długopis, po czym odwracam się, pozostawiając go ze zdziwioną miną.

Otwiera drzwi przed kobietą i wychodzą. W barze nie ma już teraz nikogo z wyjątkiem naszej trójki. Zoey idzie do kuchni, żeby pomóc Santiemu w sprzątaniu, a Zander wyjmuje z szafy miotłę i szufelkę. Przekręcam kluczyk i otwieram kasę, żeby przeliczyć nasz dzisiejszy utarg. W chwili, gdy udaje mi się uporać ze stertą jednodolarówek, do baru wchodzi Chase.

– Pięć minut do zamknięcia, stary, lepiej się pospiesz! – krzyczy Zander z tyłu sali.

Uśmiecham się szeroko, gdy Chase zajmuje stołek naprzeciwko mnie i pochyla się nad kontuarem tak, że jego twarz znajduje się jakieś pięć centymetrów od mojej.

– Czy wypada, żebym cię teraz pocałował?

Ze zmrużonymi oczami wypatruje wrażenia, jakie wywarły na mnie jego słowa. Jestem pewna, że mam czerwone uszy. Całe szczęście, że zakrywają je włosy.

– Chyba nie – szepczę.

Prostuje się na stołku, a na jego twarzy pojawia się nieznana mi mina. Zander kończy zamiatać pod boksami i przynosi pełną szufelkę, by opróżnić ją do kosza na śmieci za barem.

– Poproszę old fashioned – mówi Chase.

– Człowieku, mówiłem ci, że zamykamy! Jutro z samego rana mam sesję wspinaczkową z Aaronem. Idę do domu – odpowiada Zander.

Santi i Zoey wychodzą z kuchni, fartuch przewieszony przez ramię kucharza oznacza, że jego dzień pracy dobiegł końca. Chase patrzy na nich, po czym spogląda pytająco na mnie.

– Możecie już iść. Zamknę, jak tylko skończy – mówię.

Santi bez słowa rusza w stronę drzwi. Zander wzrusza ramionami i podąża za nim. Zoey nie przepuszcza okazji i mruga porozumiewawczo do mnie nad ramieniem Chase'a.

– Nie przetrzymuj jej zbyt długo – rzuca, ściskając go od tyłu za ramiona, po czym rusza za chłopakami.

Wychodząc, odwraca wiszącą w drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”, po czym znika w ciemności.

Przenoszę wzrok na Chase'a wpatrującego się we mnie ze smutkiem, który jest do niego niepodobny. Przyglądam mu się przez dłuższą chwilę i zauważam, że ma opuszczone ramiona,

a włosy bardziej rozczochrane niż zwykle. Nie znam tej wersji Chase'a. Postanawiam uważać.

– Old fashioned? Nigdy nie zamawiasz drinków – dziwię się.

– To jeden z tych beznadziejnych wieczorów.

Ta uwaga tak bardzo do niego nie pasuje, że kompletnie wytrąca mnie to z równowagi.

Wrzucam kostkę cukru do szklanki z whiskey i uzupełniam kilkoma kroplami bittersa. Plasterek pomarańczy nie budzi jego wątpliwości, ale kiedy widzi, że sięgam po kawałek brzoskwini, unosi brwi.

– Po prostu mi zaufaj – mówię.

Obserwuje, jak mieszam owoce z cukrem, a następnie umieszczam na wierzchu kostkę lodu. Wlewam bourbon do szklanki, po czym przyozdabiam ją kilkoma wisienkami i kolejnym kawałkiem brzoskwini. Nie odrywa ode mnie wzroku, gdy stawiam przed nim na serwetce szklankę. Pije pierwszy łyk.

– Wow – komentuje z szeroko otwartymi oczami. – Naprawdę dobre.

Ten komplement wywołuje u mnie uśmiech. Nalewam piwo imbirowe do szklanki z lodem i proponuję toast. Stukamy się szklankami.

– Napij się ze mną – prosi.

– Jestem w pracy, Chase – odpowiadam.

Rozgląda się po pustej sali, po czym z powrotem patrzy na mnie.

– Napij się ze mną, Eden.

Coś w jego zachowaniu i półuśmiechu sprawia, że się łamię. Wyciągam butelkę wódki Grey Goose i dolewam dwa szoty do szklanki z piwem imbirowym. Uśmiecha się szeroko, gdy biorę łyk.

– Moja dziewczyna.

Nie potrafię opisać uczucia, jakie wywołują we mnie te słowa, ale sięga ono aż do palców u stóp.

Przez kilka minut milczymy.

– Jesteś dziś jakiś inny – mówię w końcu.

Klepie stołek obok, zapraszając mnie do tego, bym usiadła przy nim. Stawiam na blacie butelki z whiskey i wódką. Kładę tam też notes, żeby zapisywać w nim, ile jestem winna Zoey. Kiedy w końcu siadam obok Chase'a, odwraca się do mnie twarzą i styka się ze mną kolanami. Zwykły dotyk jego skóry wystarcza, bym całkowicie straciła głowę.

Kończy drinka, ale kiedy wstaję, żeby zrobić mu kolejny, kładzie rękę na mojej nodze, żeby mnie przytrzymać. Bierze butelkę whiskey i przechyla ją nad tym, co zostało z pierwszej kostki lodu.

– Mogę się napić tego – mówi.

Nie odrywa dłoni od mojej nogi, pocierając kciukiem wnętrze uda. Mimo bariery w postaci džinsów to wystarcza, by wywołać we mnie drżenie. Chase patrzy na swoją dłoń, potem na mnie. Skóra mnie pali we wszystkich miejscach, na które padł jego wzrok.

– Na czym polega różnica? – pyta.

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie sens jego słów. Do pustej szklanki wlewam kolejny kieliszek wódki i zapisuję to na prowizorycznym rachunku.

– Nie wiem. – Nie chcę powiedzieć czegoś, co wyrwie nas z transu, ale ta myśl nie daje mi spokoju. – Wydajesz się prawie smutny.

Moje podejrzenia potwierdzają się, gdy jego spojrzenie pada na drinka. Obraca szklankę w dłoni. Samotny kawałek lodu powoli rozpuszcza się w trunku. Mam wielką ochotę pochylić się, opleść go ramionami, przyciągnąć do siebie i ochronić przed tym,

co go boli. Muszę jednak pamiętać, że nie potrafię ochronić nawet siebie. Skąd więc pomysł, że mogłabym pomóc Chase'owi?

Kiedy w końcu znów na mnie patrzy, jego oczy są szkliste. Połysk sprawia, że wydają się niemal czarne. Dopóki go nie poznałam, nie miałam pojęcia, ile mogą wyrażać brązowe oczy. Jak bardzo hipnotyzują.

– Czy jesteś bardzo związana ze swoim ojcem? – pyta.

To pytanie leży tak blisko przeżyć, o których nie powinien mieć pojęcia, że mija dłuższa chwila, zanim udaje mi się pozbierać.

– Z którym? – Jak widać, nie tylko moja mama specjalizuje się w pokrętnych odpowiedziach.

Unosi brwi, ale nie wybawia mnie od obowiązku wyjaśnienia. Nalewam sobie kolejny kieliszek i piję. Tym razem nie piecze przy przełykaniu.

– Cóż, moja mama zostawiła mojego biologicznego tatę, kiedy byłam dzieckiem. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani czy w ogóle jeszcze żyje – tłumaczę.

Chase kreśli kciukiem kółka na moim udzie. Przysuwa się do mnie prawie niezauważalnie. Moje myśli stają się rozmyte. Muszę sięgać coraz dalej w głąb umysłu, żeby mieć do nich dostęp.

– Wyszła za mojego ojczyrna, kiedy miałam siedem lat – ciągnę.

Patrzy na mnie w taki sposób, że coś się we mnie zmienia. Czuję potrzebę powiedzenia mu prawdy o tym, co mi się przydarzyło. Słowa cisną mi się na usta. To byłoby takie proste, myślę. Na pewno wiedziałby, co powiedzieć.

– Chciałabyś zatańczyć?

Momentalnie uchodzi ze mnie powietrze. Ochota na dzielenie się z nim swoimi sekretami mija. Znów chowają się one przed światłem.

– Okropna ze mnie tancerka – kłamię.

W rzeczywistości jestem nieodrodną córką swojej matki. Uwielbiam tańczyć, czuć rytm przenikający moje ciało do tego stopnia, że w końcu nie wiadomo, gdzie kończy się muzyka, a zaczynam ja. Tyle że w moich żyłach krążą już takie ilości wódki, że gdy zejść z tego stołka, nogi mogą odmówić mi posłuszeństwa.

– Najwyżej poprawisz mi humor.

Odrywa palce od mojego uda, wstaje i wyciąga do mnie rękę. Biorę ją, choćby po to, by utrzymać kontakt między nami, którego brakuje mi, gdy tylko Chase się poruszy. Radio gra cicho, choć nie na tyle, by zagłuszyć szuranie naszych stóp, kiedy on przyciąga mnie do siebie tak blisko, że ledwo mogę oddychać. Otacza mnie jedną ręką w talii, a w drugiej trzyma moją dłoń. Poruszamy się w kółko po pustej sali; jego kroki są zaskakująco pewne pomimo wypitej whiskey. Trzyma mnie mocno, nie pozwalając mi upaść, gdy co jakiś czas zgodnie z przewidywaniami się potykam.

– Wiem, że to wszystko toczy się za szybko – szepcze mi do ucha.

Przytuliłam policzek do jego policzka, więc nie może zobaczyć paniki w moich oczach. Odsuwa się, by na mnie spojrzeć, i wtedy wszystko wychodzi na jaw. Chase uśmiecha się lekko i nie rozplatając naszych palców, odgarnia za ucho kosmyk moich włosów.

– Po prostu myślę, że...

– Nie, Chase – przerywam, unikając jego wzroku. – Nie mogę.

– Dlaczego? – pyta cicho.

Nieruchomieję, zamknięta w jego uścisku na środku sali.

– Jestem tak pojebana, że aż trudno w to uwierzyć – zdobywam się na szczerość. Moje żyły wypełnia pijacka odwaga. – Straszny ze mnie popapraniec. Jeśli za bardzo się do mnie zbliżysz, będziesz cierpiać.

Zastanawia się nad tym mniej więcej tyle czasu, ile trwają trzy uderzenia mojego serca. Wiem, bo je liczę. W każdym razie do chwili, gdy mnie rozprasza, puszczając moją dłoń. Dotyka mojej brody i delikatnie odchyła mi głowę do tyłu, zmuszając, bym spojrzała mu prosto w oczy, pozbawiona wszelkich mechanizmów obronnych.

– Jestem gotowy zaryzykować, Eden.

Nie ma już czego liczyć – moje serce przestaje bić.

Przytula mnie do siebie i delikatnie całuje w usta. Sprawdza, czy może wypłynąć na szersze wody. Zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię, tonę. Biorę jego wargę między zęby i wsuwam język do jego ust. Chase sunie dłonią w dół moich pleców, a potem ściska mocno mój pośladek. Jego druga ręka dołącza do pierwszej i po chwili mnie podnosi. Oplatam go nogami w pasie w sposób, który jest znajomy, a jednocześnie całkiem inny od tych dwóch razów, gdy mnie niósł.

Tak mocno do niego przyłgnęłam, że czuję każdy oddech, który wypełnia jego płuca pomiędzy kolejnymi pocałunkami. Sadza mnie na stołku barowym i wsuwa rękę pod moją koszulkę. Wspaniałe ciepło jego dłoni na moim kręgosłupie sprawia, że wyginam plecy, rozpaczliwie próbując znaleźć sposób, by być jeszcze bliżej niego. Zaciskam uda na jego talii i przyciągam go do siebie tak blisko, że czuję jego erekcję.

Odsuwa się, a ja oddycham tak ciężko, że można by pomyśleć, że przebiegłam maraton. Albo zdobyłam szczyt czterotysięcznika.

– Muszę cię stąd zabrać – mówi z trudem.

Odzyskuję jasność myślenia – przynajmniej na tyle, by dokonać kilku obliczeń.

– Żadne z nas nie może prowadzić, Chase.

Prawdopodobnie wypił zbyt dużo, by ryzykować. Ja na pewno.

– Na szczęście mieszkam obok.

Idzie na koniec kontuaru, by zabrać stamtąd moją torebkę. Po chwili wraca do mnie. Nadal siedzę zdezorientowana przy barze.

– Nieprawda, głupku, ty tylko pracujesz obok.

Czy ja właśnie nazwałem Chase'a głupkiem? Zdecydowanie jestem zbyt pijana, by prowadzić.

Uśmiecha się do mnie i podaje mi torebkę. Przewieszam ją przez ramię.

– Mam mieszkanie nad sklepem, podobnie jak Gary.

– Sprytnie.

Ze śmiechem obejmuje mnie w pasie i całuje w szyję, po czym pomaga mi wstać. Nie jestem pewna, czy to z powodu wódki, czy jego bliskości, ale strasznie kręci mi się w głowie. Szczypie mnie w podbródek i patrzy mi w oczy przez całe pięć uderzeń serca. W końcu całuje mnie tak namiętnie, że przed oczami pojawiają mi się gwiazdy.

– Jesteś piękna – mówi.

Teraz już mam pewność, że te zawroty głowy to przez niego.

Rozdział 13

Ostrożnie – ostrzega mnie Chase.

Właśnie drugi raz potknęłam się podczas krótkiej wspinaczki po żelaznych schodach, które moim zdaniem bardziej przypominają schody przeciwpożarowe niż takie, które powinny prowadzić do drzwi wejściowych do mieszkania. Chichoczę, ale staram się stąpać ostrożniej.

Chase przekręca klucz w zamku i pcha obdrapane czarne drzwi. Otwierają się na korytarz, który jest równie ciemny jak noc, przed którą uciekamy. Zamyka je za sobą, a ja czekam na niego w całkowitym mroku. W końcu podchodzi i do moich uszu dobiega ciche pstryknięcie. Przestrzeń wokół mnie zalewa przyćmione światło.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że stoję przed wejściem do kuchni. Jej wykończenie sugeruje, że niedawno została odnowiona. Perłowy blat kwarcowy ostro kontrastuje z czarnymi szafkami z eleganckim mosiężnym sprzętem kuchennym. Spoglądam ponad murkiem oddzielającym kuchnię od reszty przestrzeni dziennej i podziwiam odsłonięte cegły i sklepione sufity. Salon znajduje się na froncie wąskiego budynku. Jego dwa okna wychodzą na główną ulicę. Za skórzaną kanapą widzę lekko uchylone drzwi. Próbuję sobie wyobrazić, jak musi wyglądać sypialnia Chase'a.

Sądząc z żaru płonącego w jego oczach, zaraz się o tym przekonam.

Bierze mnie za rękę i prowadzi przez salon. Otwiera drzwi do sypialni, a do środka wlewa się światło. Chase zapala je też w łazience i wreszcie mogę zobaczyć to miejsce w całej jego okazałości.

Na każdej ścianie wiszą półki z oprawionymi zdjęciami i pamiątkami z wypraw. Nad komodą widzę ogromną mapę Stanów Zjednoczonych, z parkami narodowymi oznaczonymi małymi znaczkami, które można zdrapać, gdy się je odwiedzi. Ponad połowę z nich ma już zaliczoną.

Na stoliku nocnym dostrzegam zdjęcie w czarnej ramce, na którym młodszy Chase stoi obok mężczyzny w średnim wieku, zapewne swego ojca. Objęci, wyciągają ręce ku niebu. Otaczają ich czerwone skały i bezkresny kanion. Na ich twarzach maluje się radość.

Moje spojrzenie pada w końcu na małżeńskie łóżko zajmujące większość pokoju. W pomieszczeniu panuje lekki nieład, ubrania porzucane są po podłodze, ale łóżko jest starannie pościelone, a w powietrzu unosi się zapach sosny i mydła.

Chase bierze mnie za rękę i powoli cofa się w stronę łóżka, ciągnąc za sobą. Serce bije mi w piersi, jakby było kulką uwięzioną we flipperze. Chase opada na materac i przyciąga mnie do siebie. Łąduję na jego klatce piersiowej, ale szybko mnie przewraca na plecy, tak że góruje nade mną, obejmując mnie ramionami. Mości się między moimi udami, jakby to miejsce było dla niego stworzone.

– Minęło zbyt wiele czasu, odkąd cię pocałowałem – mówi i wstrzymuje mój chichot pocałunkiem tak intensywnym, że moje serce zatrzymuje się, wpadając między łapki flippera.

Punkt dla Chase'a.

Jego dłoń pieści moje ramię, a potem bok. Chase chwyta mnie w pasie i przyciska mocniej do siebie, w jego miarowe ruchy wkrada się desperacja. Gorący oddech na mojej szyi sprawia, że zaczynam sunąć dłońmi po jego plecach. Jęczy i unosi moją koszulkę tak powoli, że prawie płaczę z niecierpliwości. Kiedy przestaje mnie całować i ściąga ją ze mnie, rozpaczliwie tęsknię za tym, by znów mnie pieścił.

Zdejmuje swoją koszulkę, po czym wraca do mnie, a jego gorąca skóra przywiera do mojej. Włosy na jego klatce piersiowej kłują mnie lekko w brzuch. Czuję, jak mięśnie na jego plecach napinają się pod wpływem mojego dotyku, gdy przesuwa się, by pocałować mnie w szyję. Potem w obojczyk. A w końcu w pierś, która zaraz wyskoczy z koronkowego stanika. Następnie pochyla się i składa pocałunek na ciemnej skórze mojego znamienia. Moje płuca zaciskają się mocno w odpowiedzi.

Sięga ręką za moje plecy i zręcznie rozpina mi stanik. Nie odrywając ode mnie wzroku, siada i zsuwa najpierw jedno, a potem drugie ramiączko. Powoli opuszcza stanik, a kiedy jestem już półnaga, jego wzrok pada na moje piersi i wtedy całe powietrze ucieka z jego płuc.

W tej samej chwili moje ciało oblewa fala zimna. Motylki w brzuchu zamieniają się w noże i przez chwilę jest mi niedobrze. Namiętność mija i nagle ogarnia mnie panika. Mój umysł krzyczy, że jesteśmy odłonięci. Musimy być zakryci. On może mnie zobaczyć.

Zaciskam powieki, próbując przewyciężyć przerażenie. Każdy centymetr mojego ciała zaczyna drżeć. Nie chcę niszczyć tej chwili. Nie chcę być powodem, przez który tak się stanie.

Chase wyczuwa moje drzenie i nieruchomieje nade mną, a po chwili w ogóle znika. Gdy przestaję czuć jego ciężar, zaczynam

za nim tęsknić. Słyszę jego kroki. Przechodzi przez pokój i otwiera drzwi. Rozlega się wyraźny brzęk uderzających o siebie wieszaków. Nagle jakaś miękka tkanina zakrywa moje piersi. Otwieram oczy i spostrzegam, że położył na mnie swoją koszulkę. Widzę tylko jego plecy, gdy znika w salonie. Wkładam koszulkę i chłonę jego zapach. To pocieszenie, na które nie zasługuję.

Kiedy wraca do sypialni, jego wyraz twarzy jest dla mnie nieodgadniony. Stawia szklankę z wodą na szafce nocnej obok zdjęcia jego i ojca. Wyciąga dłoń z trzema różowymi tabletkami.

– Ibuprofen. Jeśli weźmiesz go teraz, rano nie będzie cię bolała głowa.

Biorę tabletki, a potem połykam i popijam wodą. Chase gasi światło w łazience i kładzie się przy mnie na łóżku, po czym nakrywa nas kołdrą. W ciemności słyszę, jak jego oddech zwalnia i robi się miarowy. Nie mogę się ruszyć, zbyt przepełniona poczuciem winy, by nawet się odezwać.

– Nie musisz spać w džinsach – stwierdza. – Nie będę niczego próbował, słowo.

Jego głos jest łagodny i spokojny. Nie słyszę w nim gniewu, który z pewnością musi czuć. Rozpinam džinsy, zsuwam je, po czym pozwalam im opaść na podłogę. Chase obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie. Pożądanie, które do mnie czuł i które było tak oczywiste wcześniej, minęło. Już go nie wyczuwam.

Po jakimś czasie do moich uszu zaczyna dobiegać jego ciężki oddech, tylko trochę cichszy od chrapania. Jego ręka nieruchomieje na moim brzuchu. Jestem przygnieciona ciężarem własnego wstydu.

Rozdział 14

Od kilku miesięcy prześladowa mnie koszmar. Na początku śnił mi się prawie każdej nocy. Budziłam się zrana zimnym potem, mój puls był tak szybki, że myślałam, że dostanę ataku serca. Z czasem zdarzało się to coraz rzadziej. Może raz w tygodniu. Potem raz na dwa tygodnie. Im rzadziej mi się śnił, tym gorzej się czułam, gdy powracał.

W tym śnie przemierzam dom, którego nie rozpoznaję, ale jakoś wiem, że to mój dom, tak jak to bywa tylko w snach. Jest tam tyle pokoi, schodów i kolorów, że czuję się jak w *Masce śmierci szkarłatnej* Poe'go. Wiem, że mama gdzieś tu jest, choć nie słyszę, żeby mnie wołała. Mam wrażenie, że zamieniłam się w kompas, a ona jest północą, która przyciąga mnie do siebie jak magnes.

Słyszę głos Marka, jednak nigdy go nie widzę. Czuję tylko jego obecność za sobą jak oddech, który sprawia, że włosy jeżą się na karku. Uciekam przed tym głosem. Rozpaczliwie nie chcę go słyszeć. Próbuję dotrzeć do matki, ochronić ją przed Markiem. Nie wiem, co się stanie, jeśli on znajdzie ją pierwszy. Wiem tylko, że nie mogę do tego dopuścić.

Na początku po prostu chodzę po domu, próbując się w nim rozeznaczyć. Dopiero gdy głos Marka wypełnia pokój, w którym się znajduję, zrywam się do biegu, a moje płuca płoną z wysiłku. Biegnę przez niekończący się labirynt, zaledwie o krok wyprzedzając męża mojej mamy. Zawsze kilometry od niej.

Z tego właśnie snu wyrywa mnie pukanie do drzwi. Otwieram spuchnięte oczy. Boli mnie głowa, choć na pewno nie tak bardzo, jak bolałaby, gdybym nie wzięła ibuprofenu, który Chase dał mi przed zaśnięciem.

Chase.

Rozglądam się po jego pokoju, nagle przypominając sobie, gdzie jestem. Nie mam żadnych wspomnień dotyczących zasypiania. Pamiętam tylko jego ciche pochrapywanie i to, że próbowałam stłumić szloch, żeby go nie obudzić.

Patrzę na niego. Śpi spokojnie, na plecach, z rękami nad głową. Wygląda tak młodo, jak chłopiec na zdjęciu z ojcem, a nie dorosły mężczyzna, który jeszcze kilka godzin wcześniej leżał na mnie, skóra przy skórze. Pukanie rozbrzmiewa ponownie, a ja zastanawiam się, czy udać, że go nie słyszę. Chcę uniknąć wypadnięcia na kogoś znajomego. Chrobot klucza w zamku sprawia jednak, że nie mam wyjścia.

Wyskakuję z łóżka i wciągam na siebie dżinsy. Zanim jednak udaje mi się zapiąć stanik i przebrać w swoją koszulkę, do salonu wchodzi kobieta po sześćdziesiątce. Ma na sobie czarną sukienkę i trzyma bukiet kwiatów. Uśmiecha się na widok śpiącego Chase'a. W następnej chwili jej wzrok pada na mnie, stojącą obok jego łóżka. Podskakuje i przykłada rękę do serca, żeby się uspokoić.

Pospiesznie owijam się koszulką i ściskam ją mocno w pięści, po czym wychodzę z sypialni i zamykam za sobą drzwi. Odwracam się, by stanąć przed kobietą, z nadzieją, że nie wyglądam na tak upokorzoną, jak się czuję. Spodziewam się pogardy lub osądzenia, ale zamiast tego spotykam się z uśmiechem. Oczy ma tak podobne do oczu Chase'a, że nie mogłaby się go wyprzeć.

– Ty na pewno jesteś Eden! – szepcze podekscytowana. Wyciąga rękę i obejmuje mnie, zanim udaje mi się zareagować. Odsuwa się,

pozostawiając na mnie zapach kwiatowych perfum. – Jestem Laura, matka Chase’a.

Uśmiecham się, bo nie bardzo wiem, co powiedzieć, a poza tym wciąż jestem trochę skołowana koszmarem, który mi się przyśnił. Mój żołądek robi fikołka. Laura zdaje się rozumieć sytuację, bo robi krok w tył, by pozwolić mi odetchnąć.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Pokazuje na mnie, a potem na drzwi sypialni. – Chase w każdą rocznicę zabiera mnie na cmentarz... A potem na śniadanie.

Kiedy przyglądam się jej uważniej, zauważam otarcie na nosie, które próbowała przykryć warstwą pudru. Ma zaczerwienione oczy i zachrypnięty głos. Kawałki układanki dopasowują się do siebie w mojej głowie. Przypominam sobie smutek Chase’a poprzedniego wieczoru i jego pytania o mojego ojca. Rocznicą... O cholera.

Mówił, że od śmierci ojca minęło już kilka lat, ale kobieta przede mną wygląda na tak poruszoną, jakby to się stało wczoraj wieczorem. Jej czarna sukienka idealnie nadaje się na pogrzeb. Laura zaciska palce na zmiętej chusteczce. Jej smutek jest namacalny.

Zanim udaje mi się coś powiedzieć, drzwi za mną się otwierają i do salonu wchodzi Chase. Ma na sobie spodenki gimnastyczne. Odgarnia włosy z twarzy i ziewa.

– Cześć, mamó – mówi.

Próbuję znaleźć w jego wyrazie twarzy jakieś nawiązanie do tego, co zaszło między nami ostatniej nocy, ale nie udaje mi się. Pewnie myśli, że go zwodziłam albo że jestem żalosna, bo wystraszyłam się tego, że rozebrał mnie od pasa w górę. A teraz stoję tutaj, ze stanikiem w rękę, przed jego matką.

– Dzień dobry, śpiochu – odpowiada tamta, po czym mija mnie i obejmuje syna.

Patrzę, jak Chase napina mięśnie, ściskając ją mocno. Starsza pani wydaje się pochłonięta przez jego uścisk. Chase całuje ją w czubek głowy i sięga po kwiaty.

– Są świetne, mamó. Tacie by się spodobały.

– To piwonie, mieliśmy takie na ślubie.

Patrzy na mnie, a potem wbija wzrok w podłogę i przykłada chusteczkę do nosa.

– Piękne – przyznaję.

Uśmiecha się do mnie, a nad jej głową Chase robi to samo, choć jego oczy pozostają poważne.

– Ubierz się, musimy już jechać – rzuca Laura do syna, po czym odwraca się do mnie. – Możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz. Chase opowiedział mi o tobie wiele dobrego...

– Nie mogę – przerywam jej.

Od razu żałuję tych słów, bo widzę, że wyraźnie przygasa. Ale to właśnie powinnam zrobić. Ta kobieta wyraźnie cierpi i potrzebuje towarzystwa syna, a nie kogoś nieznanego. Z kolei jemu potrzebny ktoś normalny, a nie taki ciężar jak ja.

– Przepraszam. Życzę miłego dnia... To znaczy, tak miłego, na ile pozwalają okoliczności.

Ruszam szybko do wyjścia, zanim jeszcze bardziej się ośmieszę. Po drodze zgarniam swoją torebkę leżącą na kuchennym blacie. Dwa uderzenia serca później jestem już na półpiętrze.

Chase wychodzi za mną i zamyka drzwi, by zapewnić nam odrobinę prywatności. Zatrzymuję się, ale nie patrzę na niego, zamiast tego wpatruję się w jego gołe stopy. Musi mu być zimno, gdy tak stoi na metalowych schodach, ale nie daje tego po sobie poznać.

– Eden, przepraszam, nie chciałem, żebyś poznała ją w taki sposób...

– Nic się nie stało – przerywam mu.

Nie chcę, żeby szedł tą drogą. Żeby zapewniał mnie, że nie chciał, bym spotkała się z jego mamą po tym, co się stało poprzedniego wieczoru. Był pijany, kiedy powiedział, że jest gotowy zaryzykować. Będzie żałował tych słów, gdy to przemyśli. Może nawet już żałuje. A poza tym i tak wystarczająco wiele przeszedł. Najpierw strata ojca, teraz pomaganie mamie. Nie potrzebuje kolejnego ciężaru na barkach.

– Muszę wracać do baru i podliczyć utarg. Wczoraj wyszliśmy, zanim skończyłam.

Wreszcie ośmielam się spojrzeć mu w twarz i widzę, że chce coś powiedzieć. Nawet nie wie, co dla niego dobre. Czy też, w moim przypadku, co dla niego złe. Chyba będę musiała mu to unaocznic.

– Wczorajszy wieczór był błędem. Oboje za dużo wypiliśmy. To było naprawdę... – Przerywam. Mówienie o trudnych sprawach zawsze boli. A jeszcze bardziej bolą kłamstwa. – To nie powinno było się zdarzyć.

– Wcale nie wyglądało na błąd.

Patrzę na niego. Zacisnął usta.

– Ale nim było.

Nie chcę, żeby się nade mną litował. Chcę tylko to skończyć i wypłakać się w swoim łóżku.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, padłabym trupem na tych schodach. Patrzy na mnie ze złością pomieszaną ze smutkiem. Krzywdzę go, ale skrzywdzę go jeszcze bardziej, jeśli będziemy to ciągnąć. Nie cierpię swego życia w cieniu traumy. Nie chcę obarczać nią nikogo innego.

– Co ty wygadujesz, Eden? – rzuca Chase przez zaciśnięte zęby.

– Chodzi mi o to, że nic się nie stało. – Wciągam powietrze. Staram się wyglądać na pewną siebie, mimo że wcale się taka nie czuję. Tak jednak będzie dla niego lepiej, nawet jeśli jeszcze o tym nie wie. – Możemy po prostu udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Wrócić do bycia przyjaciółmi.

– Nie chcę być twoim przyjacielem – odpowiada.

Jego oczy są tak ciemne, że chcę wypełznąć do ich wnętrza i zapalić światło. Odwracam wzrok, próbując stłumić to pragnienie.

– Dobrze, w takim razie nie rozmawiaj ze mną – mówię, choć formowanie słów mnie zabija.

Nie mam odwagi spojrzeć w jego kierunku. Odwracam się i schodzę po schodach, zabierając ze sobą wszystkie swoje problemy.

Rozdział 15

No dobrze, to na jaki inny temat chciałabyś porozmawiać? – pyta Stephen.

Byłam przygotowana na to, że będzie nalegał, bym kontynuowała swoją opowieść. To, że tak łatwo dał się przekonać, podcina mi skrzydła. Opadam z powrotem na krzesło. Upija łyk herbaty i obserwuje mnie. Jego oczy chowają się za warstewką pary, która tworzy się na szklach okularów. Kiedy po chwili znika, okazuje się, że nadal się wpatruje, czekając na moją odpowiedź. Tyle że ja jej nie mam. Nigdy nie sądziłam, że dotrę tak daleko.

– Nie zamierzasz zapytać dlaczego?

Jestem nieco zdezorientowana. Dziura na kolanie moich dżinsów powiększa się, gdy dłubię w nitkach.

– A powiesz mi? – Jego wyraz twarzy pozostaje niezmienny.

– Nie – przyznaję. – Ale myślałam, że będziesz próbował mnie zmusić.

Zaczyna się śmiać. Zdejmuje okulary i czyści szkła szmatką. Jego notes leży na biurku, dokładnie tam, gdzie go położył, gdy powiedziałam mu, że nie jestem dziś w nastroju do wspomnień. Zauważam wiszące za nim na ścianie oprawione zdjęcie, na którym ma na sobie tę samą fioletową koszulę w kratę, którą nosi dzisiaj. Stoi dumnie obok młodej osoby w stroju absolwenta. Zakładam, że to jedno z jego dzieci. Co jakiś czas dociera do mnie, jak mało wiem o Stephenie, a przecież on zna najmroczniejsze sekrety

mojego życia. Może właśnie dlatego to działa, ponieważ nie potrafię rozmawiać z ludźmi, których znam.

– Eden, nie jesteś moją zakładniczką. Nie zamierzam cię do niczego zmuszać.

Wiem, że mówi prawdę. Nie wspomniał jednak, że jego delikatne podpuszczanie jest dziesięć razy bardziej skuteczne niż jawne wścibstwo. Jest najgorszym typem porywacza: porywaczem, który jest miły dla swojej ofiary.

– Po prostu nie bardzo widzę sens w kontynuowaniu tego wszystkiego. – Przygotowałam się na kłótnię i chcę ją mieć, do cholery. – To nie działa. Nie sprawia, że moje życie staje się lepsze. Jeśli już, to czuję się o wiele gorzej.

Gdy zastanawia się nad moimi słowami, jak zawsze zapada kontemplacyjna cisza. Teraz, gdy zaryzykowałam i wyraziłam swoje wątpliwości, tracę pewność siebie. Staram się nie załamywać, ale pod czujnym spojrzeniem Stephena czuję się jak żołnierz na polu bitwy, który zapomniał, po co w ogóle zaciągnął się do wojska.

– Cóż, nie dopełniłbym swoich obowiązków, gdybym ci nie przypomniał, że jeszcze nie skończyliśmy – mówi. – Chciałbym jednak, żebyś opowiedziała mi trochę więcej o tym, dlaczego tak się czujesz.

Natychmiast przed oczami pojawia mi się Chase. Nie mogę zapomnieć, jak stał na schodach, wpatrując się we mnie oczami jak rozżarzone węgle, podczas gdy ja przez zaciśnięte zęby rzucałam kłamstwo za kłamstwem. Nawet kilka dni później czuję na języku gorzką truciznę tamtych słów. Moje męki stały się dziesięć razy gorsze ostatniego wieczoru, gdy przyszedł odebrać kolację z baru i okazało się, że wziął sobie moją prośbę do serca. Przeszedł obok

mnie bez słowa w tym samym miejscu, w którym tańczył ze mną cztery dni wcześniej.

Nie mam prawa się denerwować. Przecież dokładnie o to go prosiłam. Tylko tak oszczędzę mu ciężaru, jakim bym się stała. Dlaczego więc czuję się z tym tak okropnie?

Ukrywałam przed Stephenem istnienie Chase'a, myśląc, że jeśli nie będę o nim mówić, będzie tak, jakby go nie było. Łudziłam się, że jeśli nie powołam go do istnienia, to nie będę mogła go stracić. I oto pozostałam sama w swoim smutku, a i tak go straciłam.

Gdy patrzę na Stephena, w moich oczach zbierają się łzy. W każdej chwili mogę zacząć płakać. Chyba uderzyło go coś w moim wyrazie twarzy, bo w jego spojrzeniu pojawia się błysk zrozumienia.

– Jest taki jeden gość – odzywam się w końcu. Mój głos jest cichy i piskliwy, jak zawsze, gdy jestem na skraju płaczu. Robię niepewny wdech i rozpaczliwie próbuję wziąć się w garść. Nie chcę, by popłynęła ze mnie fontanna łez. – To dobry człowiek. Nie zasługuję na niego.

– Dlaczego tak mówisz?

Stephen bierze notes i coś w nim bazgrze. Pewnie: „obrzydliwa beksa”. Ten żarcik pomaga mi się nieco uspokoić.

– Jest zupełnie inny niż ja. Spokojny i optymistyczny. Podchodził do mnie z ogromną cierpliwością, a ja i tak to spieprzyłam – wyjaśniam. – On jest jak słońce, jasny i ciepły przez cały czas. Natomiast ja jestem deszczem, który go gasi.

Wątpliwe metafory. Stephen odkłada długopis.

– Czy mogłabyś podać mi przykład tego, jak to „spieprzyłaś”?

To, że nie neguje od razu moich słów, sprawia, że czuję się trochę lepiej. Wielu ludzi z miejsca odrzuca twoją samokrytykę, nie

zastanawiając się, że może faktycznie masz rację. Niezależnie od tego, jak bardzo bym chciała, żeby mi powiedziano, że się mylę, podejrzewam, że trafnie oceniam samą siebie.

Dlatego opowiadam mu o wszystkim. O naszej wędrówce, o tym, że Chase niósł mnie przez wiele kilometrów, i o tym, że w łazience czułam się, jakby moja skóra odchodziła od ciała. Opowiadam mu o tańcu z Chase'em i o tym, że nie śmiał się ze mnie, gdy się potknęłam z powodu obolałej kostki. Opowiadam mu skróconą wersję tego, co wydarzyło się w sypialni, że chociaż naprawdę bardzo chciałam tam być, moje ciało mnie zdradziło.

Stephen czeka, aż skończę i aż ucichnie mój szloch. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie miał dość mojego płaczu. I czy kiedykolwiek będę w stanie mówić o tych sprawach, nie wylewając przy tym potoku łez. Wyciągam serwetkę ze stojącego na stole metalowego serwetnika i wycieram oczy.

– Myślę, że wiele osób błędnie zakłada, że trauma objawia się drastycznymi wspomnieniami. Może czasami faktycznie tak jest. Ale w większości przypadków wraca w postaci reakcji na bodźce, które twoje ciało odczytuje jako niebezpieczeństwo, niezależnie od tego, czy rzeczywiście coś ci grozi.

Pozwalam tym słowom przez chwilę krążyć po moim mózgu, obracam je i przypatruję się im pod każdym kątem. Wpasowują się jak idealne elementy układanki w lukę, z istnienia której nie zdawałam sobie sprawy.

– Eden, zostałam skrzywdzona przez kogoś, komu ufałam. Kogoś, kogo kochałam i na kim polegałam. Twoje ciało zostało stworzone do adaptacji, przyswaja nowe informacje, by utrzymać cię przy życiu. Kiedy więc czujesz, że zbliżasz się do Chase'a, twoje ciało

odczytuje to zaufanie jako zagrożenie. I reaguje w sposób, który według niego ochroni cię przed krzywdą.

– Jak mam to powstrzymać? – pytam. – Jak przekonać moje ciało, że wiem, co robię?

– Po pierwsze, musisz pozbyć się przekonania, że w przypadku Marka mogłaś wiedzieć lepiej. Wmówiłaś sobie, że nie znasz się na ludziach, bo nie przewidziałaś tego, co się stało. Nie mogłaś wiedzieć, Eden.

Jego słowa są jak cios pięścią między oczy. Znow zaczynają mi drżeć palce. Kiedy czujesz, że nie zasługujesz na współczucie, okazuje się ono bolesne.

– Po drugie, musisz nauczyć się mówić o tym, co się z tobą stało. Zaczynasz od opowiedzenia tej historii podczas terapii, a potem opowiadasz ją ludziom takim jak Chase, którym ufasz, żeby wiedzieli, jak ci pomóc. Potem powoli nabywasz nowych, bardziej pozytywnych doświadczeń, które pozwalają ci zmienić narrację, jaką twój mózg stworzył na temat tego, co się dzieje, gdy pozwalasz sobie na bycie bezbronną.

Zanim mój mózg pozwoli mi w to uwierzyć, moje serce uznaje to, co mówi Stephen, za prawdę. Wszystko w moim ciele woła, żeby od tego uciekać, zakopać przeszłość tak daleko, jak tylko mogę, i zbudować wokół siebie mury tak wysokie, że nikt już nigdy ich nie sforsuje. Słowa Stephena są niczym dłuto. Pokazuje mi on, w jaki sposób tym narzędziem można nadkruszyć mur strachu, a potem wręcza mi je, mówiąc, że bym wzięła się do roboty.

– Zdecydowanie jestem twoją zakładniczką – mówię w końcu.

Powaga znika z jego twarzy. Jęczy, słysząc tę próbę żartu.

– Pozwól, że zanim dziś skończymy, dam ci ostatnią radę. Następnym razem, gdy poczujesz, że nadchodzi ta znajoma panika,

spróbuj popatrzeć na swoje otoczenie przez pryzmat swoich pięciu zmysłów. Co możesz poczuć? Co możesz usłyszeć? Co możesz zobaczyć? – Odlicza na palcach. – Nazywamy to techniką ugruntowania i może być ona doskonałym mechanizmem radzenia sobie w nagłej sytuacji. Utrzymuje cię w terażniejszości, kiedy twój umysł próbuje wrócić do przeszłości.

Kiwam głową i zapamiętuję te informacje. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała ich wykorzystać, ale wiem, że prawdopodobnie jednak tak się stanie. Stephen uśmiecha się i drapie się po koziej bródce, zadowolony, że naprawdę go słucham.

– Wykonałaś dzisiaj kawał dobrej roboty.

Sprawia wrażenie szczerego i przez chwilę rozważam, czy po wszystkim nie poprosić go o jakiś puchar albo medal z tym zdaniem. W następnej chwili przypominam sobie, że zdrowienie to proces, który nigdy się nie kończy. To ciągłe przypływy i odpływy, a nie basen, który można opróżnić.

– Dziękuję, Stephen. – Czuję się tak, jakbym została przepuszczona przez emocjonalną maszynkę do mięsa, ale i tak jestem mu wdzięczna. – Mogę już iść?

Uśmiecha się i zamyka notes z obelgami pod moim adresem.

– Do następnego razu.

Rozdział 16

Wiedziałam, że przyjęcie tej posady oznacza, że będę pracowała niemal codziennie, by pomóc Zoey stanąć na nogi. Dziś jest jeden z tych rzadkich dni, gdy Maddie i Zander stoją razem za barem, a ja z całą papierkową robotą jestem na bieżąco, co daje mi szansę na dodatkowy dzień wolny, by się zrelaksować i naładować baterie. Niestety, moi przyjaciele i współpracownicy to te same osoby, więc tak czy owak pcham ciężkie dębowe drzwi baru i wchodzę do środka.

Zamieram, kiedy zdaję sobie sprawę, że stołki przy barze są zajęte, z wyjątkiem miejsca obok Chase'a. Jest pochłonięty wsuwaniem do ust ogromnego burrito i jeszcze mnie nie zauważył. Nie zamierzam siedzieć sama w boksie po przeciwnej stronie sali, a sądząc po tym, że wszyscy klienci przy barze mają przed sobą talerze pełne lunchowych dań, żadne inne miejsce w najbliższym czasie się nie zwolni. Przełykam głośno ślinę i zmuszam się, żeby ruszyć naprzód.

Kiedy siadam, Chase przerywa w połowie żucia, ale nie zdradza się w żaden sposób, że mnie zauważył. Prostuje się i zamienia widelec na szklankę z piwem, którą unosi do ust. Tak jak on się prostuje, ja się kurczę. Nie mogę go obwiniać, że zrobił to, o co go prosiłam, ale i tak jest mi przykro.

– Eden! Myślałam, że masz wolne! – wykrzykuje Maddie.

Kładzie przede mną małą kwadratową serwetkę, a na niej szklankę z lodowatą wodą. Przefarbowała włosy na fioletowe, przez co mocno kontrastują z jej bladą skórą. Przenoszę wzrok

na mały srebrny pierścień z węzłem na jej różowym palcu. Bawi się nim, czekając na moją odpowiedź.

– Bo mam – przyznaję. – Okazało się jednak, że nie posiadam żadnego hobby, a poza tym chciałam spędzić trochę czasu z Zoey przed jej wyjazdem na wakacje.

Jakby na zawołanie Zoey wychodzi z biura z segregatorem zamówień pod pachą. Drugą ręką zbiera włosy i zaciska na nich spinkę w kształcie żółwia. Sukienka z falbanką, którą ma na sobie, odślania świeżo zbrązowiałą skórę, której kolor zawdzięcza samoopalaczowi. Rdzawe plamy na jej plecach to dzieło moich bladych palców.

– Nie wiem, czy coroczną wycieczkę Allen Family Beach Trip można uznać za wakacje. Wszystkich krewnych sadzają przy dziecięcym stoliku, chociaż dobijamy do trzydziestki. Choć cieszy mnie wasza zazdrość – rzuca, po czym wchodzi do kuchni. Zapewne chce omówić z Santim zamówienia.

Maddie robi minę z pogranicza kpiny i obrzydzenia. Diamentowy ćwiek w jej nosie błyszczy w świetle lampy.

– Nie wyobrażam sobie spędzenia całego tygodnia z moją dalszą rodziną pod jednym dachem. To nie skończyłoby się dobrze.

– Ja też nie – mamroczę.

Telefon Maddie informuje o nadejściu esemesa. Wyjmuje go z kieszeni fartucha, wciąż się krzywiąc. Muszę przyznać, że jej olewczy sposób bycia oraz niechęć do większości ludzi zaczynają mi się podobać. Jest irytująca, gdy próbuję nią rządzić, ale świetna, gdy potrzebuję kogoś, z kim mogę ponarzekać.

Odpisuje na esemes, po czym chowa telefon z powrotem do kieszeni i patrzy mi w oczy.

– Chcesz coś na lunch?

– Wezmę hamburgera – odpowiadam.

Cały czas śledzę spod oka wszystkie ruchy Chase'a, w których jest bardzo oszczędny, odkąd przy nim usiadłam. To utrudnia prowadzenie jakiegokolwiek sensownej rozmowy z kimkolwiek innym.

– Ze wszystkimi dodatkami?

– A da się inaczej? – pytam.

Maddie wzrusza ramionami i odchodzi, żeby wpisać moje zamówienie do systemu, a następnie wędruje na koniec baru, gdzie siedzi jej dziewczyna, Camille. Biorą się za ręce i nachylają do siebie, śmiejąc z czegoś, co powiedziała Maddie. Intymność ich gestów budzi moją zazdrość. Jeszcze bardziej uświadamiam sobie wielkość dystansu między Chase'em a mną – i to nie tylko tego fizycznego.

Zander jest pogrążony w rozmowie z dwoma starszymi mężczyznami po mojej lewej stronie, którzy z tego, co wiem, wędrowali szlakiem PCT w latach osiemdziesiątych i chcą podzielić się z nim całą swoją wiedzą. Pozbawiona możliwości porozmawiania z kimkolwiek, siedzę w milczeniu obok Chase'a i patrzę, jak kropelki wody spływają po mojej szklance na serwetkę. Kątem oka widzę, że przerwał jedzenie w połowie i zaciska, a potem rozluźnia palce na wymyślonej piłeczce antystresowej.

W końcu odwraca się w moją stronę i wciąga powietrze, jakby szykował się do przemówienia. Już wstępuje we mnie nadzieja, gdy nagle czyjaś ręka mocno klepie mnie po plecach. Odwracam się i widzę przed sobą Gary'ego uśmiechającego się od ucha do ucha. Drugą rękę kładzie na ramiona Chase'a i przez chwilę nas obejmuje. Chase omija mnie wzrokiem, tymczasem ja patrzę tylko na niego.

Gary ma na sobie cienką jasnoniebieską koszulę z dwiema kieszeniami na torsie. Pachnie kremem do opalania połączonym z kwaśnym dymem cygar. Patrzy z dumą na nasze twarze, nie zwracając uwagi na unoszące się w powietrzu napięcie.

– Co tam u was, gołąbki? – pyta niskim głosem.

Chase krztusi się piwem i patrzy prosto na mnie. To jedyny bezpośredni kontakt wzrokowy, jaki nawiązał ze mną w ciągu tygodnia. Jego tęczęwki są ciemne, o nieodgadnionym wyrazie.

Gary śmieje się i ściska tył szyi Chase'a.

– Spokojnie. Nieczęsto mi się zdarza, że w środku nocy budzą mnie dwie osoby gramolące się po schodach.

Grdyka Chase'a drga, gdy przełyka piwo. Odwraca się ode mnie. Wzdrygam się w duchu, ale udaje mi się zachować coś, co – mam nadzieję – jest neutralnym wyrazem twarzy. Powinnam była zostać dziś w domu.

Zoey ma idealne wyczucie czasu. Dokładnie w tej chwili przynosi mojego hamburgera i frytki. Wahadłowe drzwi kuchni zamykają się za nią ze skrzypieniem. Jej niebieskie oczy rozjaśniają się na widok Gary'ego.

– Co dziś porabiałeś? – pyta, mierząc go wzrokiem.

– Rano byłem na rybach. – Pochyliła się i szepcze mi na ucho: – Dużo więcej zabawy niż z pasjanssem.

Chase przykrywa serwetką swoje na wpół zjedzone burrito i dopija piwo.

– To, co zwykle, Gary? – pyta Zoey, jedną ręką chwytając talerz Chase'a, a drugą jego pustą szklankę.

– Nie, żołądek wciąż mi dokucza – odpowiada, krzywiąc się nieco. Klepie się po brzuchu, żeby wskazać źródło swojego dyskomfortu. – Zjem coś lekkiego w domu. Chciałem tylko zobaczyć się z moją dziewczyną, zanim wyjedzie.

– Przysięgam, Gary, jeśli po moim powrocie będziesz chudszy ode mnie, nigdy ci tego nie wybaczę – żartuje moja przyjaciółka.

Widzę cień lęku na jej twarzy, tak krótki, że większość ludzi by go nie zauważyła. To, że nie podkradł ani jednej frytki z mojego talerza, mnie również napełnia niepokojem. Zanim udaje mi się go o to zapytać, Chase chrząka i w końcu odzywa się po raz pierwszy, odkąd tu usiadłam.

– Zo, czy mogę dostać tacos dla Aarona na wynos? Obiecałem, że przyniosę mu lunch. – Jego głos jest ochrypły, ale sam jego dźwięk sprawia, że mrowi mnie w palcach.

Od chwili, gdy tu trafiłam, desperacko pragnę cofnąć wszystko, co powiedziałam wtedy na schodach. Błagać, żeby na mnie spojrzał, przemówił do mnie, wybaczył mi. Dźwięk jego głosu jest ostatnią kroplą kruszącą to, co pozostało z mojej obrony. Zaczynam w duchu ćwiczyć przeprosiny, które wygłoszę następnym razem, gdy będziemy sami.

– Jasne. To mi przypomina, że w niedzielę po moim powrocie nasza piątka – Zoey pokazuje na nas, a potem na Zandera – wybiera się na wspólną wędrownkę.

Zander kiwa głową, by potwierdzić jej słowa, po czym wraca do rozmowy o turystycznych filtrach do wody.

– Nasza piątka? – powtarzam, przepełniona nerwowym podnieceniem.

Idealny nowy początek.

– Tak, Aaron, Chase, Zander, ja i ty – wyjaśnia Zoey.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – mówi Chase szorstko.

Uchodzi ze mnie powietrze. Wszyscy milkną, próbując zrozumieć jego odpowiedź. Ja nie muszę. Zaczynam odbudowywać mury wokół siebie. Będą wyższe niż poprzednie.

– Och, nie martw się, z jej kostką jest już wszystko dobrze. Nic jej nie będzie – odpowiada Zoey, machając lekceważąco ręką.

Zanim Chase ma okazję zaprzeczyć i wyjaśnić, że jestem niestabilną emocjonalnie suką, odpycham się od kontuaru i biorę torebkę. Nawet nie spróbowałam swojego hamburgera.

– Na śmierć zapomniałam, że mam dziś spotkanie. Przepraszam za burgera. Gary, powinieneś przynajmniej go spróbować – mówię, odchodząc od baru. Wszyscy patrzą na mnie tak, jakby nagle wyrosła mi druga głowa. Tylko Chase nie poruszył się ani o centymetr. – Zo, jutro rano podrzucę cię na lotnisko.

Zanim zdążą zareagować, wychodzę. Idę szybko chodnikiem, by jak najszybciej zniknąć im z oczu. Zatrzymuję się za rogiem i biorę gwałtowny wdech, próbując się uspokoić. Cięży mi świadomość, że skrzywdziłam Chase'a tak bardzo, że nie da się tego naprawić. Właśnie tego się bałam.

Nagle burczy mi w brzuchu. Najwyraźniej mojego żołądka nie zraziły wydarzenia ostatnich dwudziestu minut. Dokładnie w tej samej chwili z kawiarni Rose wychodzą trzy nastolatki i na ulicę dociera aromat jej wypieków. Kilka wypełniających mój żołądek frytek desperacko domaga się towarzystwa, ja zresztą również, dlatego otwieram drzwi kawiarni tuż po tym, jak się zamknęły.

Rose patrzy na mnie przez szybę gabloty i uśmiecha się promiennie. Wkłada do środka ostatnią babeczkę i zasuwa szybę. Kiedy się prostuje, jej głowa ledwo sięga nad gablotę. Na widok tych wszystkich smakołyków burczenie w moim brzuchu staje się tak głośne, że na sto procent je słyszy.

– Co ci podać, Eden? – pyta, a jej głos jest wesoły jak radiowy dżingiel.

Chcę powiedzieć, że wszystko, ale ograniczam się do bananowo-orzechowej muffinki i dużej mokki. Rose wrzuca muffinkę

do torebki, po czym dorzuca do niej gratisowe ciasteczko z melasą. Podaje mi je, a następnie wciska mi kubek z ciepłą kawą. Czuję się jak w czyichś objęciach, których w tej chwili rozpaczliwie potrzebuję.

– Widziałam, jak w zeszłym tygodniu Chase niósł cię na barana – mówi Rose, podając mi moją kartę i paragon. – Od chwili, gdy cię poznałam, byłam pewna, że do siebie pasujecie.

Wiem, że ma dobre intencje, ale jej komentarz sprawia, że robi mi się niedobrze. Chyba się skrzywiłam, bo przestaje się uśmiechać i niemal widzę, jak w jej umyśle zaczynają się obracać zębaki.

– Chodzi mi o to, że... – przerywa, by starannie dobrać słowa, zupełnie jakby to były składniki jednego z jej wypieków. – Po prostu sprawiasz wrażenie osoby potrzebującej odrobiny światła w życiu, a Chase jest wielkim promieniem światła, wiesz?

Wiem. Wiem dokładnie, co ma na myśli, i w tym momencie boli mnie to tak bardzo, że tylko kiwam głową i odwracam się, bo nie chcę o tym dłużej myśleć. Słyszę, jak wychodzi z lady, ale się nie zatrzymuję. Jedynym gościem w kawiarni jest mężczyzna, który stoi przy oknie, blokując mi wyjście. Upuszcza dwa zmięte banknoty dolarowe na stolik obok swojego pustego kubka, po czym przerzuca torbę przez ramię. Kiedy czekam, aż wyjdzie, Rose mnie dogania.

Dotyka mojego łokcia, a ja odwracam się do niej, czując się trochę jak worek treningowy właśnie sponiewierany przez boksera. Jej wyraz twarzy jest życzliwy, a duże orzechowe oczy wyłapują każdą myśl, jaka przechodzi mi przez głowę. Naprawdę muszę popracować nad tym, żeby nie być taką otwartą księgą. Jest tak, jakbym wszystkie słowa, których nie chcę wypowiedzieć, i tak miała wypisane na czole.

Rose spogląda ponad moim ramieniem, czekając, aż za mężczyzną zamkną się drzwi, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Przepraszam, jeśli wtedy u Zoey przesadziłam. I dwie sekundy temu też – mówi szczerze. – A także dlatego, że zaraz zrobię to ponownie.

– Nie ma sprawy, Rose. Po prostu nie jestem dobra w mówieniu o... czymkolwiek – wyjaśniam, wpatrując się w plamę na czubku mojego białego płóciennego buta.

– To dobrze. Jestem w tym dobra tylko dlatego, że mam dużo praktyki. – Zerkam na nią i widzę smutny uśmiech na jej ustach. – Eden, mój tata był alkoholikiem. To trwało przez całe moje dzieciństwo. Wyszedł z tego dopiero, gdy wzięłam ślub, a mama złożyła pozew o rozwód. Teraz jest z nim już lepiej, podobnie jak i z ich małżeństwem, ale ja borykam się z traumą niemal każdego dnia.

– Przykro mi – odpowiadam, nie wiedząc, jak ją pocieszyć.

– Mówię ci o tym tylko dlatego, że pamiętam słowa Zoey. Nie wiem, przez co przeszłaś, ale chcę, żebyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała rozmowy, to jestem do dyspozycji. Nie ty jedna masz problemy z ojcem.

Śmieję się cicho, a ona się uśmiecha, choć jej oczy pozostają poważne.

– Jeszcze jedno – dodaje. – Chase jest niesamowity. Wiem, że to wiesz. Ale i tak na początku może być ci trudno. Mnie z Mitchellem było. Ale robi się lepiej. Musisz tylko być gotowa pokazać mu, że cierpisz.

Szcypie mnie lekko w łokieć, po czym odwraca się i idzie za ladę.

– Dobra, wystarczy już na dzisiaj tych niechcianych porad. Podgrzać ci muffinkę, zanim pójdziesz?

– Nie, jest jeszcze ciepła. – Obdarzam ją nikłym uśmiechem. Na więcej nie mogę się zdobyć. – Dziękuję ci, Rose. Za wszystko.

– Nie ma problemu. Wpadaj, kiedy tylko przyjdzie ci ochota.

Wiem, że mówi poważnie, i chcę się zgodzić. Chciałabym być tak otwarta jak ona i zdradzić jej najbardziej ponure szczegóły mojej historii. Chciałabym usiąść z nią przy stole i powiedzieć, jak bardzo cierpię.

Zamiast tego przyciskam swoją letnią muffinkę do piersi i wychodzę bez słowa.

Rozdział 17

Przenikliwy dzwonek telefonu wyrywa mnie ze snu. Na początku jestem zdezorientowana, pokój wokół mnie wiruje, gdy próbuję się dobudzić. Siadam i przesuвам dłonią po stoliku nocnym, szukając znajomego gładkiego plastiku obudowy komórki. Światło ekranu jest oślepiające, kiedy odwracam aparat, żeby zobaczyć, kto do mnie dzwoni w środku nocy. Gdy moje oczy są już w stanie się skupić, widzę, że jest godzina pierwsza, a pod nią wyświetla się imię „Gary”

– Halo? Co się stało?

Panika ścina lodem krew w moich żyłach. Istnieje niewiele powodów, dla których Gary dzwoniłby do mnie o takiej porze, i żaden z nich nie może być dobry.

– Eden, dzięki Bogu – wzdycha Gary, po czym jęczy z bólu. – Musisz mnie zawieźć do szpitala.

Zrywam się z łóżka, otwieram górną szufladę komody i wyciągam pierwszą parę spodni, na jaką natrafiam. Przełączam rozmowę na głośnik i odkładam komórkę, żeby włożyć stanik. Ciężki oddech Gary’ego wypełnia ciemny pokój. Wsuwam nogi w klapki, chwytam torebkę, wypadam przez drzwi i zbiegam po schodach.

– Jesteś w domu? Masz zawał?

Strach kurczy mi serce w zaciśniętą pięść. Cofam samochód i wpatruję się w ciemne okna domu Zoey, rozpaczliwie pragnąc, by była tutaj zamiast gdzieś na plaży na Florydzie.

– Jestem w domu. Nie wiem... Aaa! – krzyczy. – Boli mnie brzuch. Boli mnie plecy. Wszystko mnie cholernie boli! – Panika w jego głosie sprawia, że mocniej naciskam pedał gazu.

– Jestem już prawie na miejscu, Gary, trzymaj się. Może wezwę karetkę?

Mijam znak stopu i skręcam w Main Street. Przejeżdżam obok cichych o tej porze lokali, oświetlonych jedynie światłem księżyca. Gdy zatrzymuję się przy kawiarni Rose, widzę, że okno nad barem świeci się na żółto.

– Nie zapłacę za karetkę. To tylko piętnaście minut autostradą – marudzi.

Mimo bólu to wciąż jest Gary.

Zostawiam samochód na chodzie i pokonuję po dwa schodki naraz. Drzwi ma na szczęście otwarte. Wpadam do mieszkania, które jest lustrzanym odbiciem lokum Chase'a. Ponieważ nie widzę go w kuchni ani w salonie, wchodzę do sypialni, a następnie do łazienki.

Gary leży na podłodze, przy sedesie. W powietrzu unosi się ostry zapach żółci. Miskę klozetową i deskę sedesową pokrywają wymiociny. Powstrzymuję mdłości i odwracam wzrok, skupiając uwagę na Garym. Trzyma się za brzuch, krzywiąc się przy każdym płytkim wdechu. Twarz ma białą jak kreda, a po jego łysej głowie ścieka pot.

– Jestem tutaj. Podniosę cię. Wszystko będzie dobrze.

Chwytam go pod ramiona i dźwigam ze wszystkich sił. Udaje mu się podeprzeć na mnie i podnieść się z podłogi. Każdemu pokonanemu przez niego centymetrowi towarzyszy głośny jęk. Kopię stopą w spłuczkę, po czym jakimś cudem udaje mi się wyciągnąć Gary'ego z łazienki do sypialni. Jesteśmy już prawie

na korytarzu, gdy nagle on zwija się z bólu i przez chwilę myślę, że wymiotuje na nasze buty.

– Nie wiem, czy uda mi się zejść po schodach – mówi.

Pomagam mu się usadowić na fotelu w kącie pokoju.

– Nie dam rady cię nieść! – odpowiadam.

– Idź po Chase’a – szepcze z trudem. – On może pomóc.

Macha ręką, jakby chciał mnie odgonić, więc nie waham się dłużej, tylko wypadam na schody i zbiegam po nich, po czym wbiegam po schodach Chase’a. Walę w jego drzwi, zanim dociera do mnie, że jestem prawdopodobnie ostatnią osobą, którą chce widzieć.

Otwiera zaspany i przeciera oczy. Ma na sobie nisko opuszczone spodenki gimnastyczne i nic poza tym. Nagle jestem wdzięczna za własną panikę, bo dzięki niej ten widok nie może mnie rozproszyć.

– Eden? Co jest, do cholery? – Zakłopotanie na jego twarzy zastępuje troskę, gdy widzi mój wyraz twarzy.

– Gary jest chory, chce, żebym zawiozła go do szpitala, ale ledwo chodzi, muszę go jakoś ściągnąć na dół...

Zanim udaje mi się dokończyć zdanie, Chase wycofuje się w półmrok swojego mieszkania, a chwilę później pojawia się ponownie w koszulce i butach. Wspólnie wracamy do mieszkania Gary’ego.

– Co się stało? – pyta Chase na widok staruszka.

Podnosi go na nogi z ledwo widocznym wysiłkiem, a potem próbuje zrobić z nim kilka kroków, trzymając go w pasie. Napotyka jednak ten sam problem, co wcześniej ja. Patrzy na mnie ponad zgiętym w pół Garym i strach wypełnia jego oczy.

– Przynajmniej na coś się przyda to twoje łożenie po górach – komentuje Gary. – Poza tym dzięki niej masz już praktykę

w noszeniu ludzi.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, że jest trochę lżejsza od ciebie. – Chase waha się przez kilka sekund, w końcu jednak podejmuje decyzję i klęka przed Garym. – Wskakuj, staruszk.

Wydawałby się to zabawny widok, gdyby nie był taki przerażający. Gary puszcza brzuch i zarzuca ręce na szyję Chase'a. Pomimo drżenia nóg w trakcie wstawania z kolan, Chase całkiem dobrze sobie radzi. Puszczam ich przodem i chwytam portfel oraz klucze Gary'ego z kuchennego blatu, po czym zamykam drzwi. Na dole schodów wyprzedzam ich, żeby otworzyć drzwi samochodu. Chase powoli stawia Gary'ego na nogi, a ten zajmuje miejsce z przodu i wciąga powietrze. Zamykam za nim drzwi i pędzę na stronę kierowcy. Chase bez słowa siada z tyłu. O nic nie pytam. Wyjeżdżam na ulicę i ruszam w przeciwnym kierunku niż zwykle, podążając za wskazówkami GPS-u.

Droga mija nam w ciszy, jeśli nie liczyć jęków Gary'ego i warkotu silnika. Czuję się tak, jakbym jechała w zwolnionym tempie. Zawsze zaskakuje mnie, że w chwilach pełnych cierpienia czas płynie nieskończenie wolno. Dlaczego te momenty nie mogą mijać równie szybko jak te, które sprawiają nam radość?

Wydaje się, jakby nasza podróż trwała wieczność. W końcu podjeżdżam przed szpital. Zostawiam Gary'ego i Chase'a w samochodzie i wbiegam na ostry dyżur. Kiedy wracam z dwoma pielęgniarkami, Chase otwiera drzwi i pomaga przenieść Gary'ego na wózek inwalidzki. Potem okrąża samochód i siada za kierownicą.

– Zaparkuję. Ty idź z nim – mówi, gdy zaglądam przez okno.

Wycofuje auto z podjazdu. Odwracam się, żeby wejść za Garym do budynku szpitala. Zapach środka dezynfekującego piecze mnie w nos.

W poczekalni przenoszą go na nosze i zawożą przez podwójne drzwi do sali triażowej. Pulchna pielęgniarka w ciemnoniebieskim fartuchu i z natapirowanymi szpakowatymi włosami wręcza mi podkładkę z dokumentami.

– Gdzie go zabieracie? Mogę iść z nim? – pytam.

Automatyczne drzwi za mną rozsuwają się i do poczekalni wchodzi Chase. Dołącza do mnie.

– Najpierw przeprowadzimy kilka badań. Mogłaby pani wypełnić te dokumenty?

Głos pielęgniarki jest nosowy i pozbawiony zainteresowania. Wiem, że ona cały czas widzi gorsze przypadki, ale odrobina współczucia by jej nie zabiła. Chase kładzie dłoń na moich plecach i delikatnie prowadzi do rzędu twardych plastikowych krzesełek stojących pod ścianą. Jestem mu wdzięczna za wsparcie, bo adrenalina przestaje działać i czuję się tak, jakbym w każdej chwili mogła zemdleć.

Siada na krześle obok mnie i zabiera z moich rąk portfel Gary'ego. Zagląda do środka i wyjmuje z kieszonki dowód osobisty oraz karty ubezpieczeniowe. Ściszone głosem odczytuje potrzebne mi informacje. Nie znam historii chorób Gary'ego, ale Chase przypomina sobie, że staruszek kilka miesięcy temu narzekał, że zdaniem lekarza ma za wysoki cholesterol. Wypełniam te rubryki, które jestem w stanie uzupełnić, po czym wstaję, by zanieść dokumenty pielęgniarce. W tej samej chwili otwierają się podwójne drzwi i do poczekalni wraca pielęgniarz, który wiozł Gary'ego na wózku.

– Pani to Eden? – pyta.

Na jego szpitalnym identyfikatorze obok małego zdjęcia widzę imię Jackie. Patrząc na podkładkę, którą trzyma w rękach, dostrzegając przy tym ciemne tatuaże na jego brązowej skórze.

Próbuję przeczytać, co jest napisane na kartkach, żeby sprawdzić, czy Gary'emu nic nie jest. Chase podchodzi do mnie i ponownie kładzie dłoń na moich plecach, uspokajając wzbierającą we mnie panikę.

– Tak – odpowiada za mnie.

– Pan Barbeau powiedział nam, że jest pani jego córką. Może pani do niego iść, leży w sali triażowej.

Oddaję wypełnione formularze pielęgniarce w recepcji i patrzę na Chase'a.

– Czy on może pójść ze mną? – pytam.

Jackie spogląda na Chase'a i jego rękę na moich plecach.

– To pani mąż?

Zanim udaje mi się wymyślić odpowiedź, Chase mówi stanowczym głosem:

– Nie.

Nie powinno mnie to dotknąć, bo przecież to prawda. Ale czuję się upokorzona, że tak szybko zaprzeczył. Mógł skłamać jak Gary, żebyśmy oboje mogli tam pójść.

– Przepraszam, ale na razie tylko rodzina. – Jackiemu chyba naprawdę jest przykro.

Chase odsuwa się ode mnie i zabiera rękę z moich pleców.

– Masz kluczyki do samochodu. Możesz jechać do domu. Odezwę się, gdy będę wiedziała coś więcej – obiecuję.

Kiwa głową, ale nie odpowiada. Ma taką samą poważną minę, jak tego wieczoru, gdy przyszedł do baru i zamówił whiskey.

Ruszam za Jackiem w kierunku podwójnych drzwi. Chase stoi i patrzy, jak wychodzimy.

Rozdział 18

Boże, jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami! – lamentuje Gary.

Śmieję się i odwracam, by spojrzeć na niego w szpitalnym łóżku. Temu ruchowi towarzyszy szelest ułożonej na oparciu fotela poduszki pod moją głową, który dołącza do dźwięków aparatury medycznej. Najwyraźniej Gary'emu wrócił apetyt. Na jego twarzy pojawiły się też kolory.

– Wątpię, czy są tu jakieś konie. Za jakąś godzinę przyjedzie Chase, żeby zabrać cię do domu. Zobaczę, czy do tego czasu uda się załatwić coś do jedzenia.

Wsuwam stopy w klapki i wybiegam na korytarz. Jest wczesny ranek, tuż po zmianie pielęgniarek. Mija mnie salowa z zielonym mopem, wita się ze mną krótko i uśmiecha. Zanim zdążę odpowiedzieć, rusza dalej, zajęta zagarnianiem kurzu.

Pięć kobiet w fartuchach w kolorze barwinka krąży po pokoju pielęgniarek. Rozmawiają cicho, zbierają to, czego potrzebują, i idą do następnego pacjenta, który wymaga ich uwagi. Podchodzę do drobnej, rudej kobiety siedzącej za biurkiem przy komputerze. Przerywa pisanie i spogląda na mnie z promiennym uśmiechem.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta.

– Tak się zastanawiam, czy macie tu jakieś przekąski, które mogłabym dać ojcu przed powrotem do domu?

Posyła mi konspiracyjne spojrzenie i daje znać ręką, bym zaczekała. Po chwili wraca z galaretkami o różnych smakach oraz

dwoma małymi lodami waniliowymi z wetkniętymi w nie drewnianymi łyżeczkami. Biorę je od niej i dziękuję, ciesząc się, że mam smakołyki dla Gary'ego.

Kiedy kładę mu je na kolanach, krzyczy z radości.

– Tutaj lepiej nie krzyczeć – upominam go ze śmiechem. – Bo znowu cię pokroją, myśląc, że nie wycięli wszystkiego.

– Wierz mi, że z mojego woreczka żółciowego nic już nie zostało.

Zdejmuje aluminiową pokrywkę z galaretki truskawkowej i siorbiąc, wyjada ją bezpośrednio z pojemnika. Wyciągam do niego łyżeczkę, ale tylko macha ręką. Zaczynam jeść lody, ale czuję bardziej smak drewnianej szpatułki niż wanilii.

– Trudno mi wyrazić, jak bardzo doceniam to, że się o mnie troszczysz, Eden.

Gary patrzy na mnie z uśmiechem. Kawałek czerwonej galaretki przykleił mu się do siwej brody. Pokazuję, żeby ją wytarł.

– Jesteś w tym bardzo dobra. Skąd wiedziałaś, że mają tu przekąski?

Kończę lody i wkładam swój pusty pojemniczek w jego, po czym wyrzucam je do kosza na śmieci. Potem wracam na fotel, na którym spałam łącznie nie więcej niż godzinę, przez całą operację.

– Kiedy moja siostra urodziła drugiego syna, mama i ja poleciałyśmy do Teksasu, żeby być przy niej. Mój szwagier jest uznanym onkologiem w szpitalu Andersona i nie mógł wziąć wolnego, żeby cały czas przy niej być. Mama zajęła się moim starszym siostrzeńcem, a ja zostałam w szpitalu z Jarrettem i Ellą, żeby był ktoś przy niej, gdyby mąż został wezwany do jakiegoś nagłego przypadku.

Wspominam to, jak kuliłam się w szpitalnym łóżku obok Elli. Opowiadam też Gary'emu o tym, jak wpatrywałam się w słodką,

pyzată twarz Austina i próbowałam ustalić, do którego z rodziców jest bardziej podobny (moim zdaniem po Elli odziedziczył podbródek, a po Jarretcie nos). Przypominam sobie, jak robiłam Elli chłodzące wkładki z podpasek i wody oczarowej i śmiałyśmy się, że przypominają pieluchy. Najbardziej jednak lubiłam lody, które dostawałam od pielęgniarek, podczas gdy Austin spoczywał w ramionach Elli.

– Nauczyłam się, kogo prosić o pomoc – mówię z uśmiechem.

Gary obserwuje mnie w zamyśleniu, połykając kolejny kęs galaretki.

– Co? – pytam.

Kręci głową.

– Nic, po prostu przypominasz mi Wendy. Żyła dla innych, dbała o nich. Zawsze wiedziała, czego potrzebują.

– To chyba dobrze. – Pochlebia mi to porównanie do jego zmarłej żony.

Spodziewałam się uśmiechu, ale kąciki jego ust opadają. Chyba wyglądam na zdezorientowaną, bo znów kręci głową.

– Nie zrozum mnie źle, to urocza cecha – mówi. – Zastanawiam się tylko, czy podobnie jak ona pozwolisz kiedyś, żeby ktoś zatroszczył się o ciebie.

Wzruszam ramionami, bo nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Siedzimy w milczeniu. Po raz kolejny sprawdzam telefon w poszukiwaniu jakichkolwiek wiadomości od Chase'a. Gary to zauważa i odstawia pusty pojemnik po drugiej galaretkce, po czym składa ręce na kolanach.

– Co się dzieje między wami? – pyta, pokazując na moją komórkę.

– Co masz na myśli? – odpowiadam, udając głupią.

Wydyma wargi, dając mi do zrozumienia, że go nie przechytrzę.

– Tamtego dnia w barze oboje zachowywaliście się dziwnie. Chase nie jest cichym gościem, a ty nie jesteś jedną z tych, co to odpuszczają sobie hamburgera.

Przewracam oczami.

– Jeśli zauważyłeś, jak bardzo było niezręcznie, dlaczego zacząłeś wygadywać bzdury o tym, że słyszałeś nas na schodach?

– Bo uwielbiam się wtrącać! – odpowiada ze śmiechem. – Gdybym nie otworzył baru, założyłbym gazetę tylko po to, żeby wściubiać nos w cudze sprawy.

Ciągnę za dźwignię, żeby rozłożyć fotel i po chwili patrzę już na sufit zamiast na Gary’ego. Nie wiem, czy to przez brak snu, czy przez dramatyczne wydarzenia tej nocy, ale chcę być z nim szczerą. Tyle że nie mam ochoty na kontakt wzrokowy.

– Spieprzyłam to – przyznaję. – Odbiło mi i powiedziałam, żeby się do mnie nie odzywał, a on poważnie podszedł do sprawy.

– W takim razie przeproś go. Chase to wyrozumiały facet – odpowiada.

Żeby to było takie proste!

– Chciałabym, aby to wystarczyło. Ale tak jest chyba najlepiej – mówię, bardziej po to, by przekonać siebie niż jego. – Wiele musiałabym zrobić, żeby zasłużyć na bycie z Chase’em.

Gary przesuwają się na łóżku, żeby na mnie spojrzeć, a leki przeciwbólowe sprawiają, że na razie nie odczuwa konsekwencji swoich ruchów. Zmuszam się, by oderwać wzrok od poplamionej wodą płyty sufitowej i napotykam jego badawcze spojrzenie.

– Więc bierz się do roboty – mówi stanowczo. – I to nie tylko dla Chase’a. Bo choć to świetny facet, osobą, która najbardziej zasługuje na najlepszą wersję siebie, jesteś ty sama.

Patrzę w dół na swoje ręce, żeby nie widział łez zbierających się w moich oczach. Nadal rozmyślam nad jego słowami, kiedy

rozlega się sygnał przychodzącego esemesa. To Chase.

– Jest tutaj.

Zjawia się lekarz, by przed wypisaniem Gary'ego przedstawić nam plan opieki nad nim. Staruszek bez skrępowania zdejmuje szpitalną koszulę, pokazując nam niemal wszystko, i wkłada swoje ubranie, po czym opada ciężko na wózek inwalidzki. Wyjeżdża ze szpitala do samochodu, w którym czeka Chase. Wszyscy jesteśmy skrajnie wycieńczeni. Nikt nie odzywa się podczas jazdy do domu ani wtedy, gdy Chase pomaga Gary'emu wejść po schodach.

Podgrzewam w mikrofalówce śniadaniowego wrapa, po czym zanoszę go do salonu. Gary siedzi skulony na kanapie. Gryzie kawałek i odchyła głowę, wzdychając z rozkoszy, jakby to było najlepsze danie, jakie jadł w całym swoim życiu. Zostawiam go z Chase'em, a sama sprzątam łazienkę środkami chemicznymi, które znalazłam pod zlewem. Kiedy kończę, lśni czystością i pachnie jak szpital.

Wracam do salonu i obserwuję, jak Chase się śmieje i bierze pusty talerz Gary'ego, a potem niesie go do kuchni.

– Co was tak rozbawiło? – pytam.

– Nic. Chase żartował z tego, że wczoraj w nocy zadzwoniłem do ciebie zamiast do niego. – Gary wzrusza ramionami. – Co mogę powiedzieć? Kobiety są bardziej niezawodne.

– Będę o tym pamiętać następnym razem, gdy zadzwonisz do mnie, by pożyczyć szklankę cukru – zapowiada Chase.

Próbuję się uśmiechnąć, ale ziewanie bierze górę.

– Możecie już iść – stwierdza Gary. – Nic mi nie jest. Zadzwonię do Rose, jeśli będę czegoś potrzebował.

Mruga do mnie, gdy Chase unosi z irytacją ręce. Pochylam się i całuję staruszkę w czoło.

– Przyniosę ci dziś kolację z baru. Pamiętaj, żeby regularnie brać środki przeciwbólowe.

Kiedy mi dziękuje, idę za Chase'em do drzwi. Otwiera je przede mną, a potem zamyka, gdy niespiesznie schodzę po schodach.

– Wiesz, że masz na sobie moją koszulkę? – rzuca za mną.

Zatrzymuję się i patrzę na szary T-shirt, w którym wybiegłam z domu ostatniej nocy. Na piersi ma wyhaftowane logo festiwalu muzycznego, na którym nigdy nie byłam. To ta koszulka, którą dał mi do przykrycia podczas pamiętnej nocy w jego mieszkaniu. Czuję, że czerwienię się ze wstydu.

Gdy się odwracam, żeby go przeprosić, widzę, że się do mnie uśmiecha. To najbardziej przyjazna mina, jaką widziałam na jego twarzy od czasu, gdy ostatni raz staliśmy razem na tych schodach.

– Wypiorę ją i przyniosę wieczorem – obiecuję.

Lustruje mnie wzrokiem, a isierki w jego oczach przypominają mi o naszym pierwszym spotkaniu.

– Zatrzymaj ją. I tak wyglądasz w niej lepiej ode mnie.

Rozdział 19

Kiedy przyjeżdżamy na szlak w niedzielny poranek, słońce dopiero zaczyna wyciągać ręce, rozciągając promienie światła nad łąką. Chłopaki są już na miejscu, rozbiły niedaleko obóz i spędziły w nim noc. Zoey parkuje obok samochodu Chase'a. Reflektory przesuwają się po sylwetkach całej trójki – siedzą na pace ciężarówki i popijają ze wspólnego termosu. Zabieramy plecaki z tylnego siedzenia i podchodzimy do nich.

Kostka już mnie nie boli, ale choć wiem, że jestem lepiej przygotowana mentalnie na tego rodzaju szlak, nie mogę opanować lęku przed ponowną kontuzją, zwłaszcza że tym razem miałabym znacznie większą publiczność. Jeśli zepsuję kolejną wycieczkę, raczej nie mam co liczyć na trzecie zaproszenie.

Gdy podchodzimy do ciężarówki, Aaron mówi coś podekscytowany do cichego i sennego Zandera. Chase bierze łyk ze srebrnego termosu, zakręca go i podaje Zoey. Moja przyjaciółka odkręca zakrętkę i podejrzliwie wącha. Po chwili pije.

– Jak zrobiłeś kawę? – pyta Aarona.

Podsuwa mi termos. Próbuję napoju, delektując się ciepłem, które wypełnia moje zmęczone ciało, oraz goryczą, która mu towarzyszy.

– Na ognisku. Zagotowałem wodę i dodałem paczkę kawy rozpuszczalnej. Może nie jest to lawendowe latte z „8th & Main”, ale daje radę – odpowiada Aaron i mruga do niej porozumiewawczo.

Najwyraźniej są na etapie przekomarzanek.

Zoey przewraca oczami i uderza go w ramię tak lekko, że Aaron nawet się nie wzdryga. Ma na sobie kwiecistą koszulkę bez rękawów, która eksponuje jego szczupłą, muskularną budowę, ale wygląda śmiesznie w zestawieniu z ciężkimi butami trekkingowymi. Zoey zdaje się tego nie zauważać.

– Wszyscy gotowi? – pyta, jak zwykle odgrywając rolę cheerleaderki.

– Tak – odpowiada Zander, choć jego nadmorski akcent sprawia, że brzmi to bardziej jak „taa”

On i Aaron zeskakują z paki, a Chase dopija kawę. Wreszcie chowa pusty termos do plecaka. Zauważam leżące za jego plecami brązowe pudełko, choć w mglistym świetle świtu nie jestem w stanie odczytać, co jest na nim napisane. Pozostali ruszają na przód ciężarówki. Ja i Chase stoimy, patrząc na siebie.

On pierwszy przerywa kontakt wzrokowy i sunie niespiesznie wzrokiem w dół mojego ciała. Zatrzymuje się na stopach i patrzy na swojego arcywroga: moje buty. Mruży oczy w sposób, który uwielbiam, a gdy się uśmiecha, biel jego zębów odcina się wyraźnie od pozostającej w cieniu twarzy. Pod nieobecność Zoey musiałam codziennie pracować, a poza tym doglądałam Gary’ego podczas jego rekonwalescencji, więc nie miałam czasu, by zrobić zakupy przed tą wyprawą. Wzruszam ramionami i spoglądam na niego przepaszająco.

Zeskakuje z paki i staje przede mną, ale po chwili się odwraca i chwyta pudełko. Kiedy mi je podaje, uświadamiam sobie, że to karton na buty.

– Otwórz – mówi.

Unoszę tekturową pokrywkę i widzę parę brązowych damskich butów trekkingowych z pomarańczowymi sznurówkami. Patrzę

na niego zdezorientowana i zarazem wzruszona tym gestem.

– Nie chcę więcej rannych kostek – wyjaśnia rzeczowo. – Przymierz.

Posłusznie zdejmuję adidas i wkładam buty, które od niego dostałam. Sznuruję je i robię kilka kroków, żeby je przetestować. Pasują wprost idealnie.

– Skąd znałeś mój numer? – pytam zdziwiona.

– Szczęśliwy traf. – Wzrusza ramionami i znajomy uśmiezek powraca na jego twarz.

Przez chwilę jest między nami prawie tak jak dawniej. Boję się poruszyć, żeby nie zepsuć tej magicznej chwili. Od tamtej pamiętnej nocy opiekujemy się wspólnie Garym, mimo jego gróźb, że poprosi Rose, by przejęła obowiązki Chase'a. Chase karmi Gary'ego, a ja sprzątam jego mieszkanie, piorę jego ciuchy i sprawdzam, czy bierze leki. Kiedy wczoraj skomentował, że jesteśmy jak irytujący nadopiekuńczy rodzice, wymieniliśmy się uśmiechami, które można było potraktować jak ofertę zawarcia pokoju.

– Żaden tam traf. Zapytał mnie o twój rozmiar, a ja mu powiedziałam – prycha Zoey za moimi plecami. – Ruszcie się wreszcie.

Chase podnosi klapę ciężarówki, a ja wrzucam swoje trampki do samochodu Zoey, po czym ruszamy za pozostałą trójką szeroką ścieżką, mijając tabliczkę wyznaczającą początek szlaku.

– Jeśli wszyscy trzej jesteście tutaj, to kto pilnuje sklepu? – pytam, oddychając z trudem.

Rozrzedzone powietrze o tak wczesnym poranku sprawia, że trochę kłuje mnie w płucach.

– Szef dał wszystkim wolne! – woła Aaron przez ramię.

Śmiejemy się. W ciemnych oczach Chase'a widzę dawny blask.

– Wywiesiłem na drzwiach kartkę, na której napisałem: „Zamknięte z powodu wyjazdu” – tłumaczy. Zatacza dłonią dookoła i dodaje: – Bo uważam to za wyjazd integracyjny.

Podążam wzrokiem za jego gestem i przez chwilę podziwiam widoki. Nieważne, ile razy bym go widziała, krajobraz Kolorado nigdy mi się nie znudzi. Wędrujemy w milczeniu, w tempie, które narzuca nam idący na czele Zander. Wokół nas świat budzi się do życia. Poranne słońce wysusza rosę na płatkach polnych kwiatów, wypełniając powietrze zapachem pary i trawy.

– Jak się poznaliście? – pytam.

Z akcentu Zandera wnioskuję, że nie pochodzi stąd, ale poza tym nie wiem o nich prawie nic.

– Chase i ja byliśmy razem w skautach – odpowiada Aaron.

Kiedy odwraca głowę, dostrzegam błysk potu na ciemnej skórze przy jego brwiach.

– To znaczy, obu nas wyrzucono ze skautów – prostuje Chase.

– Jak można zostać wyrzuconym ze skautów?

Zadaję to pytanie z dwóch powodów. Po pierwsze, nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe. Po drugie, Chase nie wygląda mi na osobę, którą się skądś wyrzuca. To już prędzej Aaron, z racji aroganckiej postawy. Chase – z pewnością nie.

– Powiedzmy, że było to połączenie włamania do barku mojego taty ze zdobyciem zioła od znajomych i pożyczeniem samochodu mamy Chase’a na przejażdżkę – odpowiada Aaron.

No tak, to wystarczy.

Zoey uderza Aarona w ramię.

– Za co? – mówi Aaron, pocierając je.

Chase zwalnia i patrzy na mnie kątem oka. Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami, przyswajając usłyszaną informację.

– Głupi wyskok – wyjaśnia i wykrzywia usta w grymasie. Jego policzki są bladoróżowe. Nie wypada mi tego komentować jako osobie, której najgłupszym wyskokiem było zerwanie się z lekcji, by zdobyć autograf ulubionego pisarza.

– Ja po prostu po przeprowadzce tutaj poszedłem do „Taylor’s Landing” kupić sprzęt do wspinaczki – wyjaśnia Zander, nie patrząc na nas. – Nie łącz mnie z ich działalnością przestępczą.

– I mówi to facet, który regularnie bierze grzybki! – wykrzykuje Aaron i zalicza kolejne uderzenie od Zoey.

Zaczynam myśleć, że ten facet to lubi.

Zander odwraca się i patrzy na mnie poważniej, niż się spodziewałam. Kędzierzawe blond włosy okalają jego zarumienioną twarz.

– Nie zaznał prawdziwej natury, kto nigdy nie miał odlotu.

– Wierzę ci na słowo – odpowiadam.

Nigdy nie zażywałam narkotyków i nie zamierzam próbować. Wielkie dzięki, wolę zachować kontrolę.

Mijamy rozsypującą się starą górniczą chatę, gdzieś leżą w stosach przegniłe deski. W trawie przy ścieżce zauważam zardzewiałą metalową skrzynię.

– Co to? – pytam, zatrzymując się obok starego wiadra.

Stoi na dwóch kamieniach, a wokół niego rosną dzikie, niesforne krzewy.

– Kiedyś była tu górnicza kolejka linowa – wyjaśnia Chase i się do mnie uśmiecha. – Zostawili ją ci sami ludzie, którzy porzucili ten budynek, gdy wydobywanie węgla wyszło z mody. – Kiwa głową w kierunku chaty za nami, a ja zerkam z powrotem na jej puste okna prowadzące prosto w ciemność.

Idziemy dalej. Pieczenie w płucach i nogach staje się czymś jak bicie serca, dowodem na to, że żyję i moje ciało naprawdę pracuje.

Kiedy ryk pędzącej wody dociera do naszych uszu przez labirynt strzelistych jodeł, wiem, że prawie dotarliśmy do celu.

Drzewa się przeredzają, a teren staje się coraz bardziej skalisty i pod naszymi stopami rośnie coraz mniej trawy, która tłumi nasze kroki. Moje kostki są wdzięczne za dodatkowe wsparcie, gdy omijam pęknięcia w kruszących się czarnych kamieniach. Szum wodospadu jest ogłuszający, gdy podchodzę do reszty grupy, która stanęła na czymś, co przypomina krawędź klifu. Podążam za ich spojrzeniami w dół i widzę stromą skałę przeciętą przez strumień białej wody. Wodospad jest oszałamiająco piękny, jego huk rozbrzmiewa w całym moim ciele, a woda pryska na moją i tak już spoconą twarz. Mimowolnie śmieję się pod wpływem ogromu tego wszystkiego. Pozostali się do mnie przyłączają.

– Zrób nam zdjęcie! – prosi Zoey i obejmuje Aarona, po czym podaje mi swój telefon.

Nawet po kilkugodzinnej wędrówce wygląda zjawiskowo. Dzikie loki wirują wokół jej twarzy, uwolnione z kucyka. Przy jej dobranych kolorystycznie legginsach i staniku sportowym moje czarne szorty i bluzka z długimi rękawami wyglądają niechlujnie. Pstrykam jedno normalne zdjęcie, na którym uśmiechają się do siebie, a potem Aaron chwyta Zoey i udaje, że rzuca ją w przepaść, co skutkuje znacznie lepszym ujęciem.

Ostrożnie stąpamy wzdłuż krawędzi wodospadu i schodzimy do spokojnego jeziora poniżej. Zander rozwiesza między dwoma drzewami hamak i mości się w nim, a na oczy naciąga kapelusz. Chase upuszcza swój plecak na ziemię obok mojego, po czym podchodzi i dołącza do Zandera, o mało nie łamiąc drzew, które mają utrzymać ciężar dwóch dorosłych mężczyzn.

– Złaż ze mnie, gościu! – krzyczy Zander, choć sądząc z tonu jego głosu, w rzeczywistości wcale nie jest wkurzony. – Przytulaliśmy

się całą noc. Potrzebuję trochę przestrzeni!

Chase śmieje się, ale wyskakuje z hamaka i ląduje z głośnym hukiem na ziemi. Po chwili wstaje i otrzepuje się z kurzu.

– Odnoszę wrażenie, że mógłbyś tak żyć, spać w takim hamaku każdej nocy i być szczęśliwy – mówię do Zandera.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek widziałam jakiegokolwiek dowody na to, że masz naprawdę dom, do którego wracasz – dodaje Zoey, śmiejąc się.

Aaron rzuca w jej kierunku garść borówek. Jedną z nich Zoey łapie w usta, pozostałe uderzają ją w twarz.

– Pewnie, że by mógł tak żyć – odpowiada na moje pytanie Chase. – Zander jest nomadą.

– Nomadą? – powtarzam.

– Nie słuchaj go, mówi tak tylko dlatego, że dużo podróżuję – mamrocze Zander spod swojego kapelusza. – Nomadzi nie mają domu, do którego mogliby wrócić. Ja zdecydowanie mam. Tyle że moim domem nie jest miejsce, ale wy.

Jego wyznanie wywołuje u mnie uśmiech.

– Dobra, dobra – kontruje Aaron. – To tylko zgrabny sposób na powiedzenie, że jest się couchsurferem.

Wszyscy się śmiejemy z wyjątkiem Zandera, który wydaje się drzemać.

Aaron i Zoey idą wzdłuż brzegu do płytkiej wychodni, zdejmują buty i brodzą w wodzie poza zasięgiem słuchu. Siedzę na brzegu, z bosymi stopami zanurzonymi w chłodnym nurcie. Chociaż buty uratowały moje kostki, tam gdzie nie ochroniły mnie skarpetki, utworzyły się pęcherze.

Chase rozpakowuje za mną swój plecak. Słyszę brzęk szkła i zbliżające się kroki. Coś zimnego naciska na mój kark. Kiedy się odwracam, widzę znajomą butelkę lemoniady. Uśmiecham się,

biorę ją i piję łyk. Chase przyłącza się do mnie. Siedzimy obok siebie na gładzie, pijąc lemoniadę i patrząc, jak woda lśni w jasnych promieniach słońca.

– Cieszę się, że do ciebie zadzwonił – odzywa się po chwili.

Kiedy na niego spoglądam, okazuje się, że mnie obserwuje. Zastanawiam się, jak długo to robił, gdy ja rozmyślałam, co bym mu powiedziała, gdybym tylko zdobyła się na odwagę.

– To znaczy Gary.

– Dlaczego?

Jego oczy mają dziś kolor ciepłego karmelu, a rzęsy rzucają cień na tęczołki. Zbrązowiła skóra jest usiana jeszcze większą ilością piegów niż wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Mam wrażenie, że ta kolekcja powiększa się za każdym razem, gdy Chase wychodzi na dwór. Przygląda się mojej twarzy, jakby szukał nie wiadomo czego. W końcu albo to znajduje, albo rezygnuje z poszukiwań, bo mi odpowiada:

– Nie dałbym rady zrobić tego, co zrobiłaś ty. Zachowałaś spokój. Dowiozłaś go tam, gdzie trzeba, i powiedziałaś pielęgniarcom wszystko, co musiały wiedzieć. Nie okazałaś ani odrobiny strachu.

Zachwyty w jego głosie sprawia, że czuję się odważniejsza, niż naprawdę jestem.

– Co ty opowiadasz? To ty przez cały czas zachowywałaś spokój.

Pamiętam, że przez całą drogę do szpitala byłam przerażona. Jedyną rzeczą pozwalającą mi oddychać była świadomość, że Chase siedział zaraz za mną.

Kręci głową i nagle dociera do mnie, że jego twarz nigdy wcześniej nie była tak otwartą księgą. Maluje się na niej podziw i coś jeszcze, ukryty strach, który wychodzi na powierzchnię.

– Eden, bałem się jak cholera. Za każdym razem, gdy patrzyłem na Gary’ego, miałem przed oczami mojego tatę. Po jego ataku serca jechałem z nim karetką. Byłem przy tym, gdy odszedł. – Emocje w nim są tak wielkie, że nie może się zmusić, by mówić dalej.

Kiedy wyobrażam sobie, jak ten radosny, piękny mężczyzna bezradnie i z przerażeniem patrzył na śmierć swego ojca, mam wielką ochotę wziąć go w ramiona. Ale nie wiem jeszcze, na czym stoimy. Wciąż go nie przeprosiłam. Zanim udaje mi się to zrobić, Chase wciąga głośno powietrze i uśmiecha się do mnie.

– W każdym razie absolutnie bym się pogubił, gdyby nie ty. Jestem strasznym tchórzem. Nie mogłem wejść tam z tobą i zobaczyć go w takim stanie. Zwłaszcza że nie wiedziałem, co tak naprawdę się stało. – Patrzy na swoje dłonie i skubie skórę przy paznokciu. – Przepraszam, że zostawiłem cię samą, żebyś sobie z tym wszystkim radziła.

Świadomość tego, co czuł, zaczyna mi ciążyć. Nie chciał odejść tamtej nocy przeze mnie. Skupiona na własnym strachu nawet przez chwilę się nie zastanowiłam, jak bardzo musiał się bać. Poczucie winy sprawia, że moje ciało się wyziębia. Wyjmuję stopy z wody i ogrzewam je na skąpanym w promieniach słońca głazie.

– Nie masz za co przepraszać, Chase – mówię z wahaniem.

Wyciągam rękę i ośmielam się dotknąć czubków jego palców. Myślę o tym, co mówił Gary w szpitalu – o tym, że powinnam się wziąć do roboty nie tylko dla Chase’a, ale i dla siebie samej. Chciałabym być taka odważna, za jaką Chase mnie ma. Tak odważna, by przeprosić. I by powiedzieć mu całą prawdę.

– To ja powinnam przeprosić za...

– Hej, chyba musimy już wracać! – woła Zoey.

Zrywa się wiatr i splątuje jej włosy. Moja przyjaciółka ma zarumienione policzki i przygryza nerwowo wargę, pokazując

na niebo. Na zachodzie kłębi się ciemna chmura.

Chase, który nie odrywa ode mnie wzroku, podąża za moim zmartwionym spojrzeniem, a następnie podrywa się szybko.

– Czas na nas, śpiochu – mówi, szarpiąc za hamak Zandera i zrzucając kumpla na ziemię.

Wkładam skarpetki, po czym podnoszę nogę, by wsunąć stopę w but. Kolejny silny podmuch wiatru sprawia, że potykam się na głazie. Chase wyciąga rękę, żeby mnie złapać, kiedy tracę równowagę i uderzam się mocno w kolano. Jedynie jego mocny uścisk ratuje mnie przed lodowatą kąpielą w wirującej wodzie poniżej.

Nasze oczy spotykają się, gdy drzewami wstrząsa grzmot.

– Eden, nie chcę, żeby mnie złapał deszcz tylko dlatego, że zamierzasz być ponownie niesiona! – krzyczy Aaron.

Chase śmieje się i pomaga mi stanąć.

– Może jednak włóż te buty tam, z dala od wody – sugeruje, pokazując na miejsce, gdzie znajduje się już reszta naszej grupy.

Każde zakończenie nerwowe w moim łokciu jest przewodem pod napięciem, który iskrzy i powoduje spięcia, dopóki Chase jest w pobliżu.

Pakujemy plecaki w rekordowym tempie i pospiesznie wracamy na szlak. Gdy próbujemy prześcignąć burzę, zmuszam się, by patrzeć pod nogi, a nie na Chase'a.

Rozdział 20

Mama: *Tak bardzo za tobą tęsknię, kochanie.*

Przeczytałam te słowa chyba ze sto razy, odkąd godzinę temu pojawiły się w moim telefonie. Idealny impuls, którego nawet nie wiedziałam, że potrzebuję. Od miesiący czuję się tak, jakbym była rozbitkiem na wyspie, widziała mamę stojącą na stałym lądzie, ale nie miała łodzi, na której mogłabym się do niej przeprawić. To jest dla mnie tak obce, ten dystans między nami. Chcę krzyknąć, że nadchodzę. Że buduję most do domu, do niej.

Ja: *Ja tęsknię bardziej.*

Na razie to musi wystarczyć. Głośnik mojego komputera informuje, że Stephen właśnie dołączył do rozmowy. Jest dziś świeżo ogolony, jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. Jego podbródek jest mniejszy, niż sobie wyobrażałam, a gładka skóra sprawia, że mój terapeuta wygląda młodziej. Uświadamiam sobie, że prawdopodobnie jest w wieku zbliżonym do Elli.

– Jak się dziś masz, Eden? – Sięga poza kadr i słyszę wyraźny dźwięk rozsuwanych żaluzji.

Blade światło rozjaśnia jego gabinet, dzięki czemu widzę go jeszcze wyraźniej.

– Trochę mi lepiej, dziękuję – odpowiadam grzecznie. – Nie mogę nie skomentować braku twojej koziej bródki.

Śmieje się i drapie w miejscu, które do niedawna pokrywał zarost.

– Co mogę powiedzieć? Wszystko się zmienia!

Rzeczywiście tak jest, myślę, zerkając na telefon, który leży na stole wyświetlaczem do dołu.

– No dobrze, Eden. – Zmiana tonu jego głosu sugeruje, że przechodzimy do poważniejszego tematu.

Nie musi już nic mówić, dobrze wiem, co będzie dalej.

– Jestem gotowa, Stephen. – Trzymam na kolanach koszulkę mamy i pocieram materiał kciukiem. – Mogę to zrobić.

Unosi brwi, choć twarz mężczyzny nie wyraża zdziwienia. Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– No cóż, scena jest twoja! – mówi i zachęca mnie gestem do rozpoczęcia.

Budzi mnie cichy dzwonek budzika, który specjalnie przyciszyłam, bym tylko ja go słyszała. Nie pamiętam, jak zasnąłam. Przecieram zaspane oczy i wyłączam budzik, który nastawiam zawsze tak samo, odkąd pamiętam. Jest piąta rano, Boże Narodzenie.

Ta tradycja rozpoczęła się dwa lata po tym, jak Ella wyjechała na studia, gdy miałam pięć lat. Tamtego roku zaczęła spotykać się z Jarrettem i spędzili Boże Narodzenie w Vermoncie z jego rodziną. To były pierwsze święta, które ja i mama miałyśmy obchodzić tylko we dwie.

Przed wyjazdem z miasta Ella wyjawiała mi prawdę o Świętym Mikołaju. Powiedziała, że mama ciężko pracuje, żeby co roku wręczyć mi odpowiednie prezenty, a Ella robi to samo dla niej. A ponieważ w tym roku Elli nie będzie, nadszedł czas, bym to ja była mikołajem dla mamy. Ella zostawiła prezenty ukryte w mojej skrzyni z zabawkami i nauczyła obsługi swojego małego czarnego budzika. Czułam się dorosła, wymykając się potajemnie z pokoju i napełniając skarpetę mamy prezentami od Elli oraz kilkoma własnoręcznie wykonanymi przeze mnie. Tamtego ranka mama popłakała się ze szczęścia.

Nieco ponad dwadzieścia lat później znów wyślizguję się z łóżka i wkładam stopy w puchate kapcie. Wyjmuję z walizki torbę z prezentami, po czym otwieram drzwi najciszej, jak potrafię.

Pierwszą rzeczą, jaka przykuwa mój wzrok, nie jest światło zapalone w sypialni dla gości, ale tubki z kliszami fotograficznymi i albumy ze zdjęciami rozrzucone po całej podłodze. Plastikowe tubki mają zerwane białe wieczka, a ich zawartość leży obok. Albumy, nad którymi mama pracowała przez lata, leżą otwarte na dywanie.

W domu panuje cisza, jedynym dźwiękiem jest warkot wentylatora pracującego w sypialni mamy i Marka. Słyszę go przez uchylone drzwi, które widzę, gdy na palcach dochodzę do końca korytarza. Mój dopiero co obudzony umysł nie może jeszcze do końca przetworzyć tego, co właśnie zobaczyłam, ale niepokoję się, że zostanę odkryta. Chociaż mama wie, że to ja co roku zostawiam jej prezenty, magia tkwi w tajemnicy.

Zaglądam do ich sypialni i odkrywam, że łóżko jest puste, a kołdra, którą Mark odziedziczył po swojej matce, leży złożona po jego stronie. Zostawiam torbę z prezentami i rozglądam się po salonie, zdając sobie sprawę, że żadna z pończoch nie została wypchana. Gdy wypatruję prezentów pod choinką, mój wzrok przyciąga migoczące światło wpadające przez listewki żaluzji. Rozchylam je palcami, spoglądając w ciemność. To blask płonącego ogniska, przy którym stoją rodzice.

Od razu dociera do mnie, że się kłóca. Nie widzę ich twarzy, ale dostrzegam gwałtowną gestykulację mamy i zwieszona ramiona Marka. Nadal jestem odrętwiała, próbując przetworzyć to, co się dzieje. Z pewnym wysiłkiem otwieram drzwi. Płatki śniegu wpadają do środka na podłogę w salonie. Głosy docierają do moich uszu i są gorętsze od ognia. Pomiedzy okrzykami z ust mamy wydobywa się przejmujący szloch. Idę przez podwórko, krzyżując ramiona dla ochrony przed zimnem. Cienka flanela to marna osłona.

Śnieg tłumi moje kroki, dlatego mama dostrzega mnie dopiero wtedy, gdy stoję tuż przed nią. Jest zrozpaczona, w bursztynowym blasku ognia widzę strumienie łez spływające po jej policzkach. Gdy patrzę na jej rozchylone usta, w mojej piersi zamarza lodowaty strach. Nigdy nie widziałam takiego wyrazu twarzy u nikogo. I mam nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Przyciąga mnie do siebie, dwie zmarznięte dłonie przyciska do moich policzków. Wszystko, co mówi, dociera do moich uszu jakby w zwolnionym tempie.

– Musimy odejść... Musimy odejść. Eden, tak mi przykro. Musimy iść.

Przerażenie to jedyne słowo, jakiego mogę użyć do opisanie uczucia, które mnie ogarnia. Ella umarła. To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Najgorsze. Co może być gorsze od śmierci? Stojący za mamą Mark ma łzy w oczach i coś jeszcze, czego nie rozumiem.

– Mamo, co się dzieje? – udaje mi się wydusić. Głos, który słyszę, nie jest mój, w każdym razie nie jest tą wersją, którą znam. Nie mogę się ruszyć. Stopy wrosły mi w ziemię. Obejmuję ręce mamy swoimi, cicho błagając, by powiedziała mi, że się mylę.

Mark otwiera usta, żeby się odezwać, ale mama odrywa dłonie od mojej twarzy i odwraca się, żeby się na niego zamachnąć. Nagle uświadamiam sobie, co widać w jego oczach: poczucie winy. Jest jak pies przyłapany na trzymaniu w zębach czegoś, czego nie powinien mieć. Odsuwa się od mamy, a ona warczy:

– Nie odzywaj się do niej. Masz szczęście, że cię za to nie zabiłam.

– Chciałbym, żebyś to zrobiła! – woła, padając na kolana w śniegu.

Nic z tego nie ma sensu. Moje palce u nóg krzyczą z bólu z powodu zimna przesiąkającego przez materiałowe kaptcie.

– Co się dzieje? – pytam ponownie. Mama odwraca się, by na mnie spojrzeć. Wygląda na całkowicie zdruzgotaną.

– Tak mi przykro, kochanie. Tak bardzo cię przepraszam. Nie wiedziałam. Jak mogłam wiedzieć? – Patrzy gdzieś daleko za mną. – Było tyle twoich zdjęć, jak mogłam nie wiedzieć? – Krztusi się przy ostatnim słowie, podczas gdy Mark obejmuje głowę dłońmi.

Kawałki układanki wirują w moim mózgu. Powoli opadają wśród mgły i układają się w obraz, którego nie chcę zrozumieć. Potykam się, mijając mamę, i idę w kierunku płomieni. Mama wyciąga do mnie ręce, ale Mark też to robi, a to sprawia, że zastawia mnie własnym ciałem i pozwala mi podejść do ogniska. W blasku widzę dziesiątki

zdjęć. Klękam, żeby lepiej przyjrzeć się fotografiom, które powoli pochłania ogień. Na wszystkich widać ciało jakiejś kobiety. Nie, nie kobiety. Dziewczynki. Mnie.

Na jednym z nich śpię, a czyjaś ręka unosi moją koszulkę, odsłaniając dwie ledwo kształtujące się piersi. Płomienie liżą krawędź zdjęcia, pochłaniając fioletowo-białą kołdrę z wieżą Eiffla, którą wybłagałam u mamy, gdy miałam czternaście lat.

Wkładam rękę w żar, przypalając przy tym wrażliwą skórę nadgarstka, na którym mam metalową bransoletkę. Ból zostaje stłumiony przerażeniem, gdy rozpoznaję siebie na kolejnej fotografii. Patrzę na starszą wersję Eden, moje nagie ciało jest w pełni widoczne. Unoszę stopę, by wejść pod prysznic, nieświadoma publiczności, którą zabawiam. W gardle wzbiera mi żółć; wrzucam zdjęcie z powrotem do ognia, odwracam się i wymiotuję na sypki śnieg. Płomienie odzyskują to, co do nich należy, a krawędzie zdjęcia zwijają się do środka, aż w końcu ono całe znika w popiele.

Czuję, jak mama chwytą mnie i ciągnie za rękaw, by zmusić do wstania z ziemi. Próbuje do mnie mówić, ale ryk w moich uszach zagłusza jej głos. Słowa przesączają się powoli. Każe mi iść do domu, po moje rzeczy. Ledwo stoję, podtrzymywana przez jej drobne, lecz silne ramiona. Jestem wirującym bączkiem, który ona puszcza w ruch, dryfującym w zawrotnym zamieszaniu z dala od stosu pogrzebowego mojego życia. Rozkazuje Markowi zostać tam, gdzie jest. On robi żalostną minę i ponownie błaga mamę, żeby go zabiła.

Jestem w tak wielkim szoku, że przez chwilę rozważam tę myśl. Jakie to byłoby proste.

Zanim się orientuję, co robię, wpadam do domu. Mojego domu. Mojego domu z dzieciństwa. Tła dla każdego zdjęcia płonącego w ognisku.

Moje ręce są zdrętwiałe i czerwone z zimna, gdy upycham swoje rzeczy w walizce. Nagle dociera do mnie, że już nigdy nie zobaczę tego pokoju. Upadam na podłogę, z mojego gardła wydobywa się skrzeczący głos, a łzy, których nie zauważyłam, zamazują mi obraz. Bardziej wyczuwam, niż widzę rękę sięgającą po mnie i odsuwam się, zanim słowa mamy przebiją się przez mgłę.

– Musimy iść. Musimy iść – ponagla mnie. Mówi o pakowaniu torby, o pieniądzech w sejfie, mówi o wielu rzeczach, których nie słyszę przez ten cały hałas.

Zanim zdaję sobie sprawę, gdzie jesteśmy, drzwi do salonu zamykają się za nami, a na trawnik pada długi fluorescencyjny promień. Wstaje dzień i wszystko mieni się w porannym świetle. Nie mogę się powstrzymać od patrzenia na dom, w którym spędziłam większość swojego życia. Tam nauczyłam się czytać, gotować. Tam urządzałam nocne przyjęcia i płakałam za pierwszym chłopakiem, który złamał mi serce, podczas gdy Mark trzymał mnie w objęciach i zapewniał, że nie wszyscy mężczyźni tacy są.

Miał rację. Teraz moje serce się nie łamie. To słowo nie oddaje sprawiedliwości temu, co się z nim stało. Po prostu w jednej chwili istniało, a w następnej zniknęło i w mojej klatce piersiowej pozostała tylko czarna dziura, wciągająca istotę tego, kim jestem, w swoje żarłoczne gardło.

Wspomnienie ze szkółki niedzielnej przedziera się w moim umyśle na pierwszy plan. Opowieść o spalonym na popiół przez Boga mieście za grzechy popełnione w jego murach. O kobiecie, która nie powinna się oglądać, ale to zrobiła. O słupie soli, w który się zamieniła.

Dlatego patrzę przed siebie. Jestem niejasno świadoma obecności Marka, który znajduje się po mojej prawej stronie. Kiedy zmieramy do samochodu, błaga nas, żebyśmy nie odchodziły. Spoglądam na jego twarz i widzę, że jest pełna tego,

co można by uznać za żal, gdyby jego oczy nie były tak martwe i nieruchome. W jego spojrzeniu nie ma nic prócz lodu. Żadnych emocji. Żadnych wyrzutów sumienia. Czuję chłód w środku, kiedy mama sadza mnie na siedzeniu pasażera, zamyka drzwi i wykrzykuje w kierunku Marka słowa, które nie docierają do mnie przez warstwę ochronną w postaci szyby. Patrzę, jak ściąga z palca złotą obrączkę i rzuca ją na ziemię. Siada za kierownicą i zjeżdża z podjazdu. Gdy skręcamy w żwirową drogę, spoglądam na nią.

Patrzy we wsteczne lusterko, a ja czekam, aż spotka ją taki sam los jak tamtą kobietę, aż zamieni się na moich oczach w bryłę soli. Kiedy nic takiego się nie dzieje, odsuwam od siebie myśli o Bogu, bo najwyraźniej nie interesuje się naszym losem.

Kończę i patrzę w dół na tkaninę między palcami. Zrobiłam w niej nową dziurę. Puszczam koszulkę, a ta opada na moje kolana. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Widzę małego czarnego pająka, który podąża w stronę niewielkiej szczeliny pod listwą przypodłogową. Skóra mi cierpnie i instynktownie unoszę stopę, żeby go zdeptać. Pająk zatrzymuje się obok mojego krzesła, a ja zdaję sobie sprawę z tego, że on nie ma pojęcia. Nie ma pojęcia, że zaraz przydarzy mu się coś tak strasznego. Coś, czemu mogę zapobiec.

Opieram stopę z powrotem na poziomej podpórce mojego krzesła, patrząc, jak pająk przemyka w bezpieczne miejsce przy ścianie, nieświadomy losu, którego właśnie uniknął.

Kiedy w końcu spoglądam z powrotem na ekran, ze zdziwieniem stwierdzam, że Stephen obserwuje mnie z błyskiem dumy w oczach.

– To było wspaniałe, Eden.

Kiwam nieśmiało głową, by przyjąć komplement. Mój terapeuta sięga za komputer, a po chwili pojawia się w kadrze z białą chusteczką. Przykłada ją do oczu. Dopiero teraz zauważam, że lśnią od łez.

Podnoszę rękę, by delikatnie dotknąć policzków i ze zdumieniem stwierdzam, że po raz pierwszy od rozpoczęcia terapii moja dłoń jest całkowicie sucha.

Rozdział 21

Geronimo ma w zębach zawinięte w plastik cygaro. Na tabliczce, którą trzyma, znajduje się informacja, że tylko w ten weekend kubki podróżne Yeti są przecenione o dwadzieścia procent. Co za okazja, chciałoby się powiedzieć, ale nie sądzę, żeby niedźwiedź tak naprawdę się tym przejmował. Omijam go i kieruję się na tyły sklepu.

– A oto i nasza ulubiona niezdara! – wita mnie z radością Aaron, gdy zbliżam się do niego.

Kilku klientów odwraca się, żeby zobaczyć, o kogo chodzi. Chociaż wiem, że zasłużyłam na ten tytuł, unoszę rękę, by zasłonić twarz, i rzucam cicho do Aarona:

– Jesteś beznadziejny.

Wybuchą śmiechem. Tymczasem z zaplecza wychodzi Chase. Na mój widok staje jak wryty.

– Co się dzieje, Eden? – Ściąga czapkę baseballową, by odgarnąć z czoła swoje ciemne loki, po czym ponownie ją wkłada.

Spoglądam na zadowolonego Aarona, a następnie na pełnego wyczekiwania Chase'a. Ten drugi przez chwilę kontempluje moje niezdecydowanie, po czym chrząka.

– Jeśli masz ochotę, możemy iść do mojego biura.

Kiwam nieśmiało głową, nagle zafascynowana gablota z zapalniczkami obok kasy. Chase wraca do słabo oświetlonego korytarza, a ja obdarzam Aarona wymuszonym uśmiechem i idę za nim. Mijamy łazienkę i wejście do magazynu. Ostatnie drzwi są

ozdobione różnymi obrazkami i tabliczką z napisem „Pracownik miesiąca”. Poniżej przyklejono czarno-białe zdjęcie golden retrievera z łapami na kasie.

Chase uśmiecha się, kiedy pokazuję palcem na zdjęcie i ze zdziwieniem unoszę brwi.

– To pies klienta. Otter jest najmilszym kasjerem, jakiego znam.

Otwiera drzwi i przepuszcza mnie. Wchodzę do małego, schludnego pokoju z prostym dębowym biurkiem, na którym stoi laptop podłączony do monitora. Na regałach widzę dziesiątki teczek. Jeśli nie liczyć tego, że nie ma tu żadnych roślin w doniczkach, jest to właściwie replika biura w naszym barze.

Chase wskazuje mi jedyne wolne krzesło, a sam staje w kącie naprzeciwko. Opiera się o ścianę i krzyżuje ramiona na piersiach, a zielona koszulka wojskowa podkreśla jego mięśnie. Chase wpatruje się we mnie tak intensywnie, że nagle czuję się bardziej naga niż wtedy, gdy leżałam pod nim na łóżku.

Wycieram spocone dłonie o materiał dzinsów. Cała determinacja, jaka towarzyszyła mi, gdy wychodziłam dziś rano z mieszkania, zdaje się wyciekać przez pory mojej skóry.

– Wszystko gra? Coś nie tak z Garym? – pyta Chase, a w jego głosie wyczuwam napięcie.

– O Boże, nie, wszystko dobrze – uspokajam z nerwowym śmiechem. Zaciskam usta, by go stłumić. – Przyszłam, bo nie dokończyłam przeprosin, które zaczęłam w zeszły weekend, podczas naszej wędrowki.

Chase unosi brwi i przestępuje z nogi na nogę.

– W porządku. Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

Przepełnia mnie wdzięczność dla tego mężczyzny, który nawet wtedy, gdy niewątpliwie zasługuje na poznanie prawdy, oferuje mi możliwość ucieczki od tego, czego najbardziej nie lubię robić.

– Chcę – stwierdzam, choć mój coraz bardziej płaczliwy głos sugeruje coś innego. Kiedy wreszcie znalazłam właściwe słowa i podzieliłam się nimi ze Stephenem, czułam się silna. Teraz jednak, gdy stoję na skraju przepaści i patrzę w dół, gdzie niechybnie spadnę, jestem przerażona. – To, co powiedziałam tamtego ranka na schodach... Nie miałam tego na myśli. Wiesz, o tym, że to był błąd...

Patrzę, jak próbuje otrząsnąć się z szoku wywołanego moim oświadczeniem. W końcu wzdycha z ulgą.

– To było straszne – przyznaje, kiwając głową. – Naprawdę nie rozumiem, co zrobiłem nie tak.

Jego łamiący się głos wstrząsa mną dogłębnie.

– Nie ty zrobiłeś, tylko ja. Wszystko szło doskonale, dopóki tego nie zepsułam. A ty i tak byłeś miły. Nawet nie narzekałeś. Ale potem przyszła twoja mama i zdałam sobie sprawę, że tego dnia twój tata...

Przerywam, nie chcąc się w to zagłębiać.

– Zrozumiałam, że ona cię potrzebuje – kończę po chwili. Przypominam sobie smutek, jakim emanowała Laura. – Nie chciałam obarczać cię swoimi ciężarami, skoro i tak masz już tyle własnych.

Nie wiem, jakiej reakcji się spodziewałam, ale jego ostry śmiech z pewnością nie znajdował się na liście. Zaskoczona, szukam jego wzroku, spodziewając się, że zobaczę w nim gniew. Tymczasem jego spojrzenie okazuje się zadziwiająco ciepłe. Podczas gdy on próbuje stłumić kolejny wybuch śmiechu, ja nie mogę sobie poradzić ze zmieszaniem.

Nagle klęka przede mną i ściska moje ręce.

– Po pierwsze, moja matka mnie nie potrzebuje. Nie w taki sposób, jak ci się wydaje.

Marszczę brwi, nakłaniając go w ten sposób do dalszych wyjaśnień.

– Kiedy mówiłem, że nie chciałem, żebyście się tak poznały, miałem właśnie to na myśli. Przez większość dni moja mama świeci blaskiem jaśniejszym od jakiegokolwiek gwiazdy we wszechświecie. Jasne, pierwszy rok był trudny jak cholera. Ale ona naprawdę rzadko dopuszcza do siebie smutek.

Przez chwilę zastanawiam się, czy mówimy o tej samej kobiecie, ubranej tak, jakby była gotowa na pogrzeb, a nie rocznicowy obiad. Pytam go o to.

– Czy kiedyś umarł ci ktoś, kogo kochałaś? – pyta łagodnym głosem i zakłada mi za ucho kosmyk włosów.

– Nie – odpowiadam.

Moi bliscy zapewne już zawsze będą pogubieni. Ale wciąż żyją, co wydaje się okrutnym żartem losu.

Patrzy w dół, na nasze dłonie, i pociera miarowo kciukiem moją rękę.

– Po takiej stracie niektóre dni są trudniejsze niż inne. Jednak przez większość czasu czujesz się całkiem dobrze. Nawet fantastycznie. Jak ty, którym byłeś, zanim ich straciłeś. A potem nadchodzi pewien dzień. Ich urodziny, rocznica ślubu, dzień, w którym umarli. – Wymawia to ostatnie słowo inaczej niż wszystkie inne.

Brzmi obco – takie brzydkie słowo wydobywające się z tak pięknych ust.

– Dla mnie jest to jeden tydzień każdego roku jesienią, tydzień, w którym wędrowaliśmy po Parku Narodowym Zion. – Spogląda na mnie i choć jego oczy mają czerwoną obwódkę, na jego ustach pojawia się nikły uśmiech. – I wtedy cierpienie jest tak intensywne, jak tamtego dnia, w którym odszedł.

Wyciągam rękę i ściągam mu czapkę z głowy. Przeczesuję palcami jego kosmyki, po czym przyciągam go do siebie i wtulam usta w jego miękkie loki. Kiedy wdycham jego zapach, przenoszę się w inne miejsce. Nie jesteśmy już zamknięci w przypadkowym uścisku na podłodze gabinetu na zapleczu. Znajdujemy się w jeziorze, unosimy się na wodzie, nad sobą mamy niebo, a wokół nas wszystko jest eteryczne i nieskończone.

Odsuwa się ode mnie i wracam do tego pokoju, a cierpienie biegnie między nami jak prąd.

– Próbuję powiedzieć, że na pewno są dni takie jak tamten, kiedy mama jest smutna i opiera się całkowicie na mnie. Są też dni, kiedy ja opieram się na niej jeszcze mocniej. To właśnie robią kochający się ludzie: podnoszą się nawzajem, gdy wszystko staje się zbyt trudne do zniesienia.

Głaska delikatną skórę na moim przedramieniu, śledząc bladoniebieską żyłę, aż jego wzrok spoczywa na bliźnie zakrzywionej w półksiężyc wokół mojego nadgarstka. Oddech więźnie mi w płucach na wspomnienie sytuacji, w której doszło do oparzenia.

– Kiedy ostatni raz pozwoliłaś, żeby ktoś cię niósł, nie myśląc o sobie jako o ciężarce? – Chase pyta o to tak cicho, że muszę się pochylić, by usłyszeć słowa.

W chwili, gdy wydaje mi się, że on również zamierza pochylić się i zamknąć odległość między naszymi ustami, Chase przyciska swoje czoło do mojego i pozwala, by zamiast tego delikatna bryza jego oddechu całowała moją twarz.

– Co się stało, że tak bardzo boisz się wpuścić mnie do środka? – szepcze.

Zdradziecka łza spływa po moim policzku. Skupiam się na szlaku, który wytycza, na tym, jak gromadzi się na czubku

mojego podbródka, zanim opadnie na dzinsy i rozkwitnie. Patrzę, jak kwiat, który tworzy, wyparowuje w czasie, jaki zajmuje mi podjęcie decyzji – nie o tym, co mogę Chase’owi powiedzieć, ale w jaki sposób mam to zrobić.

Krzykliwa muzyka dzwonka mojego telefonu przecina powietrze i przerywa nić trzymającą nas tak blisko. Chase cofa się na pięty, gdy sięgam do kieszeni po telefon, wyciągam go i kładę sobie na kolanach między nami. Jestem tak zaskoczona, kiedy widzę, że to mama, że o mało nie upuszczam komórki. Spoglądam na Chase’a z niewypowiedzianą prośbą i znajduję na jego twarzy pozwolenie, którego szukam.

– Hej, mamo, wszystko w porządku?

– Wszystko super. Właśnie siedzę z Zoey przy kawie, czekając, aż moje dziecko do mnie przyjdzie!

Jej słowa docierają do mnie bardzo powoli, a podniecenie i ulga wypełniające mnie w tym momencie pozbawiają mnie zdolności mówienia.

– Zamknij już buzię, Eden. – Z drugiego planu dobiega głos Zoey.

– Ona naprawdę tu jest. I chciałybyśmy, żebyś ty też tu była! Mogłabyś przywieźć ze sobą trochę ciastek od Rose? Umieramy z głodu.

– Już jadę! – mówię, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. Odkładam telefon i patrzę na Chase’a z przepaszającym uśmiechem. – Moja mama jest tutaj...

– Jedź – przerywa, bo przecież słyszał każde słowo tej rozmowy.

– Możemy porozmawiać później.

Wstaję i po chwili wahania zamykam go w najmocniejszym uścisku, na jaki mnie stać. Wtula twarz w moją szyję, oddycha głęboko i składa miękki pocałunek pod moim uchem. Każdym

centymetrem ciała wtapia się w moje, jak odpowiedź na pytanie, o którym nie wiedziałam, że wymaga zadania.

– Weź bułeczki – sugeruje, gdy w końcu się od niego odrywam. – Zaufaj mi, to najlepsze wypieki Rose.

Uśmiecham się, ściskając mocno telefon w dłoni, i robię krok w kierunku drzwi.

– Ufam ci – odpowiadam i widzę, jak jego twarz się rozjaśnia, gdy moje słowa lądują w powiększającej się przestrzeni między nami.

Rozdział 22

W jednej dłoni trzymam ciepłe pudełko z bułeczkami, drugą otwieram frontowe drzwi domu Zoey. Natychmiast dociera do moich uszu dźwięczny śmiech. Nagły przypływ radości, która przepętnia moje ciało po napięciu, jakie odczuwałam godzinę temu przed rozmową z Chase'em, sprawia, że kręci mi się w głowie. Domykam drzwi biodrem i idę do jadalni.

Zoey siedzi naprzeciwko mamy przy końcu stołu i gestykułując gwałtownie, opowiada jej o moim piwnym prysznicu. Mama zasłania dłonią wąskie wargi, by ukryć kolejny wybuch śmiechu. Na jej widok serce mi rośnie, a do oczu napływają łzy. Gdy przyglądam się swojej matce i przyjaciółce, nawet nie czuję wstydu z powodu całej tej historii. Rozprasza ją mnie wspomnienia wielu chwil takich jak ta, które przeżyliśmy, nim życie tak okropnie się skomplikowało.

W migawkach z przeszłości włosy mamy nie są tak mocno przyprószone siwizną jak teraz. Nadal ma ciemnorude loki, ściągnięte na karku w niewielki kucyk. Właśnie wyszłam ze swojego pokoju wystrojona w różowy szlafrok wygrzebany w starym kufrze po babci. Nastoletnia Zoey ma na sobie inne z naszych odkryć – czarną plisowaną, rozkloszowaną spódnicę, a mama – limonkowy dres z epoki disco.

Kino domowe na cały regulator gra *Hound Dog* Elvisa Presleya. Mama okręca Zoey, chwyta ją w ramiona i zaczyna się z nią obracać, jednocześnie bujając na boki. Kiedy mnie dostrzega,

wyciąga do mnie rękę i włącza w ten uścisk. Przytulamy się do siebie, podskakujemy w tańcu i mocno kołyszemy biodrami w rytm muzyki, a potem wybuchamy śmiechem, kiedy mama wykrzykuje: „Elvis i jego miednica!”

Zoey sprowadza mnie z powrotem do teraźniejszości – piszczy z emocji, odbiera ode mnie pudełko z ciepłymi bułeczkami i biegnie do kuchni, by wyłożyć je na talerze. Mama wstaje, żeby się ze mną przywitać i wtedy uderza mnie, jak bardzo się zmieniła.

Kobieta z moich wspomnień jest drobna, ale umięśniona, ma siłę przebicia i barwną osobowość. Przede mną stoi osoba maleńka i wątła. Od grudnia ubyło jej co najmniej siedem kilo, chociaż wcale nie potrzebowała schudnąć. Gdy mnie obejmuje, mogę policzyć jej żebra. Ma znacznie więcej zmarszczek wokół oczu i ust, jakby stres przeżywany przez ostatnie miesiące dodał jej dziesięć lat. Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo się postarzała, i ściska mi się serce.

– Tak za tobą tęskniłam, skarbie – mówi, zamykając mnie w mocnym uścisku.

Kładę dłoń na jej ramieniu i wdycham znajomy zapach szamponu z groszkiem pachnącym, który kosztuje dziewięćdziesiąt dziewięć centów w jedynym sklepie w moim rodzinnym mieście. Głos jej drży, jakby była bliska płaczu, więc odsuwając się od niej, tłumię w sobie falę emocji wywołaną jej wyglądem i przyklejam do twarzy uśmiech.

– Też za tobą tęskniłam, mamo. Tak się cieszę, że przyjechałaś!

Mówię szczerze. Świadomość, jak bardzo brakowało mi jej przez ostatnie miesiące, uderza we mnie z siłą huraganu. Niesamowite, że mimo upływu lat wciąż tak rozpaczliwie potrzebuję matki.

Zoey wraca do jadalni z trzema lepkimi od lukru bułeczkami na talerzykach. Dzięki swemu kelnerskiemu doświadczeniu niesie

je swobodnie, w sposób, który przeraziłby mnie, gdyby robił to ktokolwiek inny. Mama i Zoey wracają na miejsca, a ja siadam obok tej pierwszej. Wgryzamy się w słodkości, mrużąc z zadowolenia.

– Gdzie się wybrałaś z samego rana? – pyta Zoey z ustami pełnymi ciasta i karmelu.

– Na przebieżkę? – domyśla się mama, delikatnie ocierając usta serwetką.

Moja przyjaciółka patrzy na nią, a później na mnie, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Właściwie to nie biegałam od tego całego zajścia – rzucam cicho, wbijając wzrok w talerz.

Powietrze wokół nas gęstnieje, a ja zaczynam żałować, że jak zwykle zepsułam wszystkim nastrój.

Mama przygryza policzek od środka, rozważając moje słowa. Gdy w końcu się odzywa, brzmi chyba ostrzej, niż zamierzała.

– Wiesz, minęło już prawie pół roku. Może czas znów się do tego zabrać.

Mama nigdy nie grzeszyła zbytnią surowością, więc te nietypowe dla niej słowa boleśnie we mnie uderzają. To Mark zawsze strofował nas, kobiety, kiedy uznawał, że za bardzo się nad sobą rozczulamy. Przez sześć miesięcy moja rana nie tylko nie zdążyła się zablźnić, ale nawet nie zaczęła się goić. Wydawało mi się, że kto jak kto, ale mama powinna to zrozumieć.

Zapada niezręczna cisza. Aby ją przerwać, Zoey ponawia swoje pytanie.

– Byłam w sklepie, pogadać z Chase'em – wyjaśniam, starając się, żeby w moim głosie nie dało się dosłyszeć urazy.

Mama nie daje Zoey czasu na odpowiedź i entuzjastycznie zagłębia się w swój ulubiony temat: życie uczuciowe.

– Tak? A co to za chłopiec? – pyta figlarnie, zapominając o swym niedawnym docinku, i trąca mnie łokciem.

Przewracam oczami, patrząc na Zoey, a ona ukrywa drwiący uśmiezek za kubkiem, z którego pociąga łyk kawy.

– On ma prawie trzydzieści lat, nie jest już chłopcem – oponuję.

– Eden, jak się jest w moim wieku, wszyscy stają się chłopcami – prycha mama. Poklepuje mnie po ramieniu, brzękając przy tym złotym zegarkiem. – Jak się poznaliście?

– Jego sklep sąsiaduje z barem. – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak obrzydliwie słodko, i dziękuję w duchu moim rozmówczyniom, że nie wytykają mi, jaka jestem żałosna.

– Dzięki niemu nasz interes się kręci – dodaje Zoey, zbiera puste talerze, opłukuje je w zlewie z resztek lukru i wstawia do zmywarki.

Mama patrzy to na nią, to na mnie, z surowością, która uwydatnia zmarszczki pomiędzy jej cienkimi brwiami.

– Dużo pije? – pyta, a w jej głosie słychać ostrzeżenie.

Ella niewiele opowiadała mi o naszym biologicznym ojcu, ale wiem, że lubił wypić, chociaż z pewnością nie była to największa z jego wad.

– Najwyżej parę piw do kolacji z kumplami – wyjaśniam.

– I nigdy się nie upija – dodaje Zoey.

Z wyjątkiem tamtego jednego razu. Ale o tym nie musi wiedzieć.

Malujące się na twarzy mamy niedowierzanie budzi w moim wnętrzu obcy mi dotąd gniew. Dziwi mnie, że osądza mój gust do facetów po tym, jak sama dwa razy wyszła za drania.

To nie fair, napominam się. To nie była jej wina.

Gniew znika równie szybko, jak się pojawił, a jego miejsce zajmuje wstyd, że w ogóle go poczułam. Jak mogę obwiniać matkę

za coś, czego nie mogła przewidzieć? Wszystkie byłyśmy równie zaszokowane i zdruzgotane, a ona radzi sobie z tym, jak umie. Znalazła w sobie dość siły, by odejść – i to nie raz, a dwukrotnie. Podziw dla jej odwagi zdecydowanie przeważa nad przykrością, jaką sprawiły mi jej cięte riposty.

– Lepiej uważaj – przestrzega. – Z twoim ojcem też mi się tak wydawało.

Najeżam się, gdy porównuje Chase'a do mojego ojca, ale szybko odpycham od siebie to niechciane doznanie. Nie wiem, dlaczego czuję się przy niej taka spięta. To niezbadany obszar w naszej relacji – zawsze panowała między nami bliskość, której w okresie dorastania zazdrościli mi znajomi. Wiem, że mama wyraża swoje obawy w nadziei, że nie powtórzę jej błędów, i na tym się skupiam.

– Spokojnie – wtrąca Zoey. – To porządny facet i wszystkim nam dobrze by zrobiło, gdyby udało im się w końcu wyjść poza fazę flirtu.

Krzywię się, ale zaraz też robię beznamiętną minę. Nagle sobie uświadamiam, jak wiele przed nią ukrywałam. Przez swoje niezdecydowanie i wstyd z powodu własnego postępowania bezwiednie zdradziłam jej znacznie mniej niż zwykle.

– Wybacz, mamó, ale muszę się szykować do pracy. Nie spodziewałam się ciebie, a w sobotę jedna osoba za barem nie wystarczy – rzucam, starając się zmienić temat.

– Spokojnie, zastąpię cię. Jestem ci to winna po tym, jak przepracowałam cały mój urlop – stwierdza Zoey.

Mama uśmiecha się do mnie wyczekująco. Wzruszam ramionami.

– Dzięki, Zo. Bardzo to doceniam – rzucam.

Wstaję, idę do salonu i pospiesznie przytulam Zoey.

Celuję w mamę palcem wskazującym.

– W takim razie może oprowadzę cię po moim skromnym lokum, a potem pokażę ci miasteczko?

Powtarza mój gest, cmoka i uśmiecha się.

– Co tylko zechcesz. Przyjechałam spędzić czas z moją ulubioną córką – stwierdza.

– Naskarzę Elli – odpowiadam.

Mama wybucha śmiechem. Grozi, że mnie wydziedziczy, a potem wstaje i rusza za mną. Chórem rzucamy Zoey: „Na razie!” i wychodzimy w suchy, gorący poranek.

* * *

– *Uwierz w ducha* czy *Pretty Woman*? – Mama pokazuje mi dwa DVD wyciągnięte ze swojej przedpotopowej walizki.

Każdy wieczór z nią to wieczór filmowy. Patrzą to na jedną okładkę, to na drugą, i w końcu wskazuję palcem Richarda Gere’a. Mama przyjmuje mój wybór z uśmiechem.

– Wiedziałam, że wychowałam cię jak trzeba.

– Skoczę po coś na kolację, zjemy podczas seansu. Co byś chciała?
– pytam, zawiązując sznurowadła.

Mama upija łyk z butelki lemoniady, którą kazałam jej kupić, kiedy wpadłyśmy na lunch do „Raven”. Okazuje się, że reszta menu nie ustępuje ich firmowemu napojowi. Teraz rozumiem obsesję Chase’a na ich punkcie. Po posiłku pojechałyśmy nad pobliskie jezioro, w którym Gary, jak mi kiedyś wspomniał, łowi ryby, i przeszłyśmy się szlakiem z widokiem na malownicze nabrzeże.

Uwielbiałyśmy spędzać tak razem czas, kiedy odwiedzała mnie w Nashville. Jeździłyśmy nad jezioro Radnor i spacerowałyśmy szeroką brukowaną ścieżką nad wodą, wspominając przeszłość i robiąc plany na przyszłość. Dziś rozmowa na ten temat

wydawała się wymuszona i nieswoja. Przeszłość była zbyt bolesna, by o niej wspominać, przyszłość – zbyt niepewna, by próbować ją przewidzieć.

– Ten burger, o którym mi opowiadałaś, brzmi świetnie – stwierdza mama.

Kiwam głową, obiecuję, że niedługo wrócę i wychodzę, zamykając za sobą drzwi. Zalewa mnie nieoczekiwana, dezorientująca fala ulgi. Dlaczego czuję się taka spięta przy własnej matce? Owszem, rozmowa się nie klei, ale nie widziałyśmy się od miesiący, to była nasza najdłuższa rozłąka. To mama wciąż jednak zna mnie najlepiej, tylko ona może naprawdę zrozumieć, przez co przechodzę.

Potrząsam głową, by rozproszyć te myśli, i wsuwam kluczyk do stacyjki. Szybko docieram do baru, a ruch okazuje się na tyle mały, że mogę odpuścić sobie dalsze wyrzuty sumienia z powodu przejścia przez Zoey mojej zmiany. Maddie uśmiecha się, kiedy podchodzę do kontuaru. Na jej pomalowanych na fioletowo ustach lśni nowy okrągły, srebrny kolczyk.

Kątem oka dostrzegam swoją twarz w rtęciowym lustrze wiszącym na ścianie za barem, odbijającym zakrzywione kształty butelek z alkoholami i niewielkiej grupki klientów przemierzających się po sali. Moja kasztanowa grzywka, kiedy odgarniam ją z twarzy, odsłania zmarszczki wokół oczu. Wyglądam, jakby jeden dzień powrotu do przeszłości przeniósł mnie o dziesięć lat w przyszłość.

– Podobno przyjechała twoja mama – woła Maddie zamiast powitania.

Zoey wychodzi z za lady i wrzuca pomięty rachunek do stojącego pod nią kosza na śmieci. Po fartuchu, który ma zawiązany wokół pasa, widać, że pomaga Santiemu w kuchni – czarny materiał nosi

ślady przypraw i mąki. Moja przyjaciółka spogląda na mnie zmęczonymi niebieskimi oczami.

– Tak. Wpadłam po coś na nasz wieczór filmowy. Przez cały dzień wychwalałam kuchnię Santiago, więc chciała jej spróbować – wyjaśniam.

Maddie kiwa głową, przyjmuje ode mnie zamówienie, skanuje moją kartę i oddaje mi ją wraz z rachunkiem. Podpisuję go i dokładam napiwek, który znajdzie na ladzie po tym, jak dostarczy studentkom w głębi baru kolejkę rakietowych drinków. Dziewczyny jedna po drugiej robią zdjęcia fikuśnym koktajlom. Właśnie na taką darmową reklamę liczyłam.

Zoey opiera się o ladę i przykłada czoło do chłodnego blatu. Wyrzuty sumienia z powodu wrobienia jej w pracę wracają do mnie jak bumerang.

– Chyba pora zacząć szukać dodatkowych kucharzy – stwierdzam.

Zoey przekrzywia głowę i rzuca mi srogie spojrzenie z ukosa. Od stania w gorącej kuchni rozmazał jej się eyeliner.

– Chyba masz rację – jęczy. – Po twoim zamówieniu nie wydajemy dziś więcej na wynos. To nas przerasta.

– Masz najlepsze żarcie w mieście. To musiało się tak skończyć.

Moja przyjaciółka uśmiecha się skromnie.

Dopiero zaczyna sobie uświadamiać, że interes pod jej kierownictwem naprawdę kwitnie. Zander pomógł odciążyć barmankę, ale Zoey zawsze mnie zbywa, kiedy sugeruję, że w kuchni – jej ukochanym dziecku – też przydałaby się pomoc. Fakt, że w końcu przyjęła to do wiadomości, oznacza, że wreszcie dotarło do niej, jak wielki odniosła sukces – choć jest zbyt skromna, by przyznać to na głos.

– Zo, nie wiem, jak ci dziękować za przywiezienie mamy. Nie jest nam łatwo, ale bardzo potrzebowałam się z nią zobaczyć –

przyznaję, a w moim głosie słychać szczere emocje.

Marszczy brwi, wydyma wargi i prostuje się, by znaleźć się ze mną twarzą w twarz.

– Nie miałam z tym nic wspólnego. Sama byłam zaskoczona, kiedy rano zapukała do moich drzwi.

– Jak to? – Jestem kompletnie zaskoczona. – W takim razie jak, do cholery, przyjechała tu z lotniska, jeśli nie z tobą?

– Może uberem? – rzuca Zoey, wzrusza ramionami i posyła uprzejmy uśmiech na pożegnanie przechodzącemu klientowi.

Na obrzeżach mojej świadomości pojawia się myśl, która zaczyna mnie drażnić jak zaciągnięta nitka w rajstopach. Ze wszystkich sił staram się ją zignorować.

– Aż z Denver? Nie sądzę – stwierdzam.

Zoey otwiera usta, by mi odpowiedzieć, ale zamyka je, bo nie jest w stanie podać przekonującego wyjaśnienia. Wybawia ją Santi, który wychodzi z kuchni z dwoma pojemnikami na wynos i stawia je na ladzie pomiędzy nami.

– Życz mamie *provecho* ode mnie – rzuca i nie czekając, aż mu podziękuję, wraca do swojego schronienia za kuchennymi drzwiami.

Wracam spojrzeniem do Zoey i widzę, że jej oczy, zwykle radosne, teraz się zachmurzyły. Zwisająca nitka wciąż kusi, by za nią pociągnąć. Biorę pojemniki, odkasłuję i z wymuszonym uśmiechem powtarzam podziękowania. Po wyjściu na chodnik przed barem zauważam, że mój zderzak wystaje na drogę z miejsca parkingowego. Sztorcuję się za to w myślach i wsiadam do auta.

Przez całą drogę do domu towarzyszy mi jedynie echo moich myśli. Wciąż kręcę się w pobliżu nitki. Nie chcę przyjąć do wiadomości jej istnienia. Boję się, że coś rozpruję i powstanie dziura, której nie da się zacerować.

Rozdział 23

Całe narosłe we mnie napięcie rozpląta się jak wata cukrowa na deszczu, kiedy pochłania mnie ciemność panująca w moim mieszkanku. Mama ściągnęła koce z mojego łóżka na podłogę przed kanapą, tworząc legowisko podobne do tych, które budowałam w dzieciństwie podczas nocowania u koleżanek. Nie palą się żadne światła oprócz lampki nad kuchenką, a twarz mamy rozświetla jedynie słaby odblask telewizora. Czuję, jak wszystko we mnie mięknie, gdy poznaję wytartą szarą bluzkę, którą trzyma na kolanach.

– Znalazłam ją, szukając swetra, żeby się otulić. Nie do wiary, że wciąż ją masz – mówi z czułością. Przytula ją do serca, ale wzrokiem błądzi daleko. – Spędziłam wiele wieczorów w ten sposób, oglądając filmy na kanapie, kiedy nie mogłaś zasnąć.

Na widok uniesionych kącików jej ust zapominam o swoich pytaniach. Niczego nie pragnę bardziej, niż wtulić się w jej ramiona, które osłonią mnie przed światem i całym jego złem. Nieważne, jak tu dotarła – jestem wdzięczna, że jest. Nie ma sensu dociekać przyczyn cudu; trzeba chwycić go oburącz i mocno trzymać, by się nie wyslizgnął.

Stawiam nasz posiłek na ławie i siadam na podłodze obok mamy, a ona włącza pilotem odtwarzanie. Wyświetlają się początkowe napisy, a w powietrzu rozchodzi się zapach pysznych potraw Santiago. Obie wgryzamy się w burgery. Kiedy tylko

mama czuje smak swojego, odwraca się do mnie z szeroko otwartymi oczami i strużką zielonego chili cieknącą po brodzie.

– Przyniosę serwetki – proponuję, chichocząc.

Mama śmieje się serdecznie i podstawia dłoń pod usta, żeby złapać spływające krople. Potem ociera twarz papierowymi ręcznikami, które jej podaję, a kiedy je odsuwa, są całe nasiąknięte sosem.

– Mówiłam, że ten burger jest wart grzechu!

– Miałaś rację. Ukłony dla szefa kuchni – stwierdza, energicznie kiwając głową.

Nie wiedzieć kiedy nasze porcje znikają, a Richard Gere z różą w zębach rusza w górę po schodach przeciwpożarowych.

– To takie romantyczne – wzdycha mama, ocierając łzę.

Ja tylko przewracam oczami, z drwiącym uśmiechem na ustach.

– Przecież masz lęk wysokości. Wcale nie czułabyś się romantycznie w takiej sytuacji.

Popycha mnie figlarnie, ale nie może zaprzeczyć. Zbieram opakowania po jedzeniu, wyrzucam je do kosza pod zlewem i myję sztucce. Metal lśni w słabym świetle. Mama podchodzi po cichu, opiera rękę na blacie i przygląda mi się przy pracy.

– Ten człowiek mógłby przynieść mi róże choćby na Mount Everest, a ja i tak uznałabym to za romantyczne – wyjaśnia. – A zaraz potem bym zemdląła.

Próba wyobrażenia sobie mamy w okolicach szczytu jakiegokolwiek góry sprawia, że obie wybuchamy śmiechem. To zupełnie nie jej klimaty. Odwracam się ku niej i wpatruję się w twarz, którą znam chyba lepiej niż własną. Jej różowe wargi zamykają się miękko, gdy wybrzmiewa ostatni śmiech. Oczy, które zawsze przywodziły mi na myśl trawiaste pastwiska na obrzeżach

naszego rodzinnego miasteczka, przyglądają mi się, gdy myję filiżankę po wypitej rano kawie.

– Miałam cię zapytać. Zanim wyszłaś. – Zaczyna mówić, a w jej głosie nagle pojawia się wielkie napięcie. – Czy dostałaś list? Od Marka?

Jeżą mi się włosy na karku, w podbrzuszu czuję skurcz. Odchrząkuję i staram się jak najszybciej przełknąć żółć podchodzącą mi do gardła.

– Tak. Był niedorzeczny. Wciąż pisał o tym, jak jego życie legło w gruzach przez tę całą sprawę. Tak, jakby to on był ofiarą – rzucam drwiące słowa, ostre jak noże. – Dasz wiarę?

Mama przez chwilę milczy, a skurcz przybiera na sile, jakbym właśnie dostała najboleśniejszej miesiączki w życiu. Marszczę brwi i próbuję doszukać się sensu w jej pytaniu.

– Skąd wiesz o liście?

Wbija wzrok w paznokcie pokryte poodpryskiwanym lakierem w kolorze espresso.

– Ojciec Richard zadał mu jego napisanie na terapii małżeńskiej.

W okamgnieniu pochłania mnie ból. Krew w moich żyłach zmienia się w strumień żyłek, które teraz krążą po całym ciele. Przez chwilę nie jestem pewna, czy uda mi się ustać na nogach. Zaciskam ręce, wciąż śliskie od płynu do mycia naczyń, na krawędzi blatu, by zachować równowagę.

Nitka pojawia się na pierwszym planie moich myśli. Staram się od niej odwrócić, ale szarpnięcie za nią słowa mamy. Terapia małżeńska. Musiałam się przesłyszeć. Mama zbliża się o krok i kładzie swoją drobną dłoń na mojej, zaciśniętej tak mocno, że aż zbielały mi kłykcie. Patrząc na nasze złączone ręce i resztki mojego świata obracają się w proch.

Na serdecznym palcu jej lewej dłoni lśni znajoma ślubna obrączka.

– Mamo? – pytam, z trudem wydobywając z siebie głos.

Nitka nie wytrzyma kolejnych szarpnięć. Mama oddycha niespokojnie, wszystko się rozpruwa i przed oczami staje mi naga prawda.

– Eden, nawet nie masz pojęcia, jak mu przykro – szepcze mama.

Zastygam w bezruchu. Mój mózg nie nadąża za jej słowami. Musiała wypowiedzieć je w jakimś nieznanym mi języku. To by wyjaśniało, dlatego nie jestem w stanie ich zrozumieć.

Mama odrywa rękę od mojej dłoni, kładzie ją na moich plecach na wysokości krzyża i próbuje przyciągnąć mnie do siebie i przytulić. Nie jestem w stanie się poruszyć. Tonę w ruchomych piaskach nowej rzeczywistości. Natrafiam wzrokiem na zdjęcie, które powiesiłam nad zlewem – wydrukowaną na płótnie fotografię, zrobioną wiele lat temu w Londynie. Udaję na niej, że biegnę brukowaną uliczką w stronę Piccadily Circus, Zoey depta mi po piętach. Chciałabym przenieść się z chwili, którą właśnie przeżywam, do tamtego momentu biegu w nieznaną, w odległej przeszłości.

– Od kiedy?

Nic w życiu nie kosztowało mnie tyle wysiłku, co wypowiedzenie tych słów. Czuję się jak na ostatnim odcinku biegu przełajowego. Wszystkie mięśnie w moim ciele pragną się zatrzymać, zanim zaczną boleć jeszcze bardziej.

W końcu zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy. Kiedyś wyglądały znajomo i były podobne do moich. Teraz przypominają szmaragdy, które straciły blask i rozpaczliwie wymagają polerowania.

– Powiedzieliśmy o wszystkim ojcu Richardowi, a on uznał, że terapia może nam pomóc – wyjaśnia. Patrzy na mnie, ale mam

wrażenie, że mnie nie widzi. Tkwimy złączone w połowicznym uścisku i żadna z nas nie jest pewna, co dalej. – Zrozumiesz to kiedyś, gdy sama wyjdiesz za mąż. Widzisz, mężczyźni mają swoje potrzeby. Nie dawałam mu tego, na co zasługiwał. A ty jesteś taka piękna, Eden.

Czuję, że zaraz zwymiotuję.

Wzdrygam się każdą komórką ciała. Nie mogę uwierzyć w jej słowa, wzbudzają we mnie mdłości. Jak udało jej się – nawet w takiej sytuacji – znaleźć sposób, by wziąć winę na siebie? Dlaczego w ogóle chce to zrobić?

– To pedofil – odpowiadam stanowczo, by nie pozostawić żadnych niedomówień. – Zdajesz sobie z tego sprawę? Tego się nie da wyleczyć modlitwą.

Mama łagodnie kręci głową, odrzucając prawdę, nim ta zdołała jej dosięgnąć.

– Nigdy cię nie tknął.

Odskakuję, jakby wymierzyła mi policzek. Mama drga, jej twarz się wykrzywia, tama pęka i łzy zaczynają płynąć strumieniami po kanionach wyżłobionych przez zmarszczki. Nie wiem, jak mam jej wytłumaczyć, że wcale nie musiał mnie dotykać. Że i bez tego zadał mi równie głębokie rany.

Przez chwilę czuję się tak, jakbym pierwszy raz w życiu zobaczyła ją wyraźnie. Nie jako swoją matkę, ale jako drugą odrębną osobę, z własnym brzemieniem porażek, błędów i marzeń, których nigdy nie udało jej się zrealizować. Muszę włożyć wszystkie siły w to, by nie poczuć do niej nienawiści – a i wtedy stać mnie tylko na litość.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? – rzucam błagalnym tonem.

Brzmie tak samo, jak w wieku pięciu lat, gdy mama wyjaśniła mi, że pewnego dnia umrze. Wtedy nie rozumiałam, że nie ma

wyboru. Teraz jest znacznie gorzej – mając wybór, podejmuje złą decyzję.

– Skarbie, tego chciałby od nas Bóg. Byśmy przebaczyły Markowi, tak jak Pan przebaczył nam – stwierdza, krzyżując ramiona na piersi i pocierając je, jakby było jej zimno. Jeszcze nigdy nie wyglądała na tak wątlą. Jakby mógł ją porwać najłżejszy powiew. – Chcemy tylko, byś wróciła na łono rodziny.

Coś we mnie pęka i nagle zamiast szeptać, zaczynam wrzeszczeć.

– Mamo, rodzina to ty, Ella i ja! Nie on! – Cała drzę z wściekłości, oburzenia i niedowierzania, że moje życie naprawdę tak wygląda. To niemożliwe. – To nie ja zrobiłam coś złego!

Widzę w jej oczach rosnący mur, którym się ode mnie odcina. Prostuje plecy i wydyma wargi. Wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy zaraz miała dać mi klapsa za pyskowanie, na długo przed tym, jak zrezygnowałam z wyrażania swoich opinii.

Gniew przepływa przeze mnie jak rozgrzana do białości błyskawica.

– Musisz wyjść. Natychmiast.

Wzdryga się, a mój rozkaz odbija się od niej jak rzucony kamyczek.

– Eden, jestem twoją matką.

– Nie wiem, kim właściwie teraz jesteś. – Mocno potrząsam głową.

Chciałabym, żeby wspomnienia z ostatniego kwadransa zniknęły jak rysunki na znikopisie, którym bawiłam się w dzieciństwie. Pytanie, którego tak starałam się uniknąć, wypływa na powierzchnię.

– Jak się tu dostałaś? – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Przyjechałam z Markiem. Nocuje w motelu w miasteczku. – Mama mówi jak dziecko, które przyznaje się do wybryku i wie, że będzie mieć przez niego kłopoty.

Odrywam dłonie od blatu.

– Wyjdz. Już.

Szybkim krokiem przemierzam pokój i niemal wyrywam drzwi z zawiasów, otwierając je przed nią. Mama przygląda mi się z lękiem, a w jej oczach i złożonych dłoniach widać niemą, rozpaczliwą prośbę.

Nie uginam się jednak, więc powoli zbiera swoje rzeczy z powrotem do walizki i wychodzi, mijając w drzwiach moje zeszywniałe ciało. Buzuje we mnie gniew, ale pod nim kryje się smutek. Mam ochotę odciąć sobie rękę, którą wskazuję jej drogę wyjścia – w dół po schodach, daleko ode mnie.

– Zadzwoń, żeby po ciebie przyjechał. Nie mogę być teraz blisko ciebie – rzucam, a słowa te otwierają w moim ciele rany, które chyba nigdy się nie zagoją.

Mama wybiera numer i odbywa krótką rozmowę, nie odrywając ode mnie wzroku. Przez kilka minut stoimy tak w impasie. W końcu rozlega się znajomy warkot silnika pickupa. Staram się powstrzymać dreszcze.

Mark parkuje na końcu podjazdu. Jestem wdzięczna, że nie wysiada z samochodu. Spoglądam znów na matkę, która wygląda jak nie ona – od gwałtownego łkania drżą jej ramiona, a z nosa cieknie mokra strużka. Wyciąga do mnie ręce, a ja stoję jak skamieniała. Rozpaczliwie chcę znaleźć się jak najdalej od niej, choć niczego na świecie nie potrzebuję bardziej niż matczyne pociecha.

– Musisz to zrozumieć, skarbie – szepce mi do ucha. – Nie chcę umrzeć w samotności.

Odsuwa się, otarłszy się policzkiem o moją twarz. Na skórze zostaje mi mokra plama. Nie ronię łez, które mogłyby ją zmyć. Trwam w niedowierzaniu, suchymi oczami obserwując scenę

rozgrywającą się przede mną jak zły sen, z którego lada chwila się obudzę. Mama idzie podjazdem, otwiera tylne drzwi samochodu, by wrzucić walizkę, a potem wsiada na miejsce pasażera, obok kierowcy. Odwracam wzrok, by nie dostrzec Marka w ciemności.

Stoję u szczytu schodów, słuchając cichnącego dźwięku silnika. Odejście mamy kruszy szklany klosz osłaniający moje serce. W wieczornej ciszy, pod osłoną mroku, wyrywa się ze mnie szloch, który wstrząsa mną do głębi. To pierwsza kropla poprzedzająca huraganową ulewę. Po chwili płaczę tak gwałtownie, że nie mogę złapać tchu.

Od czasu do czasu w rozmowach pada słowo „męczarnia”. Wydaje nam się, że wiemy, co oznacza i z jakimi odczuciami się wiąże. Do tej chwili też miałam takie wrażenie. Okazuje się jednak, że prawdziwa męczarnia to echo odbijające się w pustym miejscu w mojej klatce piersiowej, gdzie kiedyś znajdowały się życiodajne organy, oraz wstrząsające moim ciałem spazmy rozpacz.

Nie wiem, ile czasu mija, nim pada na mnie światło reflektorów Zoey. Jej samochód zatrzymuje się gwałtownie i niewyraźnie widzę przez łzy, jak moja przyjaciółka wyskakuje na chodnik, nie zamykając za sobą drzwi, i zbliża się do mnie. Nim Aaron zdąży wysiąść od strony pasażera, ona już otacza mnie ramionami. W ciemnościach słysząc żalosne wycie. Dopiero po długim – zbyt długim – czasie uświadamiam sobie, że ten obco brzmiący dźwięk wyrywa się z moich płuc.

– Eden, co się stało? Gdzie Julie? – pyta Zoey z niepokojem.

Aaron zatrzymuje się u dołu schodów, zasłaniając oslepiające nas światło, i przygląda się naszym twarzom, niepewny, jak może pomóc.

– Wróciła do niego – wykrztuszę w końcu, gwałtownie łapiąc oddech. – Wróciła do Marka.

Rozdział 24

Potrzebuję pomocy obojga, żeby podnieść się ze schodów. Kiedy w końcu stawiają mnie na nogi, Aaron bierze mnie na ręce, a Zoey szybko rusza przodem. Jakaś głęboko ukryta część mego umysłu wstydzi się, że Aaron widzi mnie w takim stanie, ale tak bardzo koncentruję się na próbie przetrwania przytłaczającego bólu, że nie udaje jej się dojść do głosu. Wdycham zapach drogiej wody kolońskiej z nadzieją, że jej opary mnie uśpią.

Kiedy Aaron przenosi mnie przez próg, dostrzegam kątem oka, jak Zoey chowa zmięty kawałek szarego materiału w dolnej szufladzie komody. Aaron opuszcza mnie na kanapę z delikatnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała, ale wciąż czuję na koszulce jego zapach. Odsuwa się ode mnie, robiąc miejsce Zoey. Przyjaciółka klęka przede mną i odgarnia mi z twarzy pasma przemoczonych łzami włosów.

– To on ją tu przywiózł – łkam. Szloch ustąpił, pozostał tylko strumień łez płynący z mojego udręczonego ciała. – Pozwoliła mu podrzucić do mojej skrzynki ten list. Powiedziała, że wszystko przez to, że za rzadko się pieprzyli, a ja byłam za ładna, żeby mi się oprzeć.

Skóra Zoey przybiera odcień zieleni pasujący do ucisku, jaki czuję w żołądku. Aaron domyśla się z kontekstu wystarczająco dużo, by z obrzydzeniem wykrzywić wargi.

– Jak może z nim zostać? Po tym, co mi zrobił? – Nie wiem, czy kieruję to pytanie do Zoey, do rzekomo istniejącego Boga, który

do tego wszystkiego dopuścił, czy do całego cholernego wszechświata.

Nie wierzę, żeby którekolwiek z nich znało odpowiedź.

Tak jak się spodziewałam, Zoey kręci głową i zaciska usta. Przytula mnie jedną ręką, a drugą ociera łzy z oczu.

– Nie wiem, Eden. Naprawdę nie wiem.

Aaron przygląda się nam, a w ostrych klasycznych rysach jego twarzy widać troskę. Zoey dostrzega, że na niego patrzę, i odwraca się ku niemu.

– Przepraszam, Aaron, muszę dziś zostać tu na noc – mówi tonem, w którym słyhać niewyłane jeszcze łzy.

Chłopak kiwa głową ze zrozumieniem, schyla się i całuje ją w czoło. Ten wyraz czułości nawet mnie nie zaskakuje – ale to, że kolejny pocałunek składa na moich włosach, już tak. Nie sądziłam, że jest zdolny do takich gestów, i kiedy się ode mnie odsuwa, widzę go w już zupełnie innym świetle.

– To mi nie wygląda na „nic poważnego” – mamroczę.

Patrzę po sobie; Zoey kręci głową i spogląda na mnie spode łba, Aaron mruga do niej niewzruszony, a potem zerka z powrotem na mnie.

– Trzymaj się, Eden. Bardzo mi przykro z powodu tego, przez co przechodzisz. – Jego słowa, choć wypowiedziane niepewnie, są krzepiące. – Poproszę Chase’a, żeby przyjechał i podrzucił mnie do mojego auta.

– Aaron... – zaczynam mówić.

Zapewne widać, że panikuję, bo łagodnie kręci głową.

– Dochowam twojej tajemnicy – odpowiada na moją niewypowiedzianą prośbę.

Zamyka za sobą drzwi. Powstały przy tym podmuch porusza firanką, którą powiesiłam w oknie obok. Zoey gramoli się nade

mną na skrawek miejsca na kanapie za moimi plecami. Obejmuje mnie w talii, wtula głowę w mój kark i płaczymy chórem, jakbyśmy śpiewały najsmutniejszą pieśń świata.

* * *

Sen przychodzi falami. Krótkie chwile bolesnej świadomości przeplatają się z zamroczeniem pozbawionym snów. Czasem jest przy mnie Zoey, która nalega, żebym zjadła lub wypła to, co mi przyniosła. Czasem jestem sama. Nie wiem, co gorsze. Ella dzwoni kilkakrotnie, ale za każdym razem czekam, aż włączy się poczta głosowa. Zastanawiam się, czy wie od mojej przyjaciółki, czy od matki. Każda z nich przedstawiłaby jej zupełnie inną wersję wydarzeń.

Dopiero teraz przychodzi mi do głowy odpowiedź na pytanie Stephena. Nigdy nie zwracałam się do Marka „tato”, bo w gruncie rzeczy nigdy nie widziałam w nim ojca. Uświadamiam to sobie, bo ból, który czuję po zdradzie matki, jest dziesięć razy silniejszy niż ten po odkryciu jego postępów. Zapewne wpływa na to fakt, że mogłam pozwolić sobie go znienawidzić, a wstręt odwracał moją uwagę od cierpienia. Teraz, choć mój umysł błaga, bym ulżyła mu w męczarniach, zwracając się ku nienawiści, pozostaję zniewolona przez miłość, którą wciąż czuję do matki.

Najdłuższy dzień mojego życia ma się ku końcowi. Znów pojawia się Zoey, tym razem z kanapką i butelką wody. Trudno jej znaleźć dla nich miejsce na ławie pośród innych nietkniętych posiłków. Przyglądam się, jak mucha entuzjastycznie przelatuje z talerza na talerz, i cieszę się, że chociaż ona skorzysta z tego wszystkiego.

– Wiem, że jesteś przybita, ale musisz przynajmniej się napić – stwierdza Zoey.

Sięgam po butelkę, którą przed chwilą przyniosła, odkręcam ją i przykładam do spierzchniętych warg. Przyjaciółka uśmiecha się do mnie. Odpowiadam jej tym samym, choć ze zdecydowanie mniejszym entuzjazmem.

– Dziękuję, że się mną zajęłaś – mówię głosem zachrypniętym od wielogodzinnego płaczu. – Wiem, że ci ciężko. Ty też ją kochasz.

Dorastając, spędzałyśmy czas na przemian w jej domu i moim. Bardzo kocham jej matkę, ale jest sztywną konserwatystką – w przeciwieństwie do kobiety, która mnie wychowała. Ta chętnie włąziła z nami na drzewa, urządziła potańcówki i plotkowała o chłopakach, gdy czekałyśmy, aż ściągnie nam się skóra pod maseczkami z glinki zielonej. Wiem, że Zoey jej strata dotknęła nie mniej niż mnie.

Opadają jej kąciki ust, a wargi zaczynają nieznacznie drżeć.

– Po prostu nie rozumiem, jak mogła to zrobić. Tobie i sobie.

– Ja też nie – przyznaję.

Nieustannie wracam do tego myślami. Dlaczego ja jej nie wystarczam? – powtarzam sobie w kółko. Zupełnie jakby ktoś wrzucił wszystkie swoje drobne do szafy grającej i nastawiał wciąż ten sam utwór.

– Dasz mi coś na ból głowy? Ledwo żyję.

Potakuje i wstaje z kanapy, żeby przeszukać szuflady w kuchni. Obie aż podskakujemy, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Patrzymy sobie w oczy i wiem, że myślimy o tym samym.

– Nie chcę jej widzieć – udaje mi się w końcu wydusić.

Pukanie rozlega się ponownie, tym razem ciszej. Zoey kładzie mi na dłoni tabletki i uchyla drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Zasłania osobę stojącą po drugiej stronie, ale kiedy słyszę znajomy niski głos, napięcie, które czułam w kręgosłupie, rozprasza się.

– To nie najlepszy moment – szepce Zoey.

– W porządku, Zo – wtrącam.

Mój umysł głośno protestuje, ale serce cicho podpowiada, że spotkanie z nim mi pomoże. Muszę przynajmniej spróbować.

Przyjaciółka patrzy na mnie, odsuwa się i otwiera drzwi. Stojący za nimi Chase, skąpany w blasku zachodzącego słońca, wygląda niemal jak anioł. Ma w dłoniach dwie szklane butelki. Jego widok cieszy mnie tak, że czuję rozlewającą się w piersiach falę ciepła. Myślałam już, że nigdy więcej tego nie doświadczę. Z powodu wszechogarniającego bólu wydawało mi się, że wszystko, co dobre, zniknęło z tego świata.

Uśmiech rozświetla jego twarz jak jutrzienka i odzyskuję pewność, że w moim życiu nadal jest dobro – i że jego część stoi właśnie przede mną.

– Przyniosłem lemoniadę – zagaja. – W tym jestem dobry.

Wręcza jedną butelkę Zoey, a ta przyjmuje ją z uśmiechem, po czym zerka na stos jedzenia piętrzący się na ławie, mija go i wyciąga drugą butelkę w moją stronę.

– Jesteś zbyt uprzejmy – mamroczę, a na moich ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Tak mówią – odpowiada i badawczo przygląda się mojej twarzy.

Nie wiem, czy szuka w niej otuchy, czy odpowiedzi. Domyślam się, że muszę wyglądać okropnie, ale nieskrywana czułość, jaką widzę w jego oczach, dowodzi, że wcale o to nie dba.

– Kurde, a ja to co, od macochy? – pyta Zoey z udawaną złością.
– Cały dzień próbuję poprawić jej nastrój, a tobie się to udaje w dwie sekundy.

– Cóż mogę powiedzieć? – rzuca Chase przez ramię, z zadufanym uśmiechem. – Mam magiczny dotyk.

– Nie chcę słyszeć ani słowa o twoim magicznym dotyku. –
Moja przyjaciółka udaje obrzydzenie.

Z moich ust wyrywa się cichy śmiech. Przez cały dzień nie czułam się tak lekko jak teraz. Chase odwraca się z powrotem do mnie i kładzie swoją silną dłoń na moim udzie. Mimo wszystkiego, co dzieje się w tej chwili w mojej głowie, czuję, jak z miejsca, w którym stykają się nasze ciała, rozchodzi się ciepło. Oboje zerkamy na opaloną dłoń przyciśniętą do nagiej skóry na mojej nodze. Chase cofa się i głośno wciąga powietrze.

– Wiem, że to kiepski moment na dalszy ciąg naszej rozmowy – stwierdza, spoglądając na Zoey, którą nagle zaczyna niezwykle interesować etykieta na butelce lemoniady. Potem znów patrzy na mnie. – Ale Aaron wspomniał wczoraj, że jesteś przybita, i chciałem chociaż spróbować pomóc.

Niemal niedostrzegalnie kiwam głową. Przekłęte łzy znów napływają mi do oczu, choć już myślałam, że mi ich zabrakło. Na szczęście Chase zauważa, że w tej chwili nie mam jak udzielić wyjaśnień, i zamiast na nie czekać, zbliża się do mnie powoli, dając mi czas na ewentualne protesty. Nie wyrażam sprzeciwu, więc delikatnie całuje mnie w usta, drapiąc zarostem wrażliwą skórę na mojej twarzy. Po chwili odrywa wargi i patrzy mi w oczy, bez słów obiecując, że wrócimy do rozmowy w tym samym miejscu, w którym ją przerwaliśmy.

– Dziękuję – szepczę.

W kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki.

– Polecam się – stwierdza, wstaje, mija Zoey, kiwa jej głową i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Moja przyjaciółka obraca się do mnie, kompletnie zszokowana.

– Przepraszam, że co? – Wskazuje kciukiem za ramię, w kierunku, w którym odszedł Chase. – Kiedy do tego doszło? Jasne,

wiedziałam, że macie się ku sobie, ale to mi nie wyglądało na pierwszy pocałunek.

Moja szyja, a później policzki, płoną rumieńcem. Zoey szybko podchodzi do mnie i siada na miejscu, z którego moment wcześniej wstał Chase.

– Słucham.

Jej mina, kiedy opowiadam o wszystkim, o czym wcześniej nie zdążyłam jej wspomnieć, jest bezcenna. Mówię o pocałunku nad jeziorem, wieczornym tańcu w barze, randce, w którą się przerodził, tym, jak ją zepsułam – a potem dalej pogarszałam sprawę – i tym, jak zaczęliśmy znów ze sobą rozmawiać i przeprosiliśmy się nawzajem. Przez całą moją relację Zoey nie podnosi szczęki z podłogi.

– Czyli poszłaś z nami wtedy na wycieczkę, chociaż mieliście ciche dni?

Kiwam głową, zbyt zawstydzona, by przytaknąć na głos. Zoey odchyła głowę i wybucha śmiechem. W jej oczach w końcu znów pojawiają się błyski.

– Co za krępująca sytuacja. No i bardzo wiele wyjaśnia – wtrąca między kolejnymi atakami śmiechu.

W końcu bierze głęboki wdech, żeby się uspokoić, a ja pociągam łyk lemoniady. Czuję na języku niespodziewaną gorzycz i niemal się dławię, nim udaje mi się przełknąć napój.

– Niedobra – wykrztuszam, mlaskając.

Zoey upija łyk z mojej butelki i też się krzywi.

– To вина tego, kto ją zrobił – stwierdza stanowczo. – Dodał za mało cukru.

Spłukuję gorzki smak łykiem wody, wściekła na tego, kto popełnił taki błąd.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – pyta moja przyjaciółka, oddając mi butelkę, którą dostała od Chase’a. Jej zawartość jest taka, jak być powinna, słodka i odświeżająca. – Ja chwale ci się wszystkimi swoimi podrywami.

Nie wiedzieć czemu, mam poczucie, że nazywając naszą relację podrywem, spłyca ją – i odruchowo reaguję irytacją. Z gardła wyrzywa mi się szorstki śmiech, a za nim zdanie, którego nie zdążyłam przemyśleć.

– Bo ty masz podrywów na pęczki.

Zaczynam żałować tych słów, gdy tylko kończę je wypowiadać, ale nie mogę wtłoczyć ich z powrotem do ust. Zdążyły już narobić szkód – widzę to po minie Zoey.

Moja przyjaciółka wstaje, zgarnia butelkę słodkiej lemoniady ze stolika, na który ją odstawiłam, i zostawia tę, której zawartość nie nadaje się do picia.

– To, że cierpisz, nie daje ci prawa do okrucieństwa.

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi, i znów zostaję sama. Pociągam łyk gorzkiego napoju. Wiem, że na nic lepszego nie zasługuję.

Rozdział 25

Co jest z nią nie tak, do kurwy nędzy?

To siedemnaste „słowo na K”, które Ella wypowiedziała w ciągu naszej półgodzinnej rozmowy telefonicznej. Skupiam się na liczeniu przekleństw, żeby nie myśleć zbyt wiele o sprawach, które omawiamy. Muszę też przyznać, że sprawia mi przyjemność słuchanie, jak ktoś wypowiada na głos moje najskrytsze myśli, z wściekłością, na której wyrażenie ja sobie nie pozwalam.

– Czy to jakiś kurewski syndrom sztokholmski? – ciągnie dalej swój monolog. Nie ma on konkretnego adresata; tak się składa, że moja siostra ma mnie w tej chwili na linii, ale równie dobrze mogłaby mówić do kogoś innego. – I co, kurwa, myślał sobie ten cały pastor, że w ogóle zaproponował coś takiego?

Dziwiętnaście. I ma całkowitą rację.

Jak się okazało, Ella nie poznała żadnej z wersji historii, dopóki dziś rano nie zebrałam się w sobie, by do niej zadzwonić. Zoey wysłała jej esemes z sugestią, żeby się do mnie odezwała, a po tym, jak nie odebrałam żadnego z jej telefonów, próbowała skontaktować się z matką, która najwyraźniej miała wyłączoną komórkę. Przez pierwszych pięć minut naszej rozmowy z bólem wydobywałam z siebie słowo po słowie, jakbym układała ścieżkę z kamiennych płyt – tyle że ścieżka wiodła w miejsce, w które wcale nie chciałam dojść, a każda płyta doprowadzała mnie do płaczu.

– Bardzo cię przepraszam, ale właśnie dotarłam do pracy. Muszę kończyć – rzucam, choć od razu żałuję tych słów.

Moja rodzina się rozpadła i wszystko we mnie krzyczy, żeby kurczowo trzymać się siostry i nie pozwolić jej się oddalić. Nawet jej oddech, który słyszę w słuchawce, dodaje mi otuchy.

– Chciałabym, żebyś tu była.

Ostatnie zdanie to wypowiedziana szeptem modlitwa.

– Ja też.

Słyszę w jej głosie, że bardzo chciałaby ulżyć mi w cierpieniu. Opieram dłonie na klamce. Widzę, jak drżą. To dopiero pierwsza z czekających mnie dziś trudnych rozmów. W barze znajduje się Zoey, której jestem winna przeprosiny.

– Zadzwoń niedługo, Ell – mówię, przełykając z trudem ślinę.

– No ja myślę – odpowiada, chichocząc, potem odkasłuje i dodaje: – Pamiętaj, że jestem przy tobie. Stoję za tobą murem i nigdzie się nie wybieram. Okej?

Kiwam głową, chociaż wiem, że mnie nie widzi. Jej słowa rozświetlają najmroczniejsze zakątki mojego lęku, jakby wniosła latarnię do pomieszczenia, które już na zawsze miało pozostać pogrążone w ciemności.

– Okej.

Rozłączamy się z cichym trzaskiem. Teraz muszę się zachować jak dorosła i iść do pracy.

* * *

Zoey wyciera dłoń w swój oliwkowy kombinezon, pozostawiając na materiale grudki ziemi, i przechyla konewkę nad bluszczem, który w nieokiełznany sposób rozplenił się na belce nad barem. Odkasłuję w zaciśniętą pięść, by zwrócić jej uwagę. Spogląda

na mnie przez ramię, a po jej minie widzę, że powinnam od razu przejść do rzeczy.

– Hej, Zo – zagajam. Splatam dłonie i apatycznie zwieszam je przed sobą. – Chciałam bardzo cię przeprosić.

Prycha, jakby chciała rzucić: „No raczej”, ale pozwala mi mówić dalej. Podchodzę do drabiny i przytrzymuję ją, kiedy moja przyjaciółka powoli schodzi.

– Nie miałam prawa wypowiadać się tak o twoich... hmm... związkach – mówię przez szparę między szczeblami. Zoey patrzy na mnie z namysłem, przeżuając te słowa, by sprawdzić, czy smakują autentycznie. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. To, co powiedziałam, było podłe. Przepraszam.

– Już to mówiłaś – wypomina, ale kąciki jej pomalowanych na czerwono ust unoszą się i wiem, że moje winy zostały mi wybaczone.

Okrąża drabinę, a ja ruszam w jej stronę – spotykamy się w połowie drogi; obejmuję jej wąskie ramiona i zamykam ją w mocnym uścisku. Nie wiem, jak po tym wszystkim, co się stało, mogę czuć, że mam wiele szczęścia – ale tak właśnie jest, skoro mam przyjaciółkę taką jak ona.

Zoey odsuwa się, chwyta mnie mocno i wpatruje mi się w oczy, wymuszając na mnie, bym też na nią spojrzała.

– Pamiętaj. Fakt, że rodzina, w której przyszedłeś na świat, jest do bani, nie oznacza, że ja też się taka okażę. Może i krew nie woda, ale bardziej od nich obu liczy się wybór. My wybrałyśmy się nawzajem. Nie pozbędziesz się mnie.

– To chyba najgłębsza rzecz, jaką w życiu powiedziałaś – stwierdzam i śmieję się, żeby znów się nie rozpłakać.

– Od czasu do czasu wśród kamieni na dnie rzeki trafia się bryłka złota – odpowiada, puszczając do mnie oko i stukając się palcem

w czoło.

– A to chyba najbardziej typowa dla Alabamy rzecz, jaką w życiu powiedziałaś – dodaję.

Zoey zakrywa usta, żeby stłumić prychnięcie. Oddycham z ulgą i niemal kładę się na ladzie.

– No dobra, dwie z trzech trudnych rozmów już za mną. Jeszcze jedna i fajrant.

Zoey podchodzi do mnie, siada okrakiem na stołku barowym i opiera głowę na dłoni.

– A dwie pozostałe?

– Rano zadzwoniłam do Elli i powiedziałam jej o mamie. – Mówię z policzkiem przyciśniętym do kontuaru, przez co mój głos brzmi tak, jakbym coś żuła.

Zoey wytrzeszcza oczy i gwizdże donośnie.

– Jak poszło?

– Dziewiętnaście razy powiedziała „kurwa” – wyjaśniam rzeczowo. Zoey wydyma wargi z podziwem.

– Szczerze mówiąc, to chyba i tak mało, biorąc pod uwagę całą sytuację. Facet robił sobie dobrze przy pornografii dziecięcej. Ze swoją córką w roli głównej. A teraz Julie zamiecie sprawę pod dywan i będą nadal małżeństwem, jak gdyby nigdy nic? I oczekuje, że ty też o wszystkim zapomnisz? To. Jest. Kurewsko. Pojebane.

Wpatruję się w nią w milczeniu, by dotarły do mnie jej słowa. Brzmiały tak absurdalnie, że trudno mi uwierzyć, że opisują w tej chwili moje życie.

– Co zamierzasz? – pyta moja przyjaciółka łagodnie, ale stanowczo. Wystukuję palcami nierówny rytm, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. – Odwracam wzrok od jej współczującej miny i opieram czoło na przedramieniu.

– Powiedziałaś Chase’owi?

Przesuwa długimi paznokciami w górę i w dół moich pleców, jakby uspokajała małe dziecko. Z moich ust wyrywa się jęk.

– To ta trzecia rozmowa.

– No weź, ta będzie łatwa – stwierdza i szczypie mnie w bok. Odsuwam się, nie patrząc na nią. – Z Chase’em gada się jeszcze lepiej niż z Aaronem. Wiesz, że zrozumie.

– W głębi serca, owszem – przyznaję. Drzwi wejściowe skrzypią i do baru ktoś wchodzi. – Ale jedynym mężczyzną, przed którym udało mi się otworzyć, jest Stephen – kończę.

Słyszę szuranie stóp na posadzce. Unoszę głowę w kierunku źródła dźwięku, a Zoey odwraca się w jego stronę. Chase stoi na czarno-białej posadzce przy wejściu, najwyraźniej wahając się, czy podejść bliżej. Jego wyraz twarzy jest tak znajomy, że gdybym już nie siedziała, zwałiłby mnie z nóg.

Piorunująca mieszanka gniewu, rozczarowania i czystej urazy układa jego rysy w rozdzierający serce obraz. Mój umysł kręci się w kółko w poszukiwaniu możliwych przyczyn, dla których Chase może czuć się zdradzony. Dokładnie tak samo wyglądał tamtego ranka na schodach po tym, jak powiedziałam mu, że powinniśmy pozostać przyjaciółmi.

– Stephen?

To jedno słowo naprowadza mnie na rozwiązanie zagadki. Dociera do mnie echo moich słów, w takiej formie, w jakiej on je usłyszał. Zrywam się na nogi i wyciągam rękę, chcąc wszystko mu wyjaśnić. Chase patrzy na mnie, później na Zoey, odwraca się na pięcie i wychodzi. Na swoich długich nogach pokonuje

odległość dzielącą go od drzwi szybciej, niż jestem w stanie go dogonić.

– Muszę w końcu zamontować dzwonek przy tych drzwiach – mruczy Zoey, kiedy ją mijam.

Gdy wybiegam na ulicę, Chase zbliża się już do rogu przy kawiarni Rose. Klnę pod nosem i ruszam niezgrabnym truchtem, chwiejąc się na odwykłych od takiego wysiłku nogach. W końcu doganiam go i chwytam za ramię, zmuszając, by się do mnie odwrócił. Stoimy pod schodami prowadzącymi do mieszkania Gary’ego.

– To właśnie o tym bałaś mi się powiedzieć przez cały ten czas?

Jeszcze nigdy nie słyszałam w jego słowach takiego gniewu. Aż się wzdrygam, a on łapie się metalowego stopnia, by pewniej stanąć na nogach, i zaciska szczęki tak mocno, że zaczynają mu nerwowo drgać mięśnie. Wbija wzrok w niebo, jakby nie był w stanie nawet na mnie spojrzeć, i ciągnie dalej:

– Że jest ktoś jeszcze?

Cały jest naprężony jak struna i może pęknąć w każdej chwili, więc gdy ogarnia mnie śmiech, zasłaniam usta, starając się go ukryć. Nie wiem, czy wywołało go napięcie spowodowane intensywnymi emocjami Chase’a, czy obraz Stephena, który stanął mi przed oczami, ale mam nadzieję, że uda mi się przekonująco udawać, że ramiona drżą mi od płaczu.

– Śmiejesz się w takim momencie? – Teraz w jego głosie pobrzmiwa obrzydzenie. – Eden, mnie to nie bawi. Naprawdę mi na tobie zależy. Mogłaś od razu powiedzieć mi, co jest grane, to nie tracilibyśmy tyle czasu. A ty wodziłaś mnie za nos, udając, że dzieje się coś poważnego, zamiast przyznać, że kogoś masz.

Przygryzam wargi, żeby się uspokoić, nim odpowiem. Chase w końcu zwraca ku mnie twarz. Piorunuje mnie wzrokiem i skupia

się na moich ustach.

– Kochasz go?

Gdy to słyszę, nie tylko przestaję się śmiać, ale też zaczyna mi brakować tchu. Jest w jego słowach tyle silnych emocji, że zastanawiam się, czy on nie czuje czegoś do mnie.

Kręcę głową, by odpędzić od siebie tę myśl. On nie może mnie kochać. Przecież nawet mnie nie zna.

A czyja to wina?

Cały czas mi się przygląda, oczekując wyjaśnień. Wygląda, jakby za chwilę miała mu pęknąć żyłka na skroni.

– Stephen to mój terapeuta – wybieram najszybsze wyjście z sytuacji i działa ono cuda.

Powietrze uchodzi z Chase'a jak z przekłutego balonika, a gniew i uraza ustępują miejsca uldze i dezorientacji.

– Aha. Że co?

Zaplata ręce na piersiach, ale gestem prosi, bym mówiła dalej. Nie wiem, co we mnie wstępuje, ale nagle tak rozpaczliwie chcę wyznać mu całą prawdę, że brakuje mi czasu, by odpowiednio ją sformułować. Słowa wysypują się ze mnie beładnie jak wystrzelone z tuby confetti.

– W grudniu zeszłego roku moja mama znalazła plik nagich zdjęć, które mój ojczym przez lata robił mi bez naszej wiedzy. Dlatego się tu przeprowadziłam. Dlatego jestem w terapii. U Stephena, który, tak na marginesie, zupełnie nie jest w moim typie.

Zwykle nie odślaniam się tak łatwo, a dziś zrobiłam to już tyle razy, że zaczynam się trząść, gdy tylko spada mi poziom adrenaliny. Czuję się jak obnażony nerw. Dzieje się zbyt dużo, zbyt szybko. Chase przez cały czas patrzy mi w oczy, zaciskając wargi.

W tej chwili najbardziej na świecie pragnę odczytać jego myśli. Albo wczłogać się w jakiś ciemny kąt. Albo jedno i drugie.

To, co się dzieje, jest niemal równie dobre. Chase podchodzi do mnie i zamyka mnie w uścisku tak mocnym, że nie mogę złapać tchu. Jedną dłoń wplata mi we włosy na karku, drugą pewnie obejmuje mnie w talii. Czuję twarde kontury jego klatki piersiowej na miękkich pagórkach mojego ciała i słyszę, jak oddech więźnie mu w gardle. Mam wrażenie, że zdoła poskładać do kupy wszystkie drobne części, na które się rozsypałam. Że po tym uścisku znów będę stanowić całość.

– Boże, Eden, tak mi przykro – mówi chrapliwie. – To nie powinno było cię spotkać.

Nie wiedziałam, że potrzebuję tych słów, póki nie padły z jego pięknych ust. Drżę od stóp do głów. Przepęlnia mnie zbawienna wdzięczność i poczucie, że jestem ważna. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale Chase stabilnie, bezpiecznie trzyma mnie w ramionach.

Przyciska czoło do mojego czoła. Czuję ciepło jego ciała i kojący zapach świeżych sosen i udaje mi się przestać dygotać. Ze skrępowaniem oblizuję wargi. Nagle uświadamiam sobie, że jesteśmy o dwa kroki od pocałunku.

– Dziękuję, że zaufałaś mi na tyle, by mi o wszystkim powiedzieć.

Kiedy rozważałam rozmowę z nim na temat tego, co mnie spotkało, wyobrażałam sobie najrozmaitsze reakcje. Nerwowe unikanie tematu, rzekomo po to, by nie wyprowadzać mnie z równowagi. Słuszny gniew, jaki widuje się u bohaterów filmów i seriali. Zdarzało mi się pragnąć drugiej z tych opcji – rozpaczliwie chciałam, żeby ktoś poszedł za mnie na wojnę. Staje mi przed

oczami furia Elli i Zoey i na moich ustach pojawia się cień uśmiechu.

Chase bierze go w niewolę, czule przyciągając moje wargi do swoich. Jego dłonie z czcią obejmują moją twarz. Przytula mnie mocno i całuje głębiej, jakby chciał uśmierzyć w ten sposób mój ból. Rozpala tym w moich trzewiach ogień, który rozgrzewa mnie od wewnątrz i oświetla ostatni skrawek mojego lęku, do którego starałam się nie przyznawać nawet przed sobą. Ten, który podszeptował, że Chase poczułby do mnie wstręt, gdyby poznał prawdę. Koniuszek jego języka delikatnie bada moją dolną wargę, a ja przestaję się bać.

– Miło, żeście się pogodzili, ale muszę przejść, spieszę się na namiętą randkę z americano. – Głos Gary’ego przebija spowijającą nas magiczną bańkę, zaskakując mnie i zawstydzając. Mężczyzna z kpiącym uśmiechem patrzy najpierw na Chase’a, potem na mnie. Odsuwamy się od schodów, potykając o siebie nawzajem. – No, trochę wam zeszło – dodaje, a jego ton wskazuje, że nie mówi jedynie o schodzeniu mu z drogi.

Z uznaniem poklepuje Chase’a po plecach i szurając nogami po chodniku, znika za rogiem. Chase znów porywa mnie w ramiona, unosi i obraca, kołysząc przy akompaniamencie moich pisków:

– Postaw mnie!

W końcu opuszcza mnie tak, że z powrotem stoję mocno na ziemi, po czym muska palcem mój nos. W kącikach jego ust pojawiają się zmarszczki, a twarz rozpromienia się w olśniewającym uśmiechu.

– Ja tam uważam, że zdążyliśmy w samą porę.

Rozdział 26

Gdy otwieram drzwi, Chase stoi na podeście schodów, a na jego twarzy maluje się zalotny uśmiech, podkreślający dołek w podbródku. Nonszalancko opiera się o barierkę, ale ma na sobie najbardziej elegancki strój, w jakim go dotąd widziałam – czyli dżinsy i cienką turkusową koszulę z podwiniętymi rękawami.

– Gotowa na najromantyczniejszą pierwszą oficjalną randkę w historii?

– A może nieodpowiednio się ubrałam? – pytam, nerwowo przyglądając się swojemu bawełnianemu kombinezonowi i sandałom. – Mogę włożyć coś bardziej eleganckiego.

– Nie musisz – odpowiada, szczerząc zęby w uśmiechu.

Posyłam mu złośliwy uśmieszek, ale chwytam jego wyciągniętą dłoń i pozwalam wyciągnąć się z domu. Pickup stoi z włączonym silnikiem na miejscu parkingowym Zoey.

– Muszę zdążyć do pracy na popołudniową zmianę. Zoey ma wolny wieczór – przypominam.

Zapinam pas i wygładzam zmarszczkę na jasnobrązowym materiale. Chase wrzuca wsteczny bieg i patrząc w lusterko, odpowiada:

– Pamiętam. O pierwszej zamieniasz się w dynię.

Ruszamy w kierunku przeciwnym niż ten, w którym zwykłam jeździć, na przedmieścia Loveless. Mijamy olbrzymi budynek z cegły, z wymalowanymi czarnymi literami na bocznej ścianie napisem „Fabryka Tytoniu w Loveless”

– Ciekawie by pachniało, gdyby wybuchł tu pożar – mówię.

Chase rzuca mi spojrzenie pełne udawanego niepokoju.

– Czy właśnie przyznałaś mi się do piromanii? – pyta ostrożnie.

Wybucham śmiechem, który zastyga mi na ustach, gdy Chase swobodnie kładzie dłoń na mojej dłoni, opartej na konsoli środkowej. Delikatnie gładzi kciukiem kolejne kosteczki i przejeżdża opuszką palca w dół, do nadgarstka, aż dociera do skraju blizny.

– Skąd ją masz? – pyta.

Jego ton nadal jest lekki. Nie wie, że dotknął czułego punktu. Uważnie przyglądam się jego twarzy i ciemnym kędziorom, które nie dały się poskromić żelem. Dostrzegam za jego uchem pieg, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Tak zatracam się w studiowaniu jego rysów, że na chwilę zapominam o pytaniu. Odchrząkuje, żeby mi o nim przypomnieć, i reaguje uśmiechem, kiedy przyłapuje mnie na wgapieniu się w niego.

Przenoszę spojrzenie na biały ślad w kształcie półksiężyca, zahipnotyzowana rytmicznym ruchem palców Chase'a, wodzących po nim tam i z powrotem.

– Moja mama wrzuciła wszystkie znalezione zdjęcia do paleniska. Poparzyłam się, próbując wyciągnąć jedno z nich.

Po moich słowach w kabinie zapada ponury nastrój, którego tak bardzo chciałam uniknąć. Próbuję cofnąć rękę i położyć ją na kolanach, ale Chase chwyta moją dłoń i ją przytrzymuje.

Zerkam na niego, gdy zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Nie byłam jeszcze w tej części miasteczka. Przeważają tu budynki mieszkalne. Mijamy boczne uliczki z parterowymi domkami i chodnikami, na których dzieci, nie zważając na letni skwar, rysują pola do gry w klasy. Chase odpowiada na moje spojrzenie

wyrozumiałym uśmiechem, unosi nasze splecione dłonie i przyciska wargi do czułej skóry na moim nadgarstku.

Nasze ręce po chwili wracają na swoje miejsce na konsoli, a on jedzie dalej, jakby nic się nie stało. A przecież stało się wszystko.

– Ja swoje blizny zakryłem tatuażami – rzuca żartobliwie, rozpraszając ciemne chmury promiennym uśmiechem. – Pamiętasz, mówiłem ci, że pogruchotałem sobie ramię.

Przez resztę drogi opowiada o tym, jak jako nastolatek przewrócił quad podczas przejażdżki po górach. Trzeba było wzywać ratowników górskich, a rodzice na miesiąc uziemili go za lekkomyślność. Szlaban niewiele jednak zmienił, bo Chase musiał przejść w tym czasie kilka operacji, które umożliwiły mu odzyskanie pełnej sprawności w ramieniu.

Przyglądam się mięśniom zarysowanym pod warstwą cieniowanego tatuażu i w milczeniu dziękuję chirurgom za świetną robotę.

Chase milknie, gdy zjeżdżamy z ubitej drogi na ścieżkę biegnącą wśród traw, i zatrzymuje samochód, kiedy docieramy do ślepego zaułka przy bramie z kutego żelaza, łączącej dwa końce spłowiełego ceglanego muru. Uśmiecha się do mnie niepewnie i rozpina pas.

– Jesteśmy na miejscu.

Nie jestem pewna, co to właściwie za miejsce, do chwili, gdy pomiędzy listwami ozdobnej bramy dostrzegam nagrobki.

– Przywiozłeś mnie na cmentarz?

Chwyta mnie za rękę, kiedy wysiadam, po czym zamyka za mną drzwi i prowadzi mnie naprzód. Zręcznie odwija łańcuch zabezpieczający skrzydła bramy, a w kącikach jego ust znów pojawia się nieśmiały uśmiech.

– Tak. Chciałem przedstawić cię tacie.

Czuję w podbrzuszu mrowienie, które rozprzestrzenia się po moim ciele z każdym moim kolejnym krokiem. Nie potrafię wyrazić słowami, jaki to dla mnie zaszczyt, że zechciał podzielić się ze mną tak intymną częścią swego życia, więc w milczeniu mijam wraz z nim kolejne rzędy pomników. Na poświęconej ziemi panują cisza i spokój. Przypominają mi się czasy, kiedy wraz z matką odwiedzałam groby jej rodziców.

Zatrzymujemy się przed grubo ciosanym kamieniem, przed którym stoi wazon wpuszczony w trawę. Rozpoznaję w rozkładających się w nim łodygach resztki bukietu piwonii, który matka Chase'a trzymała w rękach, gdy wpadłyśmy na siebie w jego mieszkaniu. Wspomniała wtedy, że były to jej ślubne kwiaty. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki ból musiała czuć, chowając tu człowieka, któremu przyrzekła wspólną przyszłość, i przeżywając tę przyszłość dalej bez niego. Intensywność tego uczucia na chwilę przytłacza mnie tak, że uginają się pode mną kolana.

Chase schyla się, wyciąga z wazonu przegniłe kwiaty i ściera z nagrobka ścinki trawy, które pozostały po koszeniu. Przez napływające mi do oczu łzy z trudem odczytuję nazwisko na pomniku: Hollis Taylor. Moją uwagę przyciąga jednak przede wszystkim epitafium znajdujące się poniżej.

– „Żyj najlepiej, jak potrafisz, dopóki możesz” – czytam na głos.

Podnoszę wzrok na Chase'a, a on uśmiecha się do mnie szeroko, szczerząc białe zęby, które mocno kontrastują z jego opaloną skórą. Przypomina mi się, jak pierwszy raz usłyszałam te słowa, wypowiedziane jego niskim głosem, gdy leżeliśmy wyciągnięci na nagranych słońcem skałach.

– To było jego życiowe motto. Teraz je przejąłem – wyjaśnia. Wtulam się w niego i opieram głowę na jego piersi. Czuję

na skroni bicie jego serca: równe i tak mocne, że trudno mi uwierzyć, że kiedyś było złamane. – Możesz mi wierzyć, ucieszyłby się z tego plagiatu.

– Opowiedz mi o nim – proszę.

Chase opiera brodę na moich włosach. Jego oddech mierzwi kosmyki i wywołuje u mnie ciarki wzdłuż kręgosłupa.

– Przypominał tę pękatą maskotkę z reklamy oranżady w proszku, ale był bardziej wysportowany – mówi, chichocząc. – Miał donośny głos, który wypełniał całą przestrzeń. Opowiadał głupie dowcipy, ale w tak nieoczekiwanych momentach, że zawsze udawało mu się rozśmieszyć słuchaczy. W każdej chwili był gotów na przygodę. Uważał, że cały świat kręci się wokół mnie i mojej mamy. Wymagał ode mnie więcej, niż ja sam od siebie wymagałem. Dzięki temu jestem lepszym człowiekiem.

Gdy go słucham, ze wstydem uświadamiam sobie, że ze wszystkich przytłaczających mnie w tej chwili emocji najsilniejsza jest zazdrość. Chase może opłakiwać ojca, wiedząc, że był on wspaniałym człowiekiem, i mając piękne wspomnienia, na których może się oprzeć, gdy bardzo za nim tęskni. Dla mnie żałoba po Marku byłaby znacznie łatwiejsza do zniesienia niż wiedza, którą muszę nosić w sobie, oraz myśl o jego grzechach, która zatruwa wszystkie dobre wspomnienia.

Wiem, jakie to okropne z mojej strony, że wolałabym, żeby umarł. Ale to pragnienie jest we mnie, niezależnie od tego, jak źle się z nim czuję.

– Nie uważasz, że starczy już smutku na dziś? – pyta Chase, ratując mnie od dalszego użalania się nad sobą. Mocno całuje mnie w czubek głowy, bierze głęboki wdech, odsuwa się i patrząc na mnie, pyta: – Gotowa na kolejne pierwsze spotkanie z moją mamą?

* * *

Po raptem dziesięciu minutach jazdy zatrzymujemy się przed kawiarnią na obrzeżach osiedla. Ten lokal również mieści się w domu – choć nie wiem, czy ktoś tu obecnie mieszka. Budynek jest pomalowany na jasny odcień turkus, ma jaskrawożółte drzwi i szyld nad werandą z napisem: „Yellow Submarine”. Na skraju werandy znajduje się zawieszona na czterech łańcuchach huśtawka, a siedząca na niej kobieta ma na sobie letnią sukienkę w kolorach równie żywych, co restauracja. Wygląda prawie tak, jakby stanowiła część wystroju. Ciemne, poprzetykane siwizną włosy ma upięte w kok. Dopiero kiedy zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, odsłaniając oczy koloru bursztynów ze znajomo wyglądającymi zmarszczkami w kącikach, uświadamiam sobie, że to mama Chase’a.

Kobieta zrywa się z huśtawki i powiewając sukienką, podbiega do nas, by z piskiem wziąć w objęcia stojącego obok mnie syna. Gdyby nie jej oczy, chyba nie rozpoznałabym w niej żałobnicę, która stała w jego salonie, spowita w czerni i smutek.

Kiedy wypuszcza Chase’a z uścisku, z przykrością dostrzegam na jej twarzy wahanie. Wiem, że to ja jestem temu winna. Wcześniej pokazałam jej się tylko jako wystraszona panienka w piżamie, która w popłochu uciekła. Biorę głęboki wdech, aby uspokoić nerwy, od których aż ściska mnie w piersi, a potem pierwsza wyciągam do niej rękę, by dowieść, że potrafię zachowywać się przyjaźnie. Oddycha z ulgą, kiedy ściska mnie mocno, tak samo jak wcześniej Chase’a.

– Bardzo się cieszę, że znów cię widzę, Eden – mówi głosem tak ciepłym i przyjemnym jak świeżo wyjęte z pieca brownie.

– Ciebie też miło widzieć, Lauro... – odpowiadam, ale Chase natychmiast wtrąca się do rozmowy.

– Nie, mam, pamiętaj, spotykacie się teraz po raz pierwszy – poprawia ją teatralnym głosem i puszcza do niej oko, a mnie figlarnie trąca.

Laura, fukając, poklepuje go po klatce piersiowej, a na mnie zerka, jakbyśmy obie były wtajemniczone w ten żart.

– Bzdura, zdążyliśmy już z Eden zostać najlepszymi przyjaciółkami. Wystarczy spojrzeć, jak uszczęśliwiła mojego syna – stwierdza, posyłając mi porozumiewawczy uśmiezek.

Rumienię się na tę pochwałę i błyskawicznie zaczynam rozumieć, co miał na myśli Chase, opowiadając mi o swojej mamie. Ta kobieta nie jest dla nikogo ciężarem i wstyd mi, że w ogóle tak o niej pomyślałam. Gdy stoi przy nas, w efektownej kwiecistej sukience i z idealnie ułożoną fryzurą, wygląda promiennie i jaskrawo jak w technicolorze.

Przez chwilę tak bardzo przypomina moją własną matkę, że czuję ukłucie rozpacz. Nim doszło do tragedii, mama była właśnie taka: świetlista, niedorzeczna i nieustająco radosna. Serce ściska mi się na myśl o tym, jak bardzo by się polubiły. Ta świadomość jest jak ciemna ramka wokół idealnego obrazu.

– Wybacz, jeśli zbyt się narzucam. Chase nigdy wcześniej nie przedstawiał mnie swoim dziewczynom. Musisz być naprawdę wyjątkowa – stwierdza Laura.

Unoszę brwi i samym ruchem warg pytam Chase'a: „Dziewczyna?”

Patrzy na nas i tylko przewraca oczami.

– Co mogę powiedzieć? Dorastałem w cieniu „Love Story Hollisa i Laury”. Nie chciałem przyprowadzać do domu nikogo, kto nie byłby w stanie jej dorównać.

Obejmuje matkę za szyję i całuje w czubek głowy. Ja nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

– No dobrze, starczy już tego. Ktoś jeszcze umiera z głodu? Bo ja tak! – rzuca Laura i rusza w stronę schodów prowadzących na werandę kawiarni.

Wiatr przynosi zapach świeżo pieczonego chleba i nagle zaczynam rozumieć grę słów zawartą w nazwie lokalu.

Spoglądam na szyld, a potem na Chase'a, który znów się do mnie szczyrzy. Ostatnio robi to bardzo często.

– Yellow Submarine. To od *sub*, tych długich kanapek. Łapiesz? – rzucam, dając mu kuksańca w żebra.

Przez chwilę zastanawia się nad moimi słowami, a potem znów przewraca oczami tak mocno, że pokazują się białka.

– Rany, jaki okropny suchar! Tata byłby zachwycony. Myślałem, że wszystko przez to, że rodzice uwielbiali Beatlesów.

– Nigdy wcześniej tu nie jadłeś? – pytam zaskoczona, gdy wchodzimy za jego mamą do środka.

Chase przytrzymuje mi drzwi i puszcza mnie przodem. Podchodzę do szklanej gablotki. Cieknie mi ślinka, kiedy przyglądam się różnym domowym kanapkom, roztaczającym smakowity aromat.

– Eden, daj spokój – odpowiada, stając za mną i masując moje ramiona, żeby złagodzić napięcie. Dotyka mnie tak swobodnie, jakbyśmy należeli do siebie nawzajem od zawsze. – Wiesz przecież, że jadam tylko w barze.

Kątem oka dostrzegam, że jego matka uważnie się nam przygląda. W jej oczach widzę uznanie i nutkę nostalgii.

Rozdział 27

Głos Maddie staje się ścieżką dźwiękową dla konkursu gapienia się, który urządzamy sobie z Chase'em. Dziewczyna marszczy ciemne brwi – nie wiem, czy chce w ten sposób skarcić mnie za to, że nie zwracam na nią uwagi, czy spytać, dlaczego nie mogę oderwać od niego oczu. Tak czy inaczej jej mina w ogóle mnie nie rusza. Jestem zbyt zajęta podziwianiem gęstego zarostu, który dodatkowo podkreśla i tak już mocno zarysowaną szczękę mojego faceta. Choć od kilku dni mogę swobodnie mu się przyglądać, kiedy tylko mam na to ochotę, najchętniej w ogóle nie robiłabym nic innego.

– Eden? Słuchasz mnie? – Jej zirytowany ton i jęk, z jakim wypowiada moje imię, w końcu skutecznie wyrwywają mnie z transu.

Odwracam się do niej, a ona przewraca oczami i puszcza ciemny kosmyk, który okręcała na palcu. To jej trzeci kolor włosów, odkąd się znamy – i pasuje jej zdecydowanie bardziej od fuksji, którą miała na głowie przez ostatni miesiąc. Współgra z wytatuowanym rękawem utrzymanym w komiksowym stylu oraz licznymi kolczykami i dopełnia je, tworząc drapieżny wizerunek.

– Przepraszam, możesz powtórzyć ostatnie zdanie? – pytam niewinnie, próbując udawać, że rozproszyłam się tylko na chwilę.

Wzdycha i zamyka drzwi zmywarki z nieco głośniejszym trzaśnięciem, niż było to konieczne.

Rozlega się szum wody napełniającej urządzenie. Maddie z zadowoleniem wyciera ręce w ręcznik.

– Po pierwsze, ciesz się, że się w końcu dogadaliście, bo przez to, jak między wami iskrzyło, usiłujące tu pracować osoby nie mogły się skupić.

Krztuszę się pociągniętym właśnie łykiem wody. Gdy próbuję dobrać się do siebie, czuję, jak czerwienieją mi policzki. Rozbawione oczy Chase'a przybierają kolor karmelków.

– Po drugie, to nie powód, by zachowywać się nieuprzejmie. Na zajęciach z wystąpień publicznych mówili, że aktywne słuchanie to ważna umiejętność.

– Maddie, z czego robisz magisterkę? – pyta Chase i w oczekiwaniu na odpowiedź wpycha do ust garść frytek.

– Z finansów. Myślałam, że wiesz? – odpowiada dziewczyna z niedowierzaniem.

Chase rzuca mi znaczące spojrzenie. Rumienię się po szyję – wiem, że to był przytyk do mojej skłonności do traktowania Maddie jako niezbyt rozgarniętej. Mój chłopak odwraca się do niej i z zadowolonym uśmiechem wyjaśnia:

– Owszem, ja wiedziałem.

– No, w każdym razie, mówiłam, że w następny weekend jedziemy z Camille na festiwal, więc ktoś musi mnie zastąpić.

Chase'owi rzadnie mina. Oboje przypominamy sobie, że moje przekonania na jej temat jednak nie są bezpodstawne.

– To trochę na ostatnią chwilę – mówię znacząco w nadziei, że Maddie zrozumie podtekst.

– No tak, parę tygodni temu dostałam od niej bilety na urodziny i ciągle zapominałam o tym wspomnieć. Sorki! – rzuca nonszalancko, dowodząc w ten sposób, że moje słowa w ogóle do niej nie dotarły. Mam nadzieję, że nie zamierza się

specjalizować w planowaniu finansowym. – Ojej, Eden, ty też masz niedługo urodziny. Za tydzień? Za dwa?

Chase unosi brwi tak wysoko, że niemal sięgają daszka jego czarnej bejsbolówki. Patrząc na niego, kręcąc głową, żeby uprzedzić, że nie chcę z tego robić wielkiego halo, i odpowiadam:

– Czwartego.

– Lipca? – pyta mój chłopak z rozradowanym uśmiechem.

– To w następny weekend! – woła odkrywczco Maddie.

– Lipca – odpowiadam beznamiętnie, ignorując jej zaskoczenie. – Tylko nic nie kombinujcie.

– Tak jest. Wszystko już wykombinowała Zoey, ale nie puszcza pary z ust – dodaje Santi, który zjawił się niespodziewanie za mną i Maddie. – Shawn przyjechał z dostawą.

Podaje mi fakturę, wiesza fartuch na barze i rozpoczyna swoją półgodzinną przerwę na skorzystanie z toalety, która przypada codziennie między lunchem a popołudniowymi godzinami szczytu. Maddie zatyka nos palcami.

– Tylko nie to!

Chase prostuje się sztywno na siedzeniu.

– Spokojnie, panie macho, dam sobie radę – oświadczam. – Zaraz wracam.

Wciąż wydaje się zdenerwowany, kiedy mijam Maddie i wracam do kuchni. Shawn, zalany potem, chwiejnym krokiem wychodzi z chłodni, pchając na wózku pustą beczkę w kierunku drzwi dla dostawców. Podpieram ciężkie izolowane drzwi skrzynką bananów, żeby swobodnie wejść do środka. Właśnie kończę sprawdzać, czy numery na wymienianych beczkach są zgodne z fakturą, gdy Shawn wjeżdża wózkiem na zimną stalową podłogę.

Cofam się w głąb chłodni, robiąc mu miejsce, by mógł zabrać ostatnią pustą beczkę. Choć dzieli nas trzydzieści centymetrów,

wyraźnie czuję bijący od niego odór skwaśniałego piwa. Mimowolnie się krzywię, a on dostrzega to swoimi wodnistymi oczami. Zamiast załadować beczkę, opiera się o nią. Jego potężna sylwetka zagradza mi wyjście i więzi w niezręcznej pozycji. Na moich przedramionach pojawia się gęsia skórka, jakbym była zwierzęciem w potrzasku, jeżącym sierść.

– Co to za mina? – bełkocze Shawn, zlewając ze sobą słowa.

Nagle dociera do mnie, że jego przykry zapach nie wynika z podejmowanego ryzyka zawodowego, a z konsumpcji napojów wyskokowych. Nie przepadam za Shawnem, ale do tej pory budził we mnie najwyżej lekką nieufność. Teraz moje zmysły są w stanie najwyższej gotowości. Praca w barach nauczyła mnie, że ludzie pijani są nieprzewidywalni, a ludzie nieprzewidywalni – niebezpieczni.

Zbyt długo nie odpowiadam, więc potykając się, rusza w moją stronę, przez co jestem zmuszona cofnąć się jeszcze bardziej w głąb pomieszczenia. Natrafiam plecami na ścianę i uchylam się, by utrzymać jak największą odległość od intruza. Lęk ścina mi krew w żyłach. Zastygam. Shawn chwytą kosmyk włosów, który wysunął mi się z luźnego kucyka. Napięcie zamyka moje płuca w żelaznym uścisku, nie pozwalając mi zaczerpnąć tchu. Napieram drżącymi dłońmi na metalową ścianę, by utrzymać równowagę.

– Zawsze byłem ciekaw – mamrocze Shawn przez wystającą mu z ust prymkę tytoniu do żucia – czy na dole masz takie same jak na górze.

Panika tworzy w moim gardle betonową zaporę, za którą więźnie krzyk, a wstręt wywraca mi żołądek na nice. Próbuję dyskretnie wyrzeć do kuchni, w rozpaczliwej nadziei, że Santi wróci z przerwy wcześniej. Shawn podąża za moim spojrzeniem i wypręża ramiona, by zasłonić mi widok.

– Czego tak się spinasz? – szepce nienawistnie. Jego kwaśny oddech osadza się parą na mojej twarzy. Jest już tak blisko, że mogę policzyć blizny, które dawno temu pozostawił mu na policzkach trądzik. Tłusta łapa zaciska się na moim ramieniu tak mocno, że z moich ust wyrywa się skowyt. – Mogę cię rozluźnić.

– Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy?

Rozbiegane oczy napastnika zaczynają patrzeć przytomniej. Shawn szybko puszcza moją rękę i obraca się, stając twarzą w twarz z rozwścieczonym Chase'em, któremu pulsują wszystkie żyły. Mój chłopak zerka na mnie, by sprawdzić, czy nic mi nie jest, a później znów miażdży Shawna wzrokiem. Grubas zaczyna trząść się tak, że za chwilę będzie chyba cuchnął nie tylko starym piwem, ale też moczem.

– Ej, chłopie, to tylko takie wygłupy. Po co od razu te nerwy? – Próbuje brzmieć swobodnie, ale w jego głosie słychać napięcie.

– Ej, chłopie – przedrzeźnia go Chase i podchodzi o krok bliżej. Wyraźnie góruje nad Shawnem. – Proponuję, żebyś czym prędzej się stąd wyniósł. Inaczej wywiozą cię karetką.

Odsuwa się i wypuszcza Shawna, który zwiewa z podkulonym ogonem. Po drodze mijają się z Santim, który właśnie powolnym krokiem wraca do kuchni, nucąc pod nosem jakąś melodyjkę. Milknie, kiedy zaczyna domyślać się, co zaszło pod jego nieobecność. Patrzy na Chase'a i dostrzega w jego oczach coś, co każe mu natychmiast zamknąć drzwi dla dostawców i włączyć alarm.

Biorę pierwszy głęboki wdech od niepamiętnych czasów, gdy Chase przyciąga mnie do siebie i wyprowadza z chłodni. Drzę – nie wiem, czy z lęku, czy z zimna – więc rozciera mi plecy, żeby mnie rozgrzać, jednocześnie z troską wodząc oczami po moim ciele.

– Skrzywdził cię? – pyta, a w jego głosie, poza niepokojem, słychać gniew.

Zatrzymuje wzrok na sińcu, który już zaczyna wykwitać na moim ramieniu.

Kręcę głową i próbuję zrobić dobrą minę do złej gry. Nie udaje mi się. Nie wiem, jak to możliwe, ale doświadczam jednocześnie pustki w głowie i gonitwy myśli, w której: „Dlaczego takie rzeczy zawsze spotykają właśnie mnie?” przeplatają się z: „Eden, w sumie to nie stało się nic strasznego”.

– Chcesz stąd wyjść? – pyta Chase.

Przełykam gęstą ślinę, która stanęła mi w gardle. Jestem o włos od załamania i stać mnie tylko na ciche „tak”, które rzucam, wbijając wzrok w ścianę za jego plecami, by się uspokoić. Chase zerka na Santiago, a ten potakująco kiwa głową, zaciskając usta w wąską kreskę. Potem delikatnie kładzie dłoń na moich plecach i prowadzi naprzód. Stara się, jak może, osłaniać mnie przed ciekawskimi spojrzeniami nielicznych klientów i wypuszcza z rąk dopiero, kiedy docieramy na miejsce.

Jego mieszkanie wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam, tyle że w tych samych miejscach na podłodze leżą teraz inne koszulki. Wyjaśniam, że potrzebuję przez chwilę побыć sama. Wchodzę do sypialni, a on siada na skórzanej kanapie w salonie – wystarczająco daleko, by dać mi przestrzeń, i wystarczająco blisko, bym czuła się bezpiecznie.

Idę do łazienki, z premedytacją unikając patrzenia na siebie w lustrze do chwili, kiedy jestem do tego zmuszona podczas mycia rąk. Dziewczyna, którą widzę przed sobą, jest blada i roztrzęsiona, w kucyku pozostało jej zaledwie kilka kosmyków, a tuż nad łokciem ma ciemnofioletowy siniec w kształcie zaciśniętych palców.

Powoli zaczyna mnie przytłaczać obrzydliwe uczucie, które bierze swój początek w dłoniach i stopach i rozlewa mi się do wewnątrz. Pojawia się znajoma panika, która stopniowo pełźnie w górę wzdłuż kręgosłupa. Odwracam wzrok od lustra i próbuję stłumić to uczucie. Koncentruję się na chłodnym granitowym blacie, który czuję pod lepkimi od potu dłońmi. Słucham miarowego kapania kropli z kranu. Czuję w ustach metaliczny smak krwi z przygryzionej zbyt mocno dolnej wargi.

Zauważam butelkę mydła w płynie o zapachu sosny, stojącą na półce za porcelanową wanną na lwich łapach. Robię trzy niepewne kroki i biorę ją, licząc na to, że ten zapach pomoże mi wrócić od równowagi. Nalewam sobie nieco na dłoń, upuszczam butelkę do wanny i zaczynam desperacko szorować posiniaczone ramię, żeby zmyć z siebie ohydny dotyk Shawna.

Słyszę dwa delikatne stuknięcia w drzwi, a później głos Chase'a.

– Eden? Wszystko gra?

Z gardła wyrywa mi się łkanie. Czuję, jak zalewa mnie fala lęku. Dopiero teraz dostrzegam szparę pod drzwiami, nieosłoniętą ręcznikiem.

Jak mogłam być tak beztrocka? On mnie widzi.

Chwytam przerzucony przez suszarkę do ubrań pasiasty ręcznik i przyklękam na podłodze, żeby zablokować do siebie dostęp. Strużki mydła ciekną mi po ramieniu. Zaczynam zanosić się płaczem, moja klatka piersiowa trzęsie się od szlochu.

– Eden, jesteś tu bezpieczna. Proszę, wpuść mnie. Pozwól mi się tobą zaopiekować – mówi Chase, a jego głos tłumią wszystkie moje bariery.

Przyciskam śliską od mydła rękę do drewnianych drzwi, próbując wykrzesać z siebie odwagę. Pragnę mu powiedzieć: „Chciałabym cię wpuścić, ale nie umiem”

– Eden – powtarza. Jego spokojny głos kontrastuje z moim chaotycznym skomleniem. – Ufasz mi?

Jego słowa są jak koło ratunkowe rzucone na fale oceanu, w którym tonę. Nie potrafię pływać, ale chwytam się go. Otwieram drzwi.

Chase przechodzi nad ręcznikiem, siada obok mnie na podłodze i przytula do siebie. Buja mnie jednostajnie, jak matka kołysze kwilące dziecko. Kiedy dotyka śliskiej warstwy mydła na moich ramionach, odsuwa się, by na mnie spojrzeć. Udaje mi się tylko wykrztusić:

– Chcę go z siebie zmyć.

Jego oczy, pociemniałe jak noc, szukają mojego wzroku, a gdy go znajdują, Chase ujmuje moją mokrą od łez brodę w silną dłoń.

– Ufasz mi? – pyta ponownie.

Kiwam głową, bo dociera do mnie, że tak jest. We wnętrzu, po drugiej stronie murów, którymi się otoczyłam, czuję do niego zaufanie. Moje serce chyba zawsze o tym wiedziało, a mój mózg wreszcie zaczyna zdawać sobie z tego sprawę.

Chase nachyla się i puszcza wodę, a wanna zaczyna napełniać się ciepłem, znad którego unoszą się smużki pary. Potem odwraca się do mnie, zdejmuje ze mnie koszulkę i rozpina spodnie. Po każdym ruchu przerywa, bym w razie czego mogła zaprotestować. Kiedy tego nie robię, rozbiera się do bielizny, a potem gasi światło.

Spodziewam się, że pochłoną nas ciemności, ale przez umieszczone wysoko nad wanną witrażowe okienko, którego wcześniej nie zauważyłam, do pomieszczenia wpada strumień niebieskiej poświaty. Kontury się zamazują, ale wciąż widzę przed sobą sylwetkę Chase'a. Wyciąga rękę i pomaga mi się podnieść, a kiedy stoję przed nim, delikatnie wodzi palcami pod skrajem

mojej bluzki. W jego błyszczących oczach pojawia się subtelnie wyrażone pytanie.

Chwytam jego dłonie i przesuвам je ku górze. Łazienka wypełnia się parą, po moim ciele rozlewa się ciepło i wreszcie przestaję drżeć. Chase rozpina mi szorty i zsuwa je z bioder. Łądują u moich stóp, a on nachyla się i całuje mnie w czoło.

Sięgam między łopatki, rozpinam stanik i rzucam go na podłogę obok szortów. Nigdy nie czułam się bardziej uważna i zakorzeniona w rzeczywistości niż w chwili, kiedy szorstkie dłonie Chase'a wślizgują się pod gumkę moich majtek i powoli zsuwają je po moich nogach. Po chwili rozlega się szelest materiału i na podłodze błyskawicznie lądują też jego bokserki.

Kiedy oboje stoimy już przed sobą nadzy w półmroku, Chase chwyta mnie za rękę i razem ze mną wchodzi do wanny. Opiera się plecami i sadza mnie przed sobą. Nasze ciała wtulają się w siebie, nierozdzielone już żadnym wstydem. Czekam, aż nadejdzie lęk, ale on się nie pojawia. Chase nalewa mydło na wilgotną gąbkę i nabożnie wodzi nią po moim ciele, poznając jego zakamarki.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta. Jego słowom towarzyszy powolne kapanie wody z gąbki, którą delikatnie przesuwa po wrażliwej, posiniaczonej skórze na moim ramieniu. Przeszywa mnie dreszcz, a Chase mocniej obejmuje mnie wolną ręką w talii. – Wiem, że to trudne, ale nosisz w sobie bardzo wiele. Może poczujesz się lepiej, jeśli wyrzucisz z siebie choć część.

Opieram głowę o jego klatkę piersiową i wpatruję się w drobinki kurzu, wirujące w snopie światła wpadającym przez okno. Nagle czuję się bardzo zmęczona, jak gdyby wyczerpało mnie duszenie wszystkiego w sobie. Zaciskam drżącą dłoń na jego

udzie, jakby moje sekrety były jedyną trzymającą mnie na miejscu kotwicą, bez której mogę odpłynąć w dal.

– Shawn się nie liczy – rzucam. Naprawdę tak myślę. W porównaniu ze wszystkim, co mnie spotkało, to drobiazg. Wycięta scena. Wątek poboczny w całej mojej tragedii. – Zastanawiam się tylko, kiedy wszechświat znudzi się zadawaniem mi kolejnych ciosów.

Chase przesuwając gąbką po moich obojczykach, mrużąc gardłowo.

– Tak wiele mi odebrał – odzywam się.

Czuję dławiący ucisk. Shawn znika z moich myśli. Prawdziwy potwór podnosi swój paskudny łeb.

– Rodzinę, dom, moje ciało. Nie mam nic, co mogłabym z siebie dać.

– Masz wszystko, Eden – szepce mi do ucha stanowczym głosem Chase. – Odbudowałaś swoje życie od zera. Należy tylko do ciebie. Nie może ci tego odebrać. Więcej go nie zobaczysz. Nie może cię już skrzywdzić. Nie pozwolę mu na to. Ani nikomu innemu.

Ostatnie słowa wypowiada, warcząc – i wiem, że mówi serio. Wciąż mam przed oczami gniew pulsujący w nim, gdy mierzył Shawna wzrokiem. Powstrzymał się tylko przed jednym – nie zabił go, chociaż widziałam, że bardzo chciał to zrobić. Ale po drugiej stronie medalu jest łagodny mężczyzna, który właśnie tuli mnie do siebie. Nigdy nie bierze więcej, niż jestem gotowa dać. Nawet w tej chwili, gdy leżę nago w jego ramionach, przed każdym dotknięciem czeka na moje pozwolenie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy znów czuję, że moje ciało należy do mnie.

– Dlaczego akurat kąpiel? – pytam, przyglądając się, jak wyjątkowo duża drobina kurzu tańczy w świetle.

Czuję, jak jego policzek unosi się w uśmiechu.

– Kiedy jeszcze mieszkałem z mamą, często opiekowała się dziećmi sąsiadów. Powtarzała, że jeśli maluch się zdenerwuje, trzeba wyjść z nim na dwór albo włożyć go do wody. To zawsze działa.

– Potraktowałeś mnie jak dziecko? – pytam z niedowierzaniem, odwracając się do niego.

Widzę jego długie, ciemne rzęsy wystające nad kości policzkowe.

– Nie – stwierdza i unosi gąbkę nad moją głowę. Woda spływa mi po twarzy. Prycham, gdy wlatuje mi do ust. – Ale zawsze, gdy mam zły dzień, idę się przejść albo biorę prysznic. I to nadal skutkuje. Uznałem, że tobie też pomoże.

Wraca do miarowego mycia i oblewa moje kolana mydlinami o sosnowym zapachu.

– Dziękuję, że mi zaufałaś, Eden.

Niebieskie światło staje się szare, gdy zapada wieczór, woda w wannie stygnie, a Chase wciąż trzyma mnie w objęciach. Odkłada gąbkę i zaczyna delikatnie całować mnie po ramionach, cicho mrużąc w moją wrażliwą skórę słowa pełne zachwyty.

– Jesteś najbardziej niesamowitą kobietą, jaką znam – szepce. Cmok. – Jesteś niewiarygodnie dzielna. – Cmok. – Zakochałem się w tobie, Eden.

Odchylam głowę i zagarniam dla siebie kolejny pocałunek, przyciskając usta do idealnych łuków jego warg. Wtulam głowę w jego szyję, czując, jak szorstki zarost drapie mnie po skórze. Dwa słowa, powtarzam sobie. To tylko dwa słowa. Dam radę. W jego objęciach mogę wszystko.

– Kocham cię – mówię, muskając ustami miejsce, w którym czuję jego puls.

Jego serce zaczyna bić szybciej, a z gardła wyrywa się westchnienie ulgi.

– Nie masz pojęcia, jak wspaniale usłyszeć to z twoich ust.

Owszem, mam.

– Dziękuję za to, co dziś zrobiłeś.

Moje słowa mają chyba głębsze znaczenie, niż którekolwiek z nas może pojąć, ale modlę się w duchu, żeby mnie zrozumiał. Nie chodziło mi tylko o to, że obronił mnie przed Shawnem, gdy groziło mi coś strasznego – ani o to, że wyznał mi miłość. Najważniejsze było to, w jaki sposób ją okazał: stanął przy moim boku, gdy pogrążyłam się w bagnie paniki, i nie opuścił go, póki nie zmył jej z nas do czysta.

Rozdział 28

Następnego dnia tak długo opowiadam Stephenowi o wydarzeniach ostatnich dwóch tygodni, że nie mam nawet czasu pomyśleć o dokończeniu opowieści. Jestem już zachrypnięta od własnego słowotoku, kiedy terapeuta zadaje mi pierwsze pytanie od: „Jak się dzisiaj miewasz?”

– Czy ten człowiek poniósł jakiegokolwiek konsekwencje?

Nigdy wcześniej nie widziałam go tak sfrustrowanego. Zwykle cenię jego zrównoważone podejście do różnych kwestii, ale muszę przyznać, że jakaś mała część mnie rozkoszuje się faktem, że moje przeżycia choć trochę wyprowadziły go z równowagi.

– Zoey zadzwoniła do jego firmy. Zapowiedzieli, że go zwolnią i przyślą nowego dostawcę – wyjaśniam.

Stephen kręci głową z łagodnym niedowierzaniem, a później znów wchodzi w rolę terapeuty.

– Eden, czy w ogóle przyszło ci do głowy, żeby wezwać policję?

– W jego głosie nie słychać osądu, a kliniczną ciekawość, która zwykle oznacza, że z danej sytuacji da się wyciągnąć jakieś wnioski.

Przez chwilę wysilam szare komórki, odtwarzając niedawne zajście i próbując zrozumieć swój proces myślowy po tym, jak zawładnęła mną panika. Na obrzeżach mojej świadomości pojawia się myśl, która zaczyna dręczyć mnie jak dziecko ciągnące nauczycielkę za rękaw, żeby zgłosić, że zna prawidłową odpowiedź. Przepędzam ją.

– Chyba w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że jest taka opcja – stwierdzam w końcu. – Uznałam, że przestępstwo nie jest wystarczająco poważne. Nie byłam nawet pewna, czy to w ogóle jest przestępstwo.

Przygląda mi się, zastanawiając nad odpowiedzią. Na tym etapie sesji zwykle próbuje skłonić mnie do współpracy.

– Czy możemy na chwilę wrócić do twojej matki?

Kręcę się niespokojnie na krześle, rozważając, do czego zmierza. Udało mi się krótko streścić jej wizytę, nie roniąc przy tym ani jednej łzy, i miałam nadzieję, że zaliczę dwie sesje z rzędu bez płaczu.

– Rozmawialiście od jej wyjazdu? – pyta, trzymając długopis nad notatnikiem.

Wbijam wzrok w skórki przy paznokciach i odpowiadam:

– Nie, nie odzywała się.

Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy powinnam czuć się urażona tą ciszą w eterze, czy raczej być za nią wdzięczna. Z jednej strony potajemnie żywię nadzieję, że matka przyśle mi wiadomość z wyjaśnieniem, że to wszystko był jakiś okrutny żart i oczywiście odeszła od Marka. Z drugiej strony świadomość, że po tym zajściu nie ma odwrotu, że już nigdy nie będzie między nami tak jak dawniej, ciąży mi, jakbym nosiła w brzuchu kamień. Póki o tym nie rozmawiamy, nie muszę podejmować żadnych dalszych decyzji.

Pierwsze dni po Bożym Narodzeniu pamiętam jak przez mgłę, ale czułam wtedy, że moje życie podzieliło się na dwie części: przed i po. Chwila, w której zakończyło się życie, jakie znałam, była jak linia narysowana w piasku – wszystko to, co dobre, zostało przed nią, za nią wszystko było ponurą niewiadomą. Nie miałam pojęcia, jak zorientować się w tej nowej rzeczywistości,

więc przez kilka miesięcy nawet nie próbowałam tego robić. Przeprowadzka do Kolorado stanowiła mój pierwszy poważny krok do odzyskania kontroli nad własną przyszłością.

Decyzja matki o pozostaniu żoną Marka jest jak kolejna nieprzekraczalna linia. Nie potrafię wyobrazić sobie choćby jednego dnia na świecie bez kobiety, która mnie na niego wydała. Ale nie mieści mi się też w głowie, że mogłabym spędzić choćby chwilę w jej obecności, wiedząc, kto będzie czekał na nią w domu, i mając świadomość, że co wieczór przy kolacji będzie patrzeć w te same oczy, które zawiodły święte zaufanie dziecka do rodzica, a potem na kanapie wtulać się w te same ręce, które odchyłały koszulę nocną z mojego śpiącego ciała, by zrobić zdjęcie.

Przypominam sobie, jak Chase bez chwili wahania skonfrontował się z Shawnem, ledwie opanowując kipiącą w nim złość – a później widzę oczy matki wpatrzone w lusterko wsteczne, gdy wiozła nas, jak sądziłam, w bezpieczne miejsce. Nie rozumiałam wtedy żalu malującego się na jej twarzy. Założyłam, że ubolewa nad faktem, że w ogóle zaufała człowiekowi, którego zostawiłyśmy za sobą – a nie nad tym, że się od niego oddała.

Myślę o tym, jak Chase wyprowadził mnie z baru i przez całą resztę tamtej nocy nie spuszczał mnie z oka.

Pytanie, które tak długo starałam się pominąć, w końcu ciśnie mi się na usta.

– Nie rozumiem – udaje mi się wykrztusić przez gardło ściśnięte żalostną próbą gniewu. – Nie mieści mi się to w głowie. Ona mnie wychowała. Powinna kochać mnie bardziej niż wszystko i wszystkich na świecie. Dlaczego wybrała jego? Dlaczego nie stanęła po mojej stronie? Naprawdę chcę to zrozumieć.

Stephen przygryza policzek od wewnątrz, jego świeży zarost lśni w oświetleniu gabinetu. Widzę, jak zerka na zdjęcie, na którym

z dumą stoi przy swoim dziecku podczas rozdania dyplomów. Zdradliwa łza spływa mi po policzku, nim udaje mi się ją zatrzymać.

– Eden, krótko mówiąc: naprawdę nie wiem, co skłoniło ją do podjęcia tej decyzji. – W jego zwykle neutralnym tonie pobrzmiwa smutek. – Wiem natomiast, że osoby, które nie potrafią stanąć po stronie innych, często nie chcą albo nie są w stanie obronić nawet same siebie.

Uderza mnie prosta prawda zawarta w tym stwierdzeniu. Przypominam sobie, że milion razy byłam świadkiem, jak moja matka brała na siebie cudzą winę, milczała w obliczu niesprawiedliwych oskarżeń, bez szemrania przyjmowała narzuconą jej opinię, że musiała trafić na tak fatalnego pierwszego męża, żeby Bóg mógł dać jej drugiego – mężczyznę, na którego zasługiwała. Każde z takich wspomnień prowadzi do jednego wniosku: moja matka nie jest w stanie dostrzec, że lekceważy moją wartość, ponieważ co dzień godzi się na to, by jej własna wartość nie była dostrzegana.

– I co mam teraz zrobić? – pytam, w rozpaczliwej nadziei, że chociaż raz jasno wskaże mi drogę, zamiast dawać mapę i kompas, bym wytyczyła ją sama. – Jak mam żyć dalej po czymś takim?

– Tylko ty możesz podjąć taką decyzję – stwierdza. Wzdycham na myśl o kolejnym atlasie, który dołączył do mojej kolekcji. – To ty musisz zdecydować, co jest dla ciebie do przyjęcia, i twardo postawić granice, by tę decyzję chronić. Jeśli nie nauczysz się stawiać we własnej obronie, cykl będzie trwał.

Kiwam głową, jakby to była boja na oceanie moich myśli. Dorastając, zawsze sądziłam, że pewnego dnia zostanę matką. Kocham moich bratanków i po latach pomagania w żłobku przy

parafii mamy nieźle radzę sobie z maluchami. Myślałam, że kiedy wreszcie znajdę właściwą osobę, wszystko dokona się w naturalny sposób, o ile jest mi to przeznaczone. Jednak po tym, co zaszło, pojawił się lęk, że mogłabym wybrać na ojca swoich dzieci człowieka, który początkowo wyda mi się wspaniały, a potem, jak moja matka, odkryć okropną prawdę – i straciłam pewność w tej kwestii.

Nigdy wcześniej nie pomyślałam jednak, że sama mogłabym skrzywdzić swoje dzieci, nie doceniając własnej wartości.

– Nie musisz rozstrzygać wszystkiego dzisiaj ani w żadnym konkretnym terminie. Nie spiesz się i wybierz to, co ci odpowiada. Kiedy będziesz gotowa, służę pomocą w określaniu, jak powinny wyglądać zdrowe granice, niezależnie od tego, jaką drogę wybierzesz.

W każdym jego słowie słyszę życzliwość wykraczającą poza zawodową uprzejmość. Przez chwilę zastanawiam się, jak to jest, że tylu ludziom – Stephenowi, Zoey, Chase’owi, nawet Gary’emu – tak na mnie zależy, choć nie łączą nas więzi rodzinne, a moi rodzice nie byli w stanie otoczyć mnie troską. Zoey powtarza, że wybór ma większą moc niż pokrewieństwo. Dziękuję łaskawemu losowi, że ci ludzie wybrali właśnie mnie.

– Na pewno dam ci znać – mówię z bladym uśmiechem. Stephen bazgrze coś w trzymanym na kolanach notatniku i wyjątkowo pozwalam sobie na to, by moja ciekawość doszła do głosu. – Czy mogę spytać, co tam zapisujesz?

Zerka na mnie sponad drucianych oprawek okularów, a potem poprawia je na nosie. Gdy odkłada długopis, kąciki jego ust lekko się unoszą.

– To lista wszystkich twoich postępów i przełomów. Prowadzę takie dla każdego klienta. Zapisuję wszystko, od pierwszego razu,

kiedy wspomniałaś o tym, co cię spotkało i co wyczytałem wcześniej w twojej dokumentacji, do prośby o pomoc w otworzeniu się przed Chase'em. Każda z tych rzeczy to krok naprzód. – Jego głos cichnie, a do mnie zaczyna docierać, co powiedział.

– Małe kroczki.

Jestem tak oszołomiona, że to jedyna myśl, jaką mogę ubrać w słowa. Wszystkie subtelne obelgi, którymi obrzucałam się przez wiele miesięcy grania w grę z własnym umysłem, odchodzą w niepamięć.

– Małe kroczki – potakuje Stephen i zamyka notatnik, sygnalizując koniec mojej pracy na dziś.

Rozdział 29

Zesztywniałe powieki stawiają opór, błagając, bym pozwoliła im znów opaść. Co prawda ostatnio sypiam znacznie lepiej, ale nigdy nie będę rannym ptaszkiem. Przez tyle lat pracowałam przy wieczornych imprezach i upychałam pijanych gości w taksówkach po zamknięciu lokalu, że wstawanie razem ze słońcem zawsze będzie dla mnie uciążliwe.

Wiążę dawno nieużywane buty do biegania i wyobrażam sobie, co Stephen napisze o tym przełomie w swoim notatniku. *Wróciła do biegania, które od zawsze uwielbia.* Ta myśl wywołuje na mojej twarzy szeroki, choć senny uśmiech. Mój wewnętrzny głos jest dziś dla mnie łaskawszy. Czuję się za to wdzięczna.

Zaczynam biec dokładnie w chwili, gdy pierwsze promienie słońca wydostają się znad łańcucha górskiego i padają na miasteczko. Poza cichym szumem silników w autach osób, które wcześniej dojeżdżają do pracy, i człapaniem moich butów, niemal nic nie zakłóca panującej wokół ciszy. Postanowiłam dziś zrezygnować ze słuchawek – nie chcę rozpraszać się podczas pierwszego od pół roku biegu.

Koncentruję się na miarowym oddechu i pracy odwykłych od wysiłku mięśni nóg. Przebiegam przez swoje osiedle i ruszam dalej, mijając spacerowiczów z psami i kilkoro innych biegaczy. Staram się nie zwracać uwagi na to, że z łatwością przychodzi im poruszanie się znacznie szybszym tempem niż ja. Jak powiedział mi trener biegów przełajowych, gdy w końcu wróciłam

do licealnej drużyny po miesiącu chorowania na mononukleozę: „Dziś nie ścigaj się z nikim poza samą sobą”

Pot gromadzi się we wszystkich zakamarkach mojego ciała, gdy w końcu daję odpocząć płucom i nogom. Zatrzymuję się tuż przy „8th & Main”, pochylam się, chwytam za palce stóp i odginam je w górę. Gdy kończę rozciąganie, wszystkie tylne mięśnie moich łydek niemalże oddychają z ulgą. Staję z dłońmi opartymi na biodrach, zarumieniona i dumna z siebie.

Dostrzegam duży plus tego, że udało mi się tak wcześnie zwlec z łóżka: nie ma kolejki po kawę u Rose. „Ani po ciastka”, dodaje mój burczący brzuch. Urodziny mam dopiero za dwa dni, ale uznaję, że drobna przyjemność jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Zresztą – zasłużyłam na nią.

Wchodzę do spokojnej kawiarni, rozgrzanej od pieców i wypełnionej kuszącym zapachem cynamonu i espresso. Przez okienko w kuchni dostrzegam czubek głowy Jessie, zastępczyni Rose, ale poza tym nie widać żywego ducha. Przez chwilę przyglądam się ścianom, podziwiając misterną mozaikę z płytek nad listwą pomalowaną na kolor, jaki przybiera moja kawa po dodaniu do niej trzech łyżeczek śmietanki. Podnoszę wzrok coraz wyżej, aż natrafiam na zwieszający się z sufitu olbrzymi biały żyrandol. Z każdej LED-owej żarówki spływa kwiatowa girlanda.

– Wcześniej wstałaś – odzywa się Rose, przerywając moje ciche zwiedzanie.

Zwykle wpadam do jej lokalu w takim pośpiechu, że nie starcza mi czasu, by go podziwiać. Opuszczam wzrok i napotykam jej spojrzenie, a później zauważam drugą wpatrującą się we mnie parę oczu.

– Tak, wyszłam pobiegać – rzucam swobodnie, chociaż czuję się tak, jakbym zdawała relację ze zdobycia Mount Everest.

Sam fakt, że odzyskałam coś tak dla mnie ważnego, sprawia, że buzuje we mnie energia – praca nad sobą wywołuje podobny efekt jak strzelające cukierki.

– Brawo ty – odpowiada Rose bez cienia sarkazmu.

Cleo za to krzywi się, a w jej dużych orzechowych oczach nie widać podziwu dla mojego osiągnięcia.

– Co ci podać? – Z roztargnieniem buja córeczkę na biodrze, czekając na moją odpowiedź, a gdy zauważa, że patrzę to na nią, to na dziecko, dopowiada: – Mała spędza czas ze mną, póki nie przyjedzie po nią Mitchell. Nie martw się, nie ułała na muffinki.

Z uśmiechem kręcę głową.

– Nie martwiłam się o... Przepraszam. – Wyciągam rękę nad kontuarem i skubię fałdkę na udzie Cleo. – Po prostu bardzo miło się na was patrzy.

Moje słowa sprawiają, że w policzku Rose pojawia się znajomy dołeczek. Odgarnia kędzierzawe włoski z buzi dziewczynki, której nigdy wcześniej nie widziałam w równie dobrym nastroju.

– Prosiłabym mokkę, jeśli to nie kłopot. – Nie chcę jej przeszkadzać, kiedy ma na głowie dziecko, ale od wszystkich otaczających mnie zapachów aż cieknie mi ślinka, a po biegu z pustym żołądkiem pępek jest bliski przyklejenia się do kręgosłupa. – A co mi tam, i jeszcze muffinkę czekoladową. Już prawie moje urodziny.

Ostatnim zdaniem chcę się usprawiedliwić sama przed sobą, ale Rose uśmiecha się, wyciągając z witryny muffinkę, by ją podgrzać.

– Wiem. Nie mogę się doczekać! Jessie zastępuje mnie jutro w kawiarni, żebyśmy mogła pomóc Zoey ze wszystkim.

Jedna z moich brwi unosi się prawie pod sufit, a Rose próbuje się wykręcić, by uratować sytuację.

– Udawaj, że tego nie powiedziałam.

– Będę całkowicie zaskoczona – przyrzekam, zastanawiając się, co też zaplanowała moja najbliższa przyjaciółka.

Wie, że nie lubię imprez urodzinowych.

Rose uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, a potem krzywi, gdy Cleo łapie w swoją drobną piąstkę pasmo jej włosów i szarpie. Przesuwa do mnie po ladzie kubek z kawą, znad wieczka z dzióbkiem unosi się para. Kiedy płacę, z zaplecza rozlega się głos Jessie wzywającej pomocy.

Rose zerka przez ramię na kuchenne okienko, a potem na córeczkę, wahając się, co zrobić dalej. Potem zatrzymuję wzrok na mnie, gdy wkładam do ust kawałek lepkiej muffinki.

– Mogłabyś? – pyta, wyciągając do mnie Cleo.

Nim udaje mi się zrozumieć, o co prosi, rozlega się kolejny okrzyk Jessie. W panice kiwam głową, strzepuję z legginsów okruszki muffinki i wyciągam ręce nad ladą. Dziewczynka spogląda na mnie nieufnie, gdy chwytam ją i sadzam sobie na biodrze, a potem odwraca głowę, by spojrzeć na swoją mamę, która właśnie znika w kuchni.

Jestem prawie pewna, że mała zaraz wybuchnie płaczem, bo mam wrażenie, że za mną nie przepada. Ku mojemu zdziwieniu, z powrotem odwraca główkę, odchyła się i przygląda mi się wzrokiem, w którym widać więcej ciekawości niż irytacji. Nagle ze wstydem uświadamiam sobie, że zapewne cuchnę, a potem dociera do mnie, że to niemowlę i nie muszę robić na nim dobrego wrażenia.

Cleo papla bezmyślnie, ale z ogromną determinacją. Jestem pewna, że w swoim odczuciu mówi mi coś ważnego – zapewne radzi, żebym na drugi raz hojniej użyła dezodorantu.

– Koniecznie mi o tym opowiedz – proszę żartobliwie.

Mama zawsze zagajała tak rozmowy z moimi siostrzeńcami, gdy byli mali. Przypominam sobie, że tak jak Cleo ma po Rose wielkie brązowe oczy, tak moja matka stanowi nieodłączną część mojej tożsamości.

Chwytam pulchną dłoń dziewczynki i udaję, że zjadam po kolei każdy palec. Zwykle rozśmiesza to maluchy, ale ona tylko wpatruje się we mnie, marszcząc brwi, jakby takie dziecięce zabawy były poniżej jej godności.

– Trudna z ciebie widownia – stwierdzam.

– Nie przejmuj się, po prostu jest wybredna – wyjaśnia Rose, która wróciła za ladę z policzkiem oprószonym mąką.

Gestem wskazuję miejsce, które powinna wytrzeć, a ona dziękuje mi skinieniem głowy i sięga po papierowy ręcznik.

Bujam Cleo i gładzę ją po policzku jeszcze słodszy niż moja muffinka, żeby zdobyć jej względy.

– Ile ma? – pytam, nie odrywając wzroku od zimnego jak kamień spojrzenia swojej podopiecznej.

– Niedługo skończy siedem miesięcy. Urodziła się w Boże Narodzenie.

Nieruchomieję i przyglądam się jej z namysłem. Przychodzi mi do głowy, że od chwili, gdy mój świat legł w gruzach, mogę mierzyć upływ czasu życiem tej dziewczynki.

– Ja urodziłam się w Dzień Niepodległości – mówię do Cleo. – Obie jesteśmy świątecznymi dziećmi.

Staje się cud – dziewczynka uśmiecha się, jej pucułowate policzki zaokrąglają się jeszcze bardziej, a rozbawiony chichot wypełnia pomieszczenie jak muzyka. Puchnę z dumy, a Rose komentuje moje osiągnięcie zaskoczonym spojrzeniem.

– A niech mnie. Polubiła cię – stwierdza radośnie. – Tym gorzej dla ciebie, bo trafiasz na listę potencjalnych opiekunek. A to

bardzo krótka lista.

Oddaję Cleo jej matce i przyglądam się, jak naturalnie się w nią wtula, jak opiera główkę na jej ramieniu i wkłada kciuk do buzi, wyczerpana swoją małą przygodą. Gdy patrzę na nie obie, złączone w intymnym uścisku, serce omal wyskakuje mi z piersi.

– Skąd wiedziałaś, że będziesz dobrą matką? – wyrzywa mi się bez zastanowienia.

Z ulgą zauważam, że Rose nie wydaje się urażona moim pytaniem. Przeciwnie, błyski w jej oczach zdradzają zadowolenie, że poczułam się przy niej wystarczająco swobodnie, by je zadać. Jakbym była płochliwym, bezpańskim psem, którego dokarmia i który w końcu podszedł na tyle blisko, że mogła go pogłaskać.

– Cóż, „dobra” to pojęcie względne. Ale zakładam, że pytasz, skąd wiedziałam, że będę zdrowym rodzicem, po tym, w jakim otoczeniu sama dorastałam – rzuca.

Przejrzała mnie na wylot. Czuję się jednocześnie dostrzeżona i poddana analizie.

– Chyba tak – przyznaję, dla odwrócenia uwagi pociągając łyk kawy.

Kiedy odstawiam kubek, widzę, że Cleo, wtulona w ramiona matki, zamknęła oczka. Postanawiam dalej czerpać z odwagi, dzięki której w ogóle tu dziś trafiłam, zamiast kryć się za lękiem przed możliwą odpowiedzią.

– W sumie chodzi mi o kilka rzeczy. Skąd wiedziałaś, że facet, którego wybierzesz, nie będzie taki jak twój ojciec? I że ty sama nic nie schrzaniś, wychowując dzieci?

Błysk w jej oku zmienia się w iskierkę.

– Jasne, że schrzanię, bez cienia wątpliwości. Na tym polega rodzicielstwo, dziewczyno. – Rose zapewne dostrzega przerażenie

na mojej twarzy, bo szybko dodaje: – To leży w ludzkiej naturze. Ale liczy się to, że im więcej wiesz, tym lepiej możesz działać.

– Moja mama chyba jeszcze tego nie ogarnęła – przyznaję głosem sztywnym od tłumionej frustracji. Rose ze współczuciem marszczy brwi.

– Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży z Cleo, porządnie ustawiłam się do pionu. Kocham swoją matkę nad życie, ale przeniosła na mnie wiele swoich lęków nabytych podczas życia z ojcem. Obiecałam sobie, że nie dopuszczę, by moja córka wychowywała się z mamą, która boi się całego świata i tego, co by było gdyby. Chcę wychować ją tak, by była silna i poradziła sobie ze wszystkim, co może ją spotkać.

Kciuk wysuwa się Cleo z buzi. Mała śpi smacznie, trzepocząc gęstymi rzęsami w reakcji na swoje sny.

– Jeśli chodzi o Mitchella, jakaś część mnie po prostu miała pewność. Nie umiem tego wyjaśnić – dodaje Rose, posyłając mi znaczące spojrzenie – ale podejrzewam, że dokładnie wiesz, co mam na myśli. Czułam się z nim bezpiecznie, bezpieczniej niż w pojedynkę. I pokochał Cleo od chwili, gdy zobaczył na teście dwie kreski. Już wtedy miałam pewność, że odszedłby ode mnie równie szybko, jak ja od niego, gdyby którekolwiek z nas zaczęło zagrażać dziecku.

Czuję, jak pęka mi serce. Odłamuję kolejny kawałek muffinki, ale nawet nie wkładam go do ust. Próbuję znaleźć odpowiedź na słowa, które jednocześnie mnie wyzwoliły i przybiły.

– Nie chcę wyjść na bezczelną, ale Chase też jest takim facetem. – To jej ostatnia rada, którą pieczętuje całą wypowiedź.

– Owszem – stwierdzam, bo wiem, że to prawda.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Martwię się raczej o to, czy sama jestem taką kobietą – i czy moja matka jeszcze może się nią

stać.

Na delikatnej twarzy Rose pojawia się szeroki uśmiech. Bezwiednie kładzie dłoń na główce Cleo, brylanty w jej obrączce lśnią w porannym słońcu, przesączającym się przez okna.

– Będzie dobrze, Eden. Czuję to w kościach.

– Dzięki – mówię z pokorą i nadzieją, że ma rację. – Gdy dorosnę, chcę być taka jak ty.

W odpowiedzi wybucha perlistym śmiechem.

– Mam złą wiadomość. Jestem od ciebie młodsza.

Wzdycham, a ona śmieje się jeszcze głośniej. Za moimi plecami otwierają się drzwi i do kawiarni wkracza wysoki, tyczkowaty mężczyzna z burzą loków. Ma na sobie dżinsy, koszulę i robocze buty, a stylizację uzupełnia neonowa żółta kamizelka ochronna. Przybysz pewnym krokiem wchodzi za kontuar i zabiera Cleo z ramion matki, jednocześnie całując Rose w czoło. Dziewczynka całe to zamieszanie przesypia.

– Cześć, jestem Mitch – przedstawia się mężczyzna, wyciągając do mnie rękę.

– Eden. Miło cię poznać.

Zabawnie szczyrzy zęby w odpowiedzi, ponownie całuje żonę, tym razem w usta, i bierze muffinkę prosto z gablotki. Rose daje mu po łapach, a on zrywa się do ucieczki.

– Muszę lecieć, na razie! – woła, wychodząc w poranek i zabierając ze sobą dziecko.

Rose miazdzy go spojrzeniem, ale kiedy patrzy znów na mnie, w jej oczach widać rozbawienie.

– Cóż, nie możesz oczekiwać ideału, ale dobrze, jeśli twój facet nie jest złodziejaskiem.

Rozdział 30

Auć! Szlag by to!

Mój palec u nogi zaczyna pulsować bólem po brutalnym zderzeniu. Nie wiem, o co się potknęłam, bo Zoey cały czas zasłania mi oczy dłońmi. Nawet nie zwalnia, żeby dać mi dojść do siebie. Po chwili zaczepiam sandałem o pierwszy ze schodków prowadzących na jej werandę.

– Krok w górę. Ostrożnie – uprzedza głosem pełnym wyczekiwania.

Niepewnie unoszę stopy tam, gdzie spodziewam się znaleźć kolejne stopnie, przenosząc na nie ciężar ciała, dopiero kiedy jestem pewna, że miałam rację. Skupiam się na kolejnych krokach, żeby nie dać się ogarnąć przerażeniu wywołanemu perspektywą czekającego mnie przyjęcia-niespodzianki.

– Zo, nie chcę wyjść na niewdzięczną, ale jeśli wyskoczy na mnie z krzykiem kupa ludzi, zapewne dostanę zawału.

Słyszę fuknięcie i odgłos otwieranych drzwi frontowych.

– No weź, myślisz, że nie wiem?

Kiedy udaje mi się bezpiecznie przekroczyć próg, Zoey zabiera rękę z mojej twarzy i teatralnie szepce: „Niespodzianka!”, co stanowi dla mnie sygnał do otwarcia oczu.

Przez chwilę nic nie widzę po tym, jak długo zaciskałam powieki. Kiedy kontury pomieszczenia wreszcie nabierają ostrości, dostrzegam pęk pastelowych balonów zwieszający się z sufitu nad kuchenną wyspą. Na ladzie ustawione są kieliszki do szampana i schłodzone butelki w kubekach z lodem, a obok nich – soki

owocowe. Całości dopełnia deska z przekąskami słonymi po jednej stronie i słodkimi po drugiej; jest tu całe mnóstwo gatunków sera oraz czekoladki.

Czuję, jak żołądek zaciska mi się z emocji.

– Jest idealnie – wzdycham.

Mój wzrok pada na salon, w którym wyłożone są maseczki, lakiery do paznokci i akcesoria do manicure'u. W telewizorze widać zatrzymane napisy początkowe *Totalnej magii*, a na zielonym aksamitnym narożniku piętrzą się stosy miękkich koców.

Ale to nie dlatego moje oczy wypełniają się łzami. Owszem, to najpiękniej przygotowana impreza, jaką widziałam, i zdecydowanie najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie zrobił – ale przede wszystkim nie mogę oderwać oczu od Elli, która aż podskakuje z wyczekiwania na kanapie.

Obie zaczynamy jednocześnie krzyczeć tak głośno, że Zoey oraz siedząca obok Elli Rose zasłaniają uszy. Błyskawicznie podbiegam do siostry i rzuca ją na ozdobne poduszki. Ściskam jej drobne ciało tak mocno, że omal jej nie duszę, ale nie protestuje. Po prostu oddaje uścisk.

– Co ty tu robisz? – pytam, ujmując jej twarz w dłonie.

Podnoszę głos prawie do krzyku, a że jestem tuż obok, moja siostra się krzywi, ale jej zielone oczy, ciemniejsze niż moje, aż błyszczą od emocji. Upajam się znajomym widokiem jej drobnego noska, twarzy w kształcie serca, rudoblond włosów i piegowatej skóry, niczym wędrowiec, który błędząc po pustyni, natrafił na oazę.

– Jestem twoim prezentem urodzinowym! – wyjaśnia radośnie.

– Rose wyświadczyła mi przysługę i odebrała ją rano z lotniska, kiedy ja przygotowywałam wszystko tutaj – dodaje zza moich

pleców Zoey.

W obie strony to prawie cztery godziny jazdy. Na myśl, że zrobiła dla mnie coś takiego, zażawione oczy zaczynają mnie piec jeszcze bardziej, jakby roiło się za nimi tysiąc pszczoł. Wciąż stojąc okrakiem nad Ellą, przechylam się w kierunku Rose i obejmuję ją.

– Bardzo ci dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie! Zresztą, już jesteśmy z twoją siostrą najlepszymi przyjaciółkami – odpowiada.

Jej głos brzmi mniej melodyjnie niż zwykle, bo duszę ją w objęciach.

Biorąc pod uwagę, jak rozmowne są obie panie, ani przez chwilę nie wątpię w te słowa. Nagle z kuchni dochodzi huk, na dźwięk którego drgam i uwalniam Rose z uścisku. Odwracam się i widzę w dłoniach Zoey butelkę szampana.

– Komu mimozę? – pyta, znacząco marszcząc brwi.

Nalewa szampan do kieliszków, a potem dopełnia sokami. Mój drink, z sokiem grejpfrutowym, ma blad różowy kolor i słodko-kwaśny smak, który musuje mi w gardle.

– Do dna! – Zoey wznosi toast swoim szampanem z odrobiną soku pomarańczowego. – Tak się bawią dwudziestośmiolatki!

– Do jutra mam jeszcze dwadzieścia siedem lat – przypominam wszem wobec, trącając się z nią kieliszkiem.

Zoey patrzy na mnie, przewracając oczami.

– Wiem, ale Chase zaklepał dzień twoich urodzin, więc udawajmy, że to dzisiaj. A zresztą wszystko dobrze się złożyło, bo dzięki temu dotarła do nas niespodzianka specjalna – przy ostatnich słowach ściska Ellę za ramiona.

Na samą wzmiankę o Chasie przeszywa mnie lekki dreszcz. Fakt, że zależało mu na tyle, żeby zaklepać prawdziwy dzień moich

urodzin, sprawia, że znów czuję się jak nastolatka, która odkryła, że chłopak, do którego wzdycha, zamierza ją zaprosić na szkolny bal. Wyczekiwanie miesza się w moich żyłach z alkoholem i zaczyna mi szumieć w głowie.

Elle wzdycha i pociąga długi łyk swojej mimozy.

– Proszę, nie przypominaj mi, że masz dwadzieścia osiem lat. To oznacza, że ja jestem już dobrze po czterdziestce.

– Ani się obejrzysz, a stuknie ci pięćdziesiątka – droczę się, pociągając ją za kosmyk włosów ledwie sięgających ramion.

Patrzy na mnie z oburzeniem, które tylko częściowo jest szczere.

– Odszczekaj to.

Idziemy na kanapę, niosąc talerze wyładowane krakersami z rozmarynem i kawałkami smakowitych serów oraz ciastkami maślanymi i truflami czekoladowymi, które się do mnie uśmiechają. Rozkładamy się z naszą ucztą na okrągłym blacie stolika kawowego Zoey. Ella ogląda lakiery do paznokci, a ja otwieram foliową saszetkę z maseczką. Mam nadzieję, że zwalczy trądzik wywołany cukrem zawartym w truflach, którą pakuję do ust.

Daję się pochłonąć aksamitnemu ciepłu poduszek, a potem zrywam się tak nagle, że śliska maska zsuwa mi się z twarzy.

– Ale kto w takim razie pilnuje baru? Nie mogę zostawić Zandera samego w sobotę – wyjaśniam, muskając wargami płachtę maseczki.

Maddie wyjechała na festiwal, trwa świąteczny weekend i wiem, że urlopowicze zjadą się do miasteczka w poszukiwaniu bazy wypadowej do aktywnego wypoczynku. Na szczęście Santi w samą porę przyjął do pracy dwóch dodatkowych kucharzy – zapewne to dlatego Zoey jest taka spokojna.

– Wyluzuj, Gary da sobie radę – uspokaja mnie przyjaciółka, popychając mnie z powrotem na kanapę. Poprawiam maseczkę

na wilgotnej twarzy, żeby móc znów wyjrzeć przez otwory na oczy. – Kazał ci powiedzieć, że jesteś mu winna przysługę, bo już drugi raz cię zastępuje.

Prycham śmiechem, przez który niemal wciągam maseczkę do nosa.

– Muszę mu przypomnieć o spaniu na szpitalnych krzesłach i szorowaniu jego toalety. To powinno spłacić dług wdzięczności z nawiązką.

Przytakuje i pociąga łyk z kieliszka. Rose chwytą pilot, ale odkłada go z powrotem na kolana, gdy Zoey unosi palec na znak, że chce coś wtrącić.

– *À propos* Zandera. Pamiętasz naszą rozmowę o mieszkaniu w hamaku?

W policzku Rose znów pojawia się dołeczek – tym razem wywołany zdezorientowanym zmarszczeniem brwi. Grzebię w pamięci i udaje mi się odkopać to zakurzone wspomnienie.

– W czasie wycieczki? Coś mi świta.

Na swoją obronę mogę powiedzieć, że od tamtego czasu wiele się wydarzyło. Zoey prycha; moje luki w pamięci nie zbiły jej z pantałyku.

– Tak, w czasie wycieczki – potwierdza i rozpromienia się jak zawsze, kiedy chce się podzielić jakimś pomysłem. – Myślałam o tym, co powiedział Chase, gdy nazwał Zandera nomadą. Wydaje mi się, że taka nazwa pasowałaby do baru. Przez miasteczko przewija się mnóstwo ludzi, którzy wybierają się w góry. „Loveless Nomads” Co wy na to?

– Twój bar nie ma nazwy? – pyta Ella i upija kolejny łyk mimozy, by ukryć swój słynny ton zmartwionej mamusi.

Zoey wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Nie. I co z tego?”

– A może samo „Nomads”? – sugeruje Rose. Wszystkie obracamy się w jej stronę, co odczytuje jako sygnał do rozwinięcia pomysłu.

– Widzicie, kocham to miasteczko jak wszyscy, ale słowo „Loveless” w nazwie brzmi smutno.

Zwykle nie zabieram głosu w takich kwestiach z powodu zupełnego braku kreatywności. Ostatnim razem pozwolono mi coś nazwać, kiedy miałam osiem lat i do naszego domu przybłąkało się bezdomne kocię. Nadałam mu imię Rachel, bo tak nazywała się moja ulubiona niania i nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy. Wykazałam się przy okazji myśleniem postępowym, bo był to kocurek.

Tym razem nawet ja jednak wiem, że Rose ma rację. Obie z Ellą kiwamy głowami na znak poparcia, a Zoey ciska w pomysłodawczynię poduszką ze sztucznego futra. Rose wkłada ją pod głowę i puszcza do nas oko.

– Aleście mi pomogły – rzuca Zoey.

Jej głos ocieka sarkazmem, ale widzę, że zapamiętuję tę radę.

– No dobra, ktoś jeszcze ma jakieś zastrzeżenia czy mogę włączyć film? – pyta Rose, trzymając palec nad przyciskiem odtwarzania na pilocie.

Nasz zduszony chichot miesza się ze ścieżką dźwiękową rozpoczynającą seans.

Opieram głowę na ramieniu Elli, rozkoszując się jej bliskością. Widujemy się bardzo rzadko, a jeszcze rzadziej, gdy nie ma przy sobie moich dwóch siostrzeńców. Byłam zdruzgotana, kiedy okazało się, że ze względu na obowiązki zawodowe Jarretta nie uda im się przyjechać, by zgodnie z tradycją spędzić z nami Boże Narodzenie. W poświęconych dniach jeszcze bardziej dotkliwie odczuwałam jej nieobecność.

Jakby czytała mi w myślach, wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach. W ten sam sposób pocieszała mnie nasza matka, gdy byłam mała. Pozwalam się ukoić i próbuję skoncentrować na historii rozgrywającej się na ekranie.

Zakochałyśmy się z Zoey w tym filmie, gdy wchodziłyśmy w okres dojrzewania i uczyłyśmy się orientować w świecie pierwszych sympatii oraz gimnazjalnych dręczycieli. Jak większość dziewcząt w tym wieku, przerobiłyśmy z milion książek i filmów, próbując zrozumieć, kim się stajemy. Uznałyśmy, że przypominamy siostry Owens – ja zdystansowaną i praktyczną Sally, Zoey – szaloną i enigmatyczną Gillian.

Myślę, że moja przyjaciółka najbardziej lubiła w tej historii magię i tajemnicę. Ja skupiałam się przede wszystkim na tym, jak otaczały się opieką obie krewne. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia wyjdę za mąż i założę własną rodzinę, ale to były tylko marzenia. Jedyną stałą w moim życiu stanowiła Zoey, więc poruszało we mnie czułą strunę, kiedy Gillian mówiła Sally, że zestarzeją się razem, niezależnie od tego, czy któraś z nich pozna mężczyznę.

Chwytam dłoń Zoey i ogarnia mnie wdzięczność za to, że mam najlepszą przyjaciółkę, która kocha mnie najbardziej na świecie. Bardziej niż rodzice – kiedyś nie do końca w to wierzyłam, teraz jestem o tym przekonana. Lekko ściska moją rękę i przed oczami staje mi to, o czym mówi Gillian: jak we dwie starzejemy się w wielkim starym domu, podobnym do tego, w którym mieszkamy teraz, i umieramy tego samego dnia, pokryte zmarszczkami i pełne wspomnień.

Patrzę na nią, a ona czuje na sobie mój wzrok i obraca twarz w moją stronę. W jej lśniących oczach odbija się światło padające z ekranu. Przeżyłyśmy razem kawał życia i pod pewnymi

względami osiągnęliśmy bliskość, z którą nie może się równać nawet moja relacja z Ellą. Nie wiem, czy to przez przemożną wdzięczność za to, ile wysiłku włożyła w świętowanie moich urodzin, czy wspomnienie niezliczonych dni spędzonych dokładnie w ten sposób, ale przez chwilę mam wrażenie, że serce urosło mi tak, że zaraz pęknie.

Miarka przebiera się chwilę później, kiedy – dokładnie w tym samym momencie, w którym Gillian robi to na ekranie – Zoey szepce:

– Kocham cię.

Ściskam mocniej jej dłoń. Czuję, jak jej słowa rozsadzają mi serce. Wiem, jak ma brzmieć moja odpowiedź. To następna kwestia Sally, którą ćwiczyłam przez pół życia:

– Ja też cię kocham, cukiereczku.

Rozdział 31

Drapacze chmur pną się coraz wyżej na horyzoncie, a pasmo górskie, które widzę we wstecznym lusterku, coraz bardziej się kurczy. Ella zakręca podrózną buteleczkę leku na chorobę lokomocyjną, bez którego nie rusza się w żadną podróż. Spogląda na mnie i jej pozieleniała skóra powoli odzyskuje swój normalny kremowy odcień. Posyła mi wymuszony uśmiech, oddychając z ulgą, gdy zostawiamy za sobą kręte górskie drogi.

– Szkoda, że nie możesz zostać dłużej – wzdycham i wyciągam rękę, by poklepać ją po kolanie.

Zbliżamy się do Denver szybciej, niżbym chciała, a lotnisko znajduje się tuż za miastem. Nieświadomie zdejmuję nogę z gazu, by odwlec nieuniknione.

– Mnie też, ale Jarrett jutro wyjeżdża na jakąś ważną konferencję medyczną – wyjaśnia i krzywi się. – Serce matki nie pozwala mi jeszcze zostawić chłopców samych w domu.

Postanawiam nie przypominać jej, że Wesley, starszy z moich siostrzeńców, na jesieni zacznie naukę w klasie maturalnej.

– Wiesz, w Kolorado też są świetne szpitale – rzucam.

Odpowiada tylko cichym chichotem.

– No jasne, nieustające nudności na pewno pomogłyby mi zgubić tych parę kilo nadwagi. Obawiam się, że nie widzę w swojej przyszłości łańcuchów górskich.

Pozwalam sobie na żałosny jęk, żeby jasno pokazać jej, co o tym myślę.

– Ale cieszę się, że przyjechałam, chociaż na tę jedną noc – przyznaje z westchnieniem, odwracając twarz od okna, by na mnie spojrzeć. – Musiałam cię zobaczyć osobiście, żeby się upewnić, że wszystko gra.

Nie spuszczam wzroku z autostrady i zapada między nami niezręczna cisza. Wrażenie, że siostra uważnie przygląda się mojej fasadzie w poszukiwaniu pęknięć, przyprawia mnie o ciarki. Bardzo nie chcę dać po sobie cokolwiek poznać – choćby po to, by oszczędzić jej zmartwień.

– Jak się trzymasz, Eden? – pyta, gdy zauważa, że nie chwyciłam przynęty. Obraca się na siedzeniu twarzą do mnie i krzyżuje nogi. – Przepraszam za ten wybuch, kiedy zadzwoniłaś. Nie najlepiej się wtedy zachowałam.

Zaczynam się śmiać śmiechem, który brzmi ostrzej, niż zamierałam. Na siłę zamykam usta, by uciszyć ten dźwięk. Obiektywnie rzecz biorąc, zdaję sobie sprawę, że tkwimy uwięzione w moim aucie i nie mogę przez resztę trasy unikać odpowiedzi na jej pytanie, ale jakaś część mnie chciałaby pominąć ten temat. Nie zamierzam pozwolić, by decyzje matki odcisnęły się piętnem na dniu moich urodzin, idealnym pod każdym innym względem.

Ella jednak wciąż się we mnie wpatruje i w końcu wypuszczam powietrze, które długo trzymałam w płucach.

– Szczerze mówiąc, tak sobie. Wciąż staram się to wszystko przerobić. – Zaczynam zgrzytać zębami, przeżuając tłumioną frustrację. – Wiesz, co naprawdę mnie wkurza? – mówię, znowu zbyt ostro. Ella drga na siedzeniu, a litość w jej wzroku ustępuje miejsca nerwowemu wyczekiwaniu. – Odeszła od taty, bo pił i znęcał się nad wami, ale pedofilia Marka jej nie przeszkadza!

Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak dwuznacznie – ale stało się. Tuż pod powierzchnią moich słów kryje się prawdziwe pytanie: „Jak mogła zostawić tamtego faceta dla ciebie, a nie zostawić tego dla mnie?”

Po moim wyznaniu Ella milknie. Rozpaczliwie chciałabym cofnąć swoje słowa, zwinąć je jak dywan, który wyszedł z mody, i wepchnąć do schowka, tam, gdzie ich miejsce. Ale jak się przekonuję, w życiu nie da się niczego cofnąć. Trzeba stawić czoła temu, co przychodzi potem.

Ryzykuję ukradkowe spojrzenie i ze zdziwieniem odkrywam, że moja siostra nie wygląda na oburzoną, a na zbitą z tropu.

– No co? – pytam.

– Eden – zaczyna mówić, splatając dłonie w ten sam sposób, co mama. – Ona nie odeszła od taty.

Gdybym nie pędziła właśnie zatłoczoną autostradą, ostro bym zahamowała. Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach, usiłując nadać sens jej słowom. Czekam, co powie dalej – głównie dlatego, że sama nie jestem w stanie sformułować myśli w spójny sposób.

– Nie chciał mieć więcej dzieci. Zresztą, nie chciał nawet tego, które już miał. – Bezceremonialnie wskazuje na siebie. – Kiedy się okazało, że mama jest z tobą w ciąży, dał nogę i więcej się nie odezwał.

Czuję, że mimowolnie kręcę głową. Zaprzeczenie to odruch.

– Nie. Mama powiedziała, że zostawiła go, kiedy miałam kilka miesięcy. Że znęcał się nad tobą i uznała, że ma tego dość.

Kierownica prawie wymyka mi się z drżących dłoni, gdy skręcam we właściwy zjazd. Ella parska śmiechem, w którym słyszę nienawiść – ale czuję, że nie jest ona skierowana do mnie.

– Bo się znęcał. Był zupełnie do niczego – odpowiada. Brzmi, jakby znalazła się gdzieś daleko; cofnęła się w przeszłość, w której nie było mnie jeszcze na świecie. – Ale mama nigdy nie zdobyła się na odwagę, by od niego odejść. Ilekroć na moim ciele pojawiał się nowy siniec, przysięgała, że to już ostatni. Powtarzała, że ojciec nas kocha i że tym razem naprawdę się zmieni. I tak za każdym kolejnym razem.

Wyobrażam sobie ówczesną Ellę, młodą i wrażliwą, w łapach człowieka, którego sama znam tylko z kilku pozótkłych zdjęć. Widzę, jak wokół jednego z jej szmaragdowych oczu wykwita wściekle fioletowy okrąg, a nasza matka przykładła do niego torbę mrożonego groszku i składa obietnice, których nie może – ani nie zamierza – dotrzymać.

– Jak ty ją znosisz? – pytam, rozpaczliwie szukając wskazówek na dalszą drogę.

Czuję się tak, jakby magnetyczne bieguny mojego świata przesuwwały się, wywołując przewrót w całym moim postrzeganiu rzeczywistości.

– Przez jakiś czas nie znosiłam. Dorastając, miałam do niej żal i nie dogadywałyśmy się przez to.

Te słowa rozdierają zasłonę i po raz pierwszy widzę wyraźnie swoją przeszłość oraz wszystkie nerwowe wymiany zdań między moją siostrą a mamą, zbywane jako przejawy nastoletniego buntu, a nie wybuchy słusznego gniewu. Nagle rozumiem, dlaczego Ella zawsze zapraszała mnie do siebie do akademika, zamiast wpadać do domu – za wszelką cenę unikała spędzania dłuższego czasu z mamą.

– A potem dorosłam, wyszłam za mąż i urodziłam dzieci. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby matka towarzyszyła mi na tym etapie życia, więc postanowiłam ją do niego wpuścić. Wciąż

panuje między nami napięcie, ale Kocham ją tak bardzo, jak mogę, nie poświęcając przy tym miłości do siebie. – Spogląda na mnie, marszcząc brwi. – Czyli, szczerze mówiąc, ostatnio coraz mniej.

Nie mogę się otrząsnąć. Myśli odbierają mi mowę. Piedestał, na którym przez całe życie stawiałam matkę, pęka w miejscach, gdzie przez ostatnie pół roku tworzyły się rysy, i zmienia w stos gruzów oraz kłamstw padających u moich stóp, a ja stoję nieruchomo i mogę jedynie przyglądać się temu, co się dzieje.

Czuję na policzku miękką dłoń Ell. Wyciera gorącą łzę, która wymknęła się z kącika mojego oka. Pociągam nosem i próbuję się nie rozkleić przed naszym zbliżającym się pożegnaniem. Celowo mijam zjazd do hali odlotów i ponownie okrążam lotnisko.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Naprawdę, byłam pewna, że wiesz – przyznaje.

– Nic nie szkodzi – zapewniam ją, chociaż jestem bodaj ostatnią osobą, która powinna to robić. Brzmie, jakbym miała usta pełne tłuczonego szkła. – Ale to bardzo wiele zmienia.

Rzucam okiem na zegarek na desce rozdzielczej. Wiem, że jeśli będę dłużej zwlekać, Ella spóźni się na samolot. Skręcam w odpowiednim miejscu i zbliżam się do długiego rzędu samochodów stojących przy krawężniku. Na chodniku kłębi się tłum podróżnych żegnających swoich bliskich.

– Owszem – mówi moja siostra. Odwracam się do niej i wrzucam bieg postojowy. – Ale wiesz, co się nie zmieniło? Ty i ja. Jestem twoją starszą siostrą, Eden. Zawsze będę przy tobie, niezależnie od tego, jak ułożysz swoje kontakty z mamą. Albo czy w ogóle będziesz je utrzymywać.

Strażnik kierujący ruchem pogania nas gwizdem. Wygrzebujemy się z samochodu, Ella zgarnia swoją niewielką torbę podróżną z tylnego siedzenia i zarzuca sobie na ramię. Okrążam auto,

podchodzę do niej i biorę w ramiona, po czym ściskam ze wszystkich sił.

Nie mówię jej tego, ale nie ma racji. Nasza relacja jednak się zmieniła. Czuję się jej bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. Łączy nas więź, o którą żadna z nas nie prosiła, a którą obie dostałyśmy. Jako jedyna ma tak wiele do stracenia, a jednak staje u mego boku i wspiera w podjęciu decyzji, która będzie najlepsza dla mnie.

– Kocham cię, Ell – szepczę jej do ucha.

– Też cię kocham – odpowiada i ściska mnie ostatni raz. – Wszystkiego najlepszego, staruszko.

Wsiadam z powrotem do auta, ignorując przenikliwy dźwięk gwizdka ponaglający mnie do ruszenia z miejsca, i nie jadę, dopóki tył jej głowy nie zniknie mi z oczu po drugiej stronie automatycznych drzwi.

Macham wzburzonemu strażnikowi i ruszam spod krawężnika w długą drogę powrotną do Loveless oraz do niespodzianki przygotowanej przez Chase'a. Kiedy włączam się do ruchu na autostradzie, brzęczy mi komórka. Martwię się, że Ella czegoś zapomniała, więc szybko sprawdzam sytuację na drodze i zerkam na wiadomość.

Gdy ją odczytuję, serce zatrzymuje mi się w piersi. Rzucam telefon z powrotem na siedzenie pasażera, żeby złapać oburącz kierownicę. Droga nagle staje się mniej wyraźna niż jeszcze chwilę temu. Przy każdym mrugnięciu widzę pod powiekami tekst, którego nie jestem w stanie zignorować.

Mama: Wszystkiego najlepszego z okazji 28. urodzin, skarbie. Mama cię kocha.

Rozdział 32

Wyłączam telefon, żeby uniknąć kolejnych nieprzyjemnych incydentów. Esemes przyszedł kilka godzin temu i jeszcze na niego nie odpowiedziałam. Postanawiam tego nie robić, bo nie chcę więcej płakać w swoje urodziny. Zresztą, co masz zrobić dziś – zrób jutro.

A przynajmniej udaję, że tak właśnie brzmi to przysłowie.

Chase skręca w drogę gruntową, tak wyboistą, że podskakuje na siedzeniu. Zerkam na niego zaintrygowana, ale nie dostrzegam żadnych sygnałów, które pozwoliłyby mi się domyślić, co mnie czeka, a jedynie jego zaczepny uśmiech i zmarszczki w kącikach oczu.

Przejeżdżamy obok drewnianej tablicy z wymalowanym na żółto napisem obwieszczającym, że dotarliśmy do kompleksu pól namiotowych.

– Zabierasz mnie na biwak? – pytam.

Jeszcze szerzej szerzy zęby w krzywym uśmiešku, ale nie odpowiada. Czeka na punkt kulminacyjny niespodzianki. Zwykle to ja jestem milczkiem w tym związku i domyślałam się, że nie jest mu łatwo.

Mijamy kilka namiotów, przed którymi kręcą się rodziny, samotni podróżnicy i psy, które szczekaniem uprzedzają właścicieli o naszym przybyciu. Las wokół nas gęstnieje; zostawiamy za sobą wszystkie oznaki cywilizacji i pniemy się coraz wyżej krętą drogą. Już zaczynam stresujące obliczenia, ile zajmie marsz do łazienki

na głównym polu, gdy drzewa rozstępują się przed nami, odsłaniając cel naszej podróży: bezludną polanę z panoramicznym widokiem na rozciągającą się poniżej dolinę.

– O Boże, Chase, tu jest pięknie – mówię, chwytając się za serce, żeby uspokoić jego rozszalałe bicie. – Ja nigdy w życiu nie zdołałabym utrzymać tego w tajemnicy. Brawo ty.

Jego chrapliwy śmiech łaskocze mnie w uszy.

– To nie było trudne. Za nic w świecie nie chciałem przegapić tej chwili.

Próbuję znaleźć na to właściwe słowa, gdy Chase wyskakuje z pickupa i zdejmuje z paki namiot i plecak.

– Weźmiesz koszyk? Jest na tylnym siedzeniu! – woła, wyrrywając mnie z pełnej oszołomienia ciszy.

Gdy otwieram drzwi i za swoim siedzeniem widzę wiklinowy koszyk, robię wielkie oczy. Urządził dla mnie piknik. Romantyczna część mojej natury omdlewa.

Nic na to nie poradzę. Jestem córką swojej matki.

Szybciej, niż wydawało mi się to możliwe, Chase rozkłada prosty dwuosobowy namiot, a w nim dwa śpiwory, które spina razem w olbrzymi kokon. Spałam już wcześniej obok niego, ale tym razem będzie inaczej. Bardziej świadomie. Motyle w moim brzuchu zmieniają się w wypuszczone z klatki ptaki.

– Mogę jakoś pomóc? – pytam, przyglądając się, jak zbiera chrust spomiędzy drzew i układa na miejscu na ognisko.

Błyska zapalniczka i po chwili suche gałązki oraz liście stają w płomieniach, a w powietrzu rozchodzi się przytulne ciepło.

– Możesz otworzyć koszyk – proponuje Chase, siadając obok mnie na rozłożonym kocu.

W zachodzącym słońcu jego oczy mają barwę bursztynów – albo słoików miodu, kuszących swoją słodyczą. Zmuszam się,

by oderwać od nich wzrok i spojrzeć na wiklinową pokrywkę kosza. Mocuję się z nią przez chwilę.

W środku znajduję rozmaite domowe kanapki, małe paczki chipsów i przewiązane różową wstążeczką pudełko prezentowe pełne domowych ciasteczek Rose. Gdy zauważam, że to owsiane z kawałkami czekolady, muszę się naprawdę powstrzymać, żeby nie zacząć posiłku od deseru. Odsuwam pudełko, by sprawdzić, co znajduje się pod spodem, i z moich ust wyrzywa się westchnienie.

Wyciągam butelkę czerwonego wina i pokazuję ją Chase'owi, który obserwuje mnie z uśmiechem.

– Moje ulubione! Nie piłam go od...

– Od lata, które spędziłyście z Zoey w Anglii – kończy za mnie. Przygryzam dolną wargę, żeby powstrzymać szeroki uśmiech. – Opowiedziała mi ze szczegółami. O wycieczce do francuskiej winnicy, o sommelierze, który cały czas się do ciebie zalecał...

Przewracam oczami tak mocno, że mogłabym przysiąc, że widzę własny mózg.

– Wcale nie.

Mnóstwo razy tłumaczyłam Zoey, że ten facet był gejem i po prostu traktował mnie jak kumpelkę.

Chase parska śmiechem, nachyla się nade mną, wyjmuje kieliszki przypięte do pokrywki koszyka, otwiera wino i nalewa go dla nas obojga.

– W porządku, nie musisz się tłumaczyć. Moja dziewczyna to łakomy kasek i jestem z tego dumny.

Gdy słyszę, jak swobodnie nazywa mnie swoją dziewczyną, od czubka głowy aż po palce stóp przebiega po mnie dreszcz przyjemności. Chase przysuwa się bliżej, a ja wtulam się w jego bok i wsuwam rękę pod jego pachę. Ostrożnie stukamy się

kieliszkami, a potem wążam wino i rozkoszuję się upojnym bukietem. Zapach przenosi mnie w daleki zakątek globu, do miejsc, za którymi tak bardzo tęsknię, choć do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Zdrowie jubilatki-podrózniczki. – Chase wznosi toast i pociąga łyk.

– I kto to mówi – odpowiadam.

Przypominam sobie mapę wiszącą nad jego łóżkiem i wszystkie parki narodowe, które już zdążył odwiedzić. Wybucham śmiechem, gdy krzywi się na smak wytrawnego wina. Wiem, że pije je tylko dla mnie – gdyby to on miał wybierać, trzymałby w ręku schłodzonego coorsa light. Ta świadomość czyni jego gest jeszcze bardziej uroczym.

– Daj spokój, wciąż mam na liście marzeń cały świat – mówi, zamaszystym ruchem ręki wskazując rozciągającą się pod nami dolinę.

Zapada zmierzch i dużą część widoku pochłonęły już cienie, ale nadal mam rozkoszne uczucie, że górujemy nad wszystkim. Z oddali dobiega huk fajerwerków.

– Dlatego musimy sprawdzić, czy twój paszport jest jeszcze ważny.

Wtulam się w niego. Z każdym łykiem wina moje kończyny coraz bardziej się rozluźniają, a zahamowania słabną. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak wspólnie podróżujemy po świecie. Widzę, jak włączymy się po uliczkach Amsterdamu i opalamy na plaży na Mykonos. Przymierzam go do wszystkich miejsc z moich marzeń o podróżach. Ze zdumieniem odkrywam, że pasuje idealnie.

– Dobrze się bawiłaś z siostrą? – pyta, przerywając moje fantazjowanie.

Spadam ze szczytu marzeń w dzisiejszą rzeczywistość i zaliczam twarde lądowanie. Zanim odpowiem, potrzebuję chwili, by odzyskać orientację.

– Owszem – przytakuję, ale mój melancholijny ton wskazuje, że coś jest na rzeczy.

Chase nadstawia uszu – słowo daję, wygląda to prawie tak, jakby był psem. Uważnie mi się przygląda, wypatrując w mojej twarzy tego, co przemilczałam. Wiem, z jaką łatwością potrafi wszystko z niej wyczytać, więc postanawiam go wyprzedzić.

– Mama zamierza zostać z Markiem.

To jedyne, o czym mu jeszcze nie mówiłam, ale nie jest zaskoczony, czego się spodziewałam. Odstawia niemal nietknięty kieliszek wina na płaską część pobliskiej skały i uważnie wpatruje się we mnie.

– Wiem.

Wytrzeszczam oczy. Ciekawe, co on teraz sądzi o mojej reakcji.

– No, domyśliłem się – wyjaśnia. – Kiedy opowiedziałas mi o swoim ojczymie, jej nagły wyjazd i twoje wzburzenie zdecydowanie nabrały sensu.

Odstawiam pusty kieliszek i odchylam się, opierając się na łokciach. Chase przyjmuje tę samą pozycję.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta.

– Nie wiem – przyznaję.

Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo chcę jego rady. Ogarnia mnie przemożne pragnienie, by odkryć przed nim mroczne zakamarki swoich myśli, oraz nadzieja wbrew nadziei, że pomoże mi rzucić na nie światło.

– Bardzo ją kocham i przeraża mnie perspektywa, że miałybyśmy więcej się do siebie nie odezwać. Ale myśl o tym,

że mogłaby pozostać w moim życiu i nadal być żoną człowieka, który tak mnie skrzywdził, jest niemal nie do zniesienia.

Chase zaciska wargi, a w kącikach jego oczu znów pojawiają się zmarszczki – tym razem nie radosne, a zatroskane.

– Myślisz, że zmieni zdanie?

– Chcę wierzyć, że jest na to szansa. Czasem wydaje mi się, że wszystkie nadal jesteśmy w szoku po tym, jak mój ojczym z dnia na dzień stał się kimś innym, dla nas nierozpoznawalnym. I że w końcu się opamiętamy – mówię, kręcąc głową. Nie kieruję tego gestu do nikogo konkretnego. Przypominam sobie mamę, jak wychodzi z zagubioną miną na schody do mojego mieszkania, i jej słowa, że nie chce umrzeć w samotności. – Ale wątpię.

Ostatnie zdanie wypowiadam szeptem, ale i tak je słyszy – widzę to, bo mięsień w szczęce zaczyna mu drgać w ten sam sposób, jak podczas wizyt Shawna w barze. Płonie w nim gniew, podsycany pragnieniem, by mnie ochronić, a drganie oznacza pęknięcie w barierze, którą zbudował, by trzymała go w ryzach.

– Mogę powiedzieć ci coś strasznego? – pytam, skubiąc wyszczerbiony paznokieć.

– Uwielbiam straszne rzeczy – mówi, uwalniając długo wstrzymywany oddech.

– Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że podjęłam już decyzję, by zerwać z nią wszelkie kontakty, przypominam sobie, jak stałeś nad grobem ojca, i czuję się jak największa egoistka na świecie. Moja mama przynajmniej nadal żyje.

– Eee... den... – jęczy i obraca się na brzuch, by spojrzeć mi w twarz. Gryzę się w język, żeby nie wytknąć mu, że wymówił moje imię w ten sam irytujący sposób co Maddie. – Wiesz, co powiedziałaby Hollis Taylor, gdyby był tu z nami?

Kręcę głową.

– Stwierdziłby, że bycie rodzicem nie usprawiedliwia wszystkiego. Matka musi zasłużyć na miejsce w twoim życiu, zapracować na nie. – Wyciąga rękę i wsuwa mi za ucho kosmyk włosów. Oddech, już wcześniej nierówny, zamiera mi w piersiach. – Ja i mój świętej pamięci tata będziemy cię wspierać, cokolwiek zdecydujesz.

Puszcza do mnie oko, by złagodzić ten czarny humor, ale ja i tak spuszczam głowę z pełnym frustracji jękiem.

– Wszyscy wciąż to powtarzają! – zanoszę skargę do niebios. – Nie chcę decydować. Niech zrobi to ktoś inny.

Kiedy w końcu przestaję się uzalać i podnoszę głowę, by na niego spojrzeć, przygląda mi się z uśmiechem pełnym rozbawienia.

– Pomyśl tylko. To przez cudze złe decyzje znalazłaś się w obecnej sytuacji. – Przypomina. – Naprawdę lepiej mieć nad nimi kontrolę.

Piorunuję go wzrokiem, ale moja surowość znika, gdy dociera do mnie, że ma rację.

– Od kiedy jesteś taki mądry?

– Nie martw się – odpowiada, śmiejąc się ochryple. – Też zmądrzejesz, gdy osiągniesz dojrzały wiek trzydziestu lat.

Próbuję go pacnąć, ale nim udaje mi się go dosięgnąć, chwytam mnie za nadgarstek, a w jego oczach pojawia się znajomy płomień, który zapiera mi dech w piersiach. Czuję, jak gorące rumieńce rozlewają się po moich policzkach i szyi.

Chase podnosi się, przysuwa się do mnie na kolanach i kładzie dłonie na moich biodrach. Jestem w potrzasku, ale wcale mnie to nie martwi. Nie mogę oderwać od niego oczu. Przyciska swoje gorące wargi do mojego obojczyka, miejsca, z którego zaczął rozchodzić się rumieniec. Przeciera szlak na wrażliwej skórze mojej

szy i chwytą w zęby płatek ucha. Gwałtownie nabieram powietrza. Mój oddech mierzwi ciemne fale jego włosów. Chase, drapiąc mnie zarostem po policzku, odsuwa się na tyle, by móc spojrzeć mi w twarz. Nie wiem, czego tam szuka, ale najwyraźniej to znajduje, bo przysuwa się do mnie jeszcze bliżej i przykładą usta do moich ust.

Opadam na koc. Chase kładzie się na mnie, wciskając między moje uda. Oplatam jego biodra nogami, starając się przyciągnąć go jeszcze bliżej. Jego język zapoznaje się z moim, a nasze wargi plączą się ze sobą w nieskończenie długim pocałunku. W końcu Chase odrywa się ode mnie zdyszany i ściąga koszulkę. Blask ognia oświetla wszystkie linie jego ciała.

Wsuwam końce palców pod krawędź bluzki i nie spuszczaając z niego oczu, unoszę materiał coraz wyżej i wyżej, aż znajduje się nad moją głową, a później ląduje na ziemi. Widzę na twarzy Chase'a znajomą radość z faktu, że nie musiał prosić, bym odsłoniła przed nim część siebie – i pożądanie tak gwałtowne, że promieniuje ciepłem. Sięgam pomiędzy łopatki i rozpinam stanik, a Chase łaskocze opuszkami palców moją skórę, kusząco zsuwając ramiączka.

Tym razem, gdy stoję przed nim naga, a on podziwia moje ciało, zdobywam się na odwagę i nie odwracam wzroku.

Gwałtownie nabiera powietrza, a mięsień w jego szczęce znów zaczyna drgać. Wiem, że toczy bitwę o panowanie nad sobą, ale nie jest pewien zwycięstwa.

– Bardzo się staram być teraz dżentelmenem.

Uznaję, że czas zakończyć walkę – dla nas obojga. Mam dość opierania się przed najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Wsuwam palec za jego pasek i przyciągam go do siebie.

– Nie bądź.

Jego twarz pogrąża się w pożądaniu tak gorącym, że mógłby oskarżyć mnie o podpalenie. Rozpina guzik moich szortów, pochyla się nade mną i otacza wargami mój sutek. Gdy pociąga zębami wrażliwą skórę, wydaje mi się, że zaraz eksploduję od przepływającego przeze mnie wysokiego napięcia. Jest mi tak dobrze. O wiele lepiej, niż kiedykolwiek bym się spodziewała.

– Boże, tak bardzo cię pragnę, Eden – szepce.

Jego słowa są jak tchnienie, jak sen.

– Jestem twoja – mówię. Przeczesuję dłonią jego włosy, a on szybko rozprawia się z resztą naszych ubrań. Spogląda na mnie, jakby sama moja obecność była cudem. – Bierz mnie.

Z jego ust wyrywa się jęk, który milknie, gdy Chase wpija się ustami w moje wargi. Pali mnie każdy skrawek skóry i boję się, że za chwilę stanę w płomieniach. Chase wsuwa we mnie palce, hamując narastający głód. Jego język bada moje żebra, piersi, zagłębienie w szyi. Biodra, bez udziału mojej woli, napierają na jego dłoń, rozpaczliwie starając się znaleźć jak najbliżej niej.

– Chase, potrzebuję cię.

Unosi wzrok, spoglądając na mnie spod ciężkich powiek, i uśmiecha się prowokująco, błyskając zębami.

– Teraz – błagam.

Ta kropla przepętnia czarę i Chase traci kontrolę nad sobą. Skomlę, kiedy wysuwa ze mnie palce, pozostawiając we mnie pustkę i ból pożądania, i szerzej otwieram oczy, gdy z jękiem wkłada je sobie do ust.

Cały jest miękkością i łagodnością – do chwili, gdy we mnie wchodzi. Przyciska mnie mocno do siebie, z każdym agresywnym ruchem bioder wbijając się tak głęboko, że wyrywa się ze mnie krzyk. Chase tłumi go, całując mnie mocno i pochłaniając

powietrze z moich płuc, aż zaczyna mi się wydawać, że to nim oddycham, nie powietrzem.

Jest we mnie i wszędzie wokół mnie. Nie wiem, jak wcześniej mogło mi się wydawać, że żyję – dopiero teraz ożywam pod jego dotykiem. Przejeżdżam paznokciami po jego szerokich plecach, przyciągając go coraz bliżej – ale nigdy dość blisko. Chase sunie szorstkim kciukiem po najczulszym punkcie mojego ciała. Sprawia, że unoszę się coraz wyżej, by w końcu pozwolić mi spaść. Kiedy wydaje mi się, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej, rozpadam się pod nim na milion świetlistych cząsteczek.

– O kurwa, Eden. – Jego mięśnie napinają się pod moim dotykiem. Przyciąga mnie blisko i sam dosięga szczytu.

Oboje powoli opadamy na ziemię i leżymy wtuleni w siebie, przykryci jedynie gwiazdami, które migocą nam nad głowami, oraz warstewką potu. Chase z roztargnieniem obraca w palcach pasemko moich włosów i uśmiecha się do mnie, gdy rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Wodzę palcami po konturach wszystkich zegarów na jego ramieniu, podziwiając obrazy i podłóże, na którym widnieją. Gdy natrafiam opuszkami na godzinę na cyfrowym wyświetlaczu, cały drży.

– Co oznacza dwunasta czternaście? – pytam.

Zmarszczki wokół jego oczu spływają się.

– O tej godzinie przestało bić serce taty.

Nachylam się i przykładam wargi do miejsca, gdzie wcześniej trzymałam palce, całując utrwalone na skórze wspomnienie. Słyszę bicie jego serca, głośne i miarowe, jakby buntowało się przeciw słowom o śmierci. Chase gładzi dłońią moje ramię, chwytając mnie za nadgarstek i unosi pomiędzy nami. Biała blizna zakrzywiona wokół kości odbija migocący blask płomieni.

– Gdybyś chciała, mogłabyś zrobić na niej tatuaż – mówi, przesuając kciukiem po półokrągłym kształcie. – Już teraz wygląda twardzielsko, ale byłby z niej ładny księżyc.

Uśmiecham się mimowolnie. Chase całuje mnie delikatnie, a muśnięcia jego języka na mojej dolnej wardze wystarczają, by ponownie rozniecić ogień w moim podbrzuszu. Unosi głowę i patrzy mi w oczy, by podkreślić wagę swych następných słów.

– Wiem, że wydaje ci się, że nie dasz rady. Ale uwierz mi, Eden...
– Moje imię, wypowiedziane jego ochrypłym głosem jest jak aksamit. Intensywność jego spojrzenia jasno wskazuje, że nie mówi już o tatuażach. – Dasz radę wszystkiemu. A cokolwiek by się działo, będę przy tobie, trzymając cię za rękę.

Rozdział 33

Gdy mama odbiera telefon, nie zaczyna od powitania, którego się spodziewałam. Słyszę w tle gwar i omal nie upuszczam komórki. Nie planowałam konfrontacji z nią w miejscu publicznym, choć szczerze mówiąc, w ogóle nie miałam żadnego planu, a jedynie decyzję, podjętą po tygodniu zmagania ze sobą.

Trzymam jednak telefon mocno w dłoni, z determinacją, którą tak bardzo starałam się w sobie zbudować. Wiem, że nie mogę teraz przerwać, bo ją stracę.

Przytłumionym głosem, jakby zasłaniała dłonią mikrofon, mama mówi do kogoś, że zaraz wróci. Hałas cichnie, słyszę odgłos zamykanych drzwi i szuranie stóp, a potem mama zwraca się już bezpośrednio do mnie.

– Wybacz, jestem dziś na wakacyjnym kółku biblijnym – wyjaśnia.

Zalewają mnie dawno nieprzywoływane wspomnienia zajęć z rękodziela, gier i piosenek o Jezusie śpiewanych w przykościelnej sali. W dzieciństwie były to najlepsze chwile moich wakacji.

Jakaś część mnie, która czuła gniew na matkę, a nie tylko ból, cieszy się, że do rozmowy dojdzie w kościele. To bardzo stosowne. Z dziećmi zapewne został teraz Mark, bo zwykle prowadzą zajęcia razem. Czuję ukłucie litości dla wszystkich rodziców, którzy powierzyli mu swoje pociechy, nieświadomi tego, na jakie niebezpieczeństwo je narażają.

– Jesteś tam? – pyta matka.

Dociera do mnie, że zamyślając się, nie dosłyszałam jej poprzednich słów. Mamroczę coś w odpowiedzi, by dać jej znać, że pozostaję na linii – choć już niedługo.

– Jak się masz, skarbie? Urodziny się udały? – pyta radośnie, w jej głosie nie słychać ani śladu emocji po naszej ostatniej rozmowie.

Nie wiedzieć czemu, rozpala to we mnie gniew. Jak może zachowywać się tak, jakby wszystko było normalnie, skoro nic nie jest – ani teraz, ani już od dawna?

Czuję pierwsze objawy ogarniającej mnie paniki. Zaczynają mi się trząść dłonie. Wdycham zapach wanilii unoszący się z nad świeczki płonącej na stoliku kawowym. Skupiam wzrok na migoczącym płomieniu. Przesuwam ręką po tkanym kocu, owiniętym wokół moich nóg. Przeszywają mnie dreszcze od zimna, które czuję w środku.

– Było świetnie – wyduszam z siebie. – Ella przyjechała.

Albo nie słyszy napięcia w moim głosie, albo postanawia je zignorować.

– To świetnie! Cieszę się, że udało wam się zobaczyć.

Wydobycie z siebie głosu okazuje się trudniejsze, niż myślałam. Żałuję, że nie jestem tchórzliwa jak Mark – wtedy mogłabym napisać to, co mam do powiedzenia, na kartce i podrzucić jej do skrzynki pocztowej jak bombę z opóźnionym zapłonem. Wiem jednak, że nie jestem jak on. Ani jak ona. Przełykam z trudem ślinę, okrywam się odwagą jak za dużym swetrem i mam nadzieję, że uda mi się do niej dorosnąć.

– Powiedziała mi coś ciekawego. – W taką rozmowę nie da się zanurzać powoli. Pozostaje mi zanurkować i ufać, że nadal umiem pływać. – Na temat taty.

– Marka? – pyta, zbita z tropu.

Na sam dźwięk jego imienia czuję, jakby poraził mnie prąd. Kręcę głową, choć nie może mnie zobaczyć. Moje puste mieszkanko pogrąża się w ciszy, jakby wstrzymało oddech w oczekiwaniu.

– Nie. Mojego prawdziwego ojca.

Przez chwilę milczy. Próbuję ją sobie wyobrazić, w schowku albo w łazience w jednej z klas dawnej szkółki niedzielnej, ze ścianami obitymi boazerią i obrazkami z ozdobionymi kwiatami cytatami z Biblii, które mają budzić nadzieję tam, gdzie jej nie ma. Widzę, jak siada na opuszczonej klapie toalety, wahając się, czy chwycić moją przynętę.

– Co z nim? – pyta głosem drżącym z nerwów.

Wyobrażam sobie odległe odbicie moich oczu, spoglądających na wiszący naprzeciwko niej obraz przedstawiający pole lawendy. Pod nim widnieje cytat z Księgi Przysłów. Rozdział trzeci, werset piąty.

„Nie polegaj na swoim rozsądku”. Nawet gdy każe ci on uciekać.

– Powiedziała, że to on cię zostawił, gdy okazało się, że jesteś ze mną w ciąży – mówię, i ze zdziwieniem słyszę w moim głosie nie urazę, a desperację.

Chcę, by powiedziała mi, że się mylę. Że to wszystko pomyłka. Nie robi tego jednak. Zachowuje uroczystą ciszę.

– Mamo? – mówię piskliwym, dziecięcym głosem. Muszę spojrzeć na siebie, by się upewnić, że jednak jestem dorosła. Po drugiej stronie nadal słyszę jedynie urywany, dławiący się oddech. – Mamo, czy to prawda? Nie potrafiłaś odejść od człowieka, który tak cię traktował? Który krzywdził Ellę?

– Eden, to nie jest takie proste.

Błyskawicznie rozpoznaję jej ton. Tak samo brzmiała wcześniej, gdy wytykała mi gorycz. Sugeruje, że nie wiem, o czym mówię.

Jej ton to znak ostrzegawczy, każący mi zawrócić. Mam jednak dość zawracania. Dość błagania matki, by pokochała mnie tak mocno, jak tego potrzebuję. Dość prób zrozumienia, dlaczego nie jest w stanie tego zrobić.

Wszystkie słowa, które dusiłam w sobie od miesięcy, nagle wyrrywają się na wolność. Nie mam siły dłużej ich powstrzymywać, więc nawet nie próbuję. Po prostu wyrzucam je z siebie.

– To jest takie proste – warczę. Nie da się inaczej opisać zwierzęcych emocji w moim głosie. – To ty wydałaś nas na świat. To ty powinnaś nas chronić! Wiem, że nie da się zapobiec każdej tragedii, ale ty miałaś szansę wszystko naprawić. Dwa razy. I za każdym z nich przedkładałaś mężczyznę nad córki, które ponosiły konsekwencje twoich błędnych decyzji.

– Eden, ja...

– Nie. To koniec. Koniec wysłuchiwania twoich wymówek. – Gorące łzy płyną mi strumieniami po policzkach, ale mimo tej powodzi mówię dalej, drżącym głosem. – Mamo, kocham cię całym sercem, ale nie mogę tak dłużej. Nie mogę mieć w swoim życiu kogoś, kto tylko mnie rani.

– Nie musisz się z nim widywać – wtrąca, rozpaczliwe chwytając się resztek świata, który wokół nas rozpada się na kawałki. – Może zostać w domu albo nocować w hotelu. Nie będziesz więcej musiała się z nim spotykać, obiecuję.

– To nie wystarczy! – krzyczę, z trudem łapiąc oddech przez grubą kurtynę łez i śluzu z nosa. Mała część mnie kuli się w zakątku mojego umysłu i muszę wytężyć słuch, by rozumieć, jak poprawia mnie szeptem: „Ja nie wystarczę”

– Co ty opowiadasz? – pyta. Przyparta do muru, bez możliwości ucieczki, broni się przez atak. Część mnie, którą faktycznie ogarnęła

gorycz, czuje się wdzięczna, że matka może zaznać tego uczucia. – To moje życie. Mój mąż. Czego ode mnie oczekujesz?

Oto pytanie za milion. Co ma zrobić, postawiona w sytuacji bez wyjścia? Nie wiem, czy ktokolwiek zna odpowiedź, ale ja udzielam najlepszej, na jaką mnie stać. I jedynej.

– Odejdź od niego. Pokochaj siebie i swoje córki na tyle, by wymagać od życia więcej. Wyjdź i nie oglądaj się za siebie.

Zaciskam w palcach skrawek koca, przytulam do piersi i trzymam się go kurczowo. Nagle znów staję się dzieckiem na rowerze, od którego właśnie odkręcono boczne kółka. Mama stoi niemożliwie daleko, ale prosi, bym jej zaufała. „Po prostu naciskaj stopami na pedały”, zachęca, jakby to było takie proste. „Wystarczy, że do mnie dojedziesz”

Teraz to ja stoję na końcu drogi i błagam, by odważyła się spróbować. By pedałowiała jak najmocniej, jak najszybciej, wkładając w to wszystkie swoje siły.

– Nie mogę tego zrobić – mówi przez łzy, jej głos drży.

– Owszem, możesz. – Ocieram twarz kocem, bo nic innego nie mam pod ręką. Gdy go odsuwam, jest przesiąknięty łzami. – Zamieszkać ze mną. Albo z Ellą. Pozwól, żebyśmy się tobą zaopiekowały, aż znów będziesz w stanie sama o siebie zadbać. Pomożemy ci.

Przerzucam słowa mojego ultimatum jak most pomiędzy nami.

– Mamo, on jest drapieżcą. I już zawsze nim będzie. Każda z nas, również ty, zasługuje na coś lepszego. Musisz od niego odejść.

To prawda – jak wszystko, co mam do powiedzenia. Mijają sekundy, potem minuty, i przez chwilę wydaje mi się, że matka się rozłączyła. W końcu jednak słyszę w słuchawce jej głos, cichy i przepełniony żalem.

– Nie zrobię tego.

Jednym krótkim zdaniem podkłada ogień pod most, który spala się doszczętnie.

Świat wokół mnie pogrąża się w ciemnościach, wszystko odpływa, aż zostaje tylko ja, telefon i głos w słuchawce, brzęący tak, jakby należał do osoby, którą kochałam kiedyś nad życie. Myślę jednak, że to niemożliwe. Przecież matka, którą wydawało mi się, że znałam, nigdy nie wybrałaby mężczyzny kosztem własnego dziecka.

W nieznośnie ciężkiej ciszy wyobrażam sobie, jak drżą jej wargi – jak zawsze, gdy jest wytracona z równowagi. Jak patrzy na przeciwległą ścianę sali i wiszący na niej obraz z burzową chmurą, rzucającą cień na pole. Poniżej widnieje starannie wykaligrafowany mój ulubiony werset z Biblii. „Jezus zapłakał”

Ja też płaczę, gdy biorę w dłonie własne serce i miażdżę je, wypowiadając słowa, które wypowiedzieć muszę, choć wiem, że mnie to zabije.

– Skoro tak, kocham cię i życzę ci jak najlepiej. Ale nie mogę więcej z tobą rozmawiać.

Czuję jej szok, płynący falami, i niemal się poddaję. Wiem jednak, że nie mogę sobie pozwolić na zawahanie. Zapieram się w miejscu i trzymam bardzo mocno.

– Eden, nie rób tego. Na litość boską, jestem twoją matką.

– Wiem. – To właśnie przez ten prosty fakt muszę zrobić to, co robię. A skoro ona tego nie rozumie, jest to tym bardziej konieczne. – A ja jestem twoją córką.

Odkładam słuchawkę.

Rozdział 34

Gdy wjeżdżamy ze żwiru na asfalt, w końcu odrywa spojrzenie od wstecznego lusterka. Siedzimy razem, pogrążone w ciszy, bez dźwięków radia ani rozmów, które mogłyby oderwać nas od naszych myśli. Mam w głowie jednocześnie pustkę i przytłaczający chaos – w moim mózgu dzieje się tyle rzeczy naraz, że nie jestem w stanie za nimi nadążyć.

Main Street, biegnącą przez centrum Ardmore, zdobią świąteczne dekoracje. Dzwonki i wieńce z ostrokrzewu zwieszają się z linii wysokiego napięcia. Ulice nie są odśnieżone i widzę, jak mama kurczowo zaciska dłonie na kierownicy, aby utrzymać panowanie nad samochodem – i nad sobą.

Mijamy rzędy przytulonych do siebie zabytkowych ceglanych budynków i powoli wjeżdżamy do nowszej części miasta. Witryny barów szybkiej obsługi są pogrążone w ciemności. Pracownicy siedzą w domach z bliskimi. Świat się budzi, wkrótce wszyscy zaczną otwierać prezenty.

Kremowy budynek z zielonym blaszanym dachem, który, jak zakładałam, stanowi cel naszej podróży, zbliża się z naszej lewej strony – zbyt szybko. Mama w ogóle nie zdejmuje nogi z gazu i przejeżdżamy obok niego z taką prędkością, że obryzgujemy błotem pośniegowym zaparkowane z przodu radiowozy.

– Nie jedziemy na posterunek? – pytam głosem chrapliwym od łez, które stoją mi w gardle.

Mama szybko zerka w lusterko wsteczne i znów skupia wzrok na drodze. Na jej posępnej twarzy nie widać żadnych emocji.

– A co niby zrobią? – pyta drwiąco bardziej siebie niż mnie. – Pogrożą mi paluszkami za podglądactwo? Zresztą, zdjęć i tak już nie ma.

Gdy uświadamiam sobie ten fakt, żołądek zaciska mi się w supeł. Wszystkie dowody spłonęły, podobnie jak moja wizja świata jako bezpiecznego miejsca. Boję się, że ból znów przerwie tamy, i zapadam się w sobie, oddzielając się od własnego umysłu, by uniknąć cierpienia.

– Nie potrzebujemy nikogo więcej, skarbie – stwierdza mama, zerkając na mnie, i skręca w drogę międzystanową wiodącą na północ, do Nashville. Ten odcinek został odśnieżony, więc może się rozpędzić. – Jesteśmy tylko ty i ja.

W żaden sposób nie sygnalizuję, że przyjmę jej słowa do wiadomości. Wyglądam przez okno, wpatrując się w migocące drzewa i rozpaczliwie starając się zatonać we śnie. Kiedy w końcu zamykam opuchnięte oczy, przenoszę się do budynku, który mój umysł przedstawia jako dom rodzinny, choć nie wygląda znajomo. Labirynty korytarzy prowadzących do niezliczonych pustych pokoi rozgałęziają się we wszystkich kierunkach. Przebiegam przez kolejne pomieszczenia w poszukiwaniu matki. Słyszę głos Marka, który parzy mnie w uszy. Czuję się tak, jakby zaciśnięte

pięści wyciskały mi powietrze z płuc. Nie daję rady dłużej biec. Gdy jego stwardniała dłoń chwyta mnie za ramię i obraca przodem do niego, gwałtownie się budzę.

– Eden, jesteśmy na miejscu – mówi mama, odgarniając mi z czoła zmierzwioną grzywkę, jak w dzieciństwie, gdy dręczyła mnie gorączka. Rozglądam się i rozpoznaję swoje osiedle. Zauważam, że mama zaparkowała na moim miejscu, i dociera do mnie, że zostawiłam u niej swój samochód. Drzę na myśl, że będę musiała po niego wrócić, resztki lęku ze snu pełzną mi po karku.

Drżącymi dłońmi pociągam za klamkę i chwytam leżącą pod moimi nogami niewielką walizkę. Mama wysiada i zabiera z tylnego siedzenia torbę podróżną, której nie zauważyłam podczas naszego pospiesznego odjazdu. W ciszy wchodzimy po schodach. Obie poruszamy się, jakbyśmy szły w bród przez wodę. Gdy wchodzimy do mojego mieszkania, znajome otoczenie nie dodaje mi otuchy. Czuję się jak intruz, jak niechciany przybysz we własnym życiu.

– Wezmę prysznic – mówi mama, nie patrząc na mnie, i cicho rusza do sypialni dla gości na końcu korytarza. Przyglądam się, jak rzuca torbę na łóżko, a po chwili znika za zamykającymi się drzwiami.

Nagle uświadamiam sobie, jak ohydnie się czuję, wewnątrz i na zewnątrz. Biorę przykład z mamy, wlokę się do swojej sypialni i zamykam za sobą drzwi. Rzucam walizkę na podłogę tuż przed progiem łazienki i odkręcam do oporu kurek z gorącą wodą, aż spod prysznica zaczyna buchać para. Mieszkam sama, więc nigdy nie przyszło mi do głowy zamykać się podczas kąpieli, tym razem jednak to robię. Jeżą mi się włosy na karku, przesywa mnie dreszcz. Przyglądam się zbyt szerokiej szparze pod drzwiami i widzę Marka, rozciągniętego na podłodze po drugiej stronie, z aparatem przytkniętym do szczeliny. Zaczynają mi się trząść ręce.

Chwytam wiszącą na drzwiach ręcznik i wpycham go w szparę. Powoli wypuszczam przez zęby wstrzymywane powietrze. Zadowolona z efektu, zdejmuję ubrania, wchodzę pod prysznic i szoruję się, aż na mojej skórze pojawiają się otarcia.

* * *

– Nie masz tu nic do jedzenia – słyszę głos mamy odbijający się echem z wnętrza pustej lodówki. Kończę zaplatać wilgotne włosy w warkocz, związuję je gumką, którą miałam na nadgarstku, i opieram dłonie na kuchennym blacie, by złagodzić skurcze.

– Na swoją obronę mogę powiedzieć, że miało mnie nie być przez kilka dni, a nie chciałam, żeby coś się zepsuło.

Moje słowa przypominają nam obu, dlaczego się tu znalazłyśmy. Widzę, jak mamie sztywnieją ramiona, gdy się prostuje, a drzwi lodówki się domykają. Czuję się całkowicie wyczerpana, jakbym właśnie przebiegła emocjonalny maraton. Burczy mi w brzuchu, ale spokojnie mogłabym to zignorować i iść spać, choć obawiam się wrócić do tamtego snu.

Mama zagląda do spiżarni i wydyma wargi. Znajduje zupę pomidorową i kilka kromek czerstwego chleba, jest też pudełko mieszanki na naleśniki, ale brakuje syropu klonowego. Pracuję tak dużo, że rzadko mam czas gotować, żywię się resztkami z posiłków, które obsługuję w hotelu, ale nie mam w tej chwili siły się bronić, więc pozwalam mamie kontynuować bezowocne poszukiwania.

– W święta wszystkie restauracje są zamknięte. – Mama myśli na głos. Coraz mocniej opieram się na dłoniach, łokcie ledwo mnie utrzymują. Chcę się poddać

depresji, która czai się na skraju mojej świadomości jak stado rekinów krążących wokół upatrzonej ofiary. Chcę płakać i krzyżeć, wytykając światu wszystkie niesprawiedliwości. W tej chwili mam gdzieś kolację.

Mama unosi brwi, jakby właśnie wpadła na pomysł.

– Założę się, że ta chińska knajpa niedaleko będzie otwarta.

Bez przekonania wzruszam ramionami. Mama w końcu na mnie patrzy i jej wzrok łagodnieje. Podchodzi do stołka barowego, na którym siedzę, oplata mnie rękami w talii i przyciska do siebie. Niewiele brakuje, by tama, którą zbudowałam podczas jazdy, zawaliła się, uwalniając powstrzymywane łzy. Jednak mama cofa się, pozostawiając mnie na pastwę zimna i samotności, nim udaje jej się zbyt mocno naruszyć tę konstrukcję.

– Skarbie, skoczyłabyś po coś do jedzenia? Ja chyba nie dam teraz rady stanąć z nikim twarzą w twarz – mówi żałośnie, a mi przypomina się obraz jej przerażonego oblicza oświetlonego blaskiem ognia. Wszystko we mnie krzyczy w sprzeczanie, ale kiwam głową.

– Dziękuję, Eden. Weź mi to, co sama zwykle zamawiasz – stwierdza. Przyciąga mnie do siebie i całuje w czoło. Widok jej drżącej dolnej wargi dodaje mi siły, by wstać, wziąć kluczyki i zejść na dół, do jej samochodu.

Gdy otwieram drzwi „China One”, odzywa się dzwonek, a kobieta zgarbiona za ladą na stołku barowym aż wyskakuje z za kasy. W kuchni za jej plecami gra muzyka, a dwaj mężczyźni rozmawiają, gotując. W jednym z boksów, obitych tym samym materiałem jeszcze od lat osiemdziesiątych, siedzi ojciec z dwójką maluchów. Ledwie zerka na mnie, gdy przechodzę, zajęty obiema rozgadanyimi dziewczynkami.

Kasjerka ma grube atramentowoczarne włosy, opadające prostą linią za ramiona. Uśmiecha się uprzejmie, gdy składam swoje zamówienie.

– Dwa razy kurczak w pomarańczach z ryżem smażonym! – wrzeszczy przez ramię. Jedyne odpowiedzią jest chrząknięcie jednego z kucharzy. Płacę, podpisuję rachunek, zgniatam w pięści swój egzemplarz i siadam w pustym boksie.

Kasjerka wraca do lektury trzymanej na kolanach książki w sfatygowanej miękkiej oprawie. Po drugiej stronie sali ojciec wbija wzrok w telefon, próbując zignorować pytania starszej córki o logistykę Świętego Mikołaja. Świat wciąż się kręci, ale ja mam wrażenie, jakbym z niego wypadła. Czuję się surrealistycznie, mijając innych ludzi. Całe moje życie legło w gruzach, a nikt z nich nie dostrzega neonu na moim czole, wyświetlającego rozpaczliwą prośbę o pomoc.

Kiedy wracam do mieszkania, mama siedzi wciśnięta w róg kanapy i rozmawia przez telefon, płacząc bezgłośnie. Gdy stawiam na stole brązową papierową torbę i wykładam jej zawartość na dwa talerze, podnosi na mnie wzrok.

– Muszę kończyć, Ell. Eden właśnie wróciła z jedzeniem. Nic jej nie jest. Mnie też nie. Zadzwoń później – mówi.

Odkłada słuchawkę i z wymuszonym uśmiechem ociera oczy. Pochylam głowę i udaję, że tego nie zauważam i że, tak jak stwierdziła, nic mi nie jest.

Mama zasypia, nim słońce chowa się za horyzontem. Zoey, która przyleciała na święta do rodziców, wyjaśnia im, że ze względu na kryzys rodzinny nie będziemy mogły, jak co roku, zjeść z nimi świątecznej kolacji, a zaraz po posiłku rusza w drogę do Nashville. Dociera na moje osiedle tuż po dziewiątej. Siedząc u szczytu schodów, przyglądam się, jak parkuje.

Gdy tylko mnie dostrzega, rusza biegiem, przeskakując po dwa stopnie. Siada obok mnie i przyciąga do siebie, gdy zaczynam tonąć we łzach, wreszcie pozwalając, by ból

szarpał mną jak trzęsienie ziemi. Przeczekuje burzę, słuchając, kiedy chcę mówić, i mówiąc, gdy zaczyna brakować mi słów. Później zbuduję mury i stracę zdolność do rozmowy na ten temat. Na razie krwawię jak otwarta rana, a moja przyjaciółka robi wszystko, co w jej mocy, by utrzymać mnie przy życiu.

Czas mija jak we mgle. Kupuję go nieco więcej, zgłaszając w pracy, że mam grypę. Zoey przed powrotem do Kolorado błaga, bym pojechała z nią. Mówię, że nie mogę zostawić mamy. We dwie snujemy się bez celu po mieszkaniu, mijając się jak statki podczas nocnego rejsu. Ella robi nam zakupy z dostawą do domu, żebym nie musiała znów wychodzić. Żadna z nas nie wie, co dalej, więc tkwimy w miejscu.

Dwa dni po świętach wpada do nas jedna ze znajomych mamy z kościoła. We dwie siedzą na kanapie, trzymając w dłoniach kubki z kawą, której żadna z nich nie tyka. Przyglądam im się z kuchni, zmywając po śniadaniu. Rozmawiają o prawnikach rozwodowych i o tym, kto zatrzyma dom, myśląc, że nie słyszę ich przyciszonych głosów. Mama Łka mimowolnie i przykłada do nosa zmiętą chusteczkę. Cheryl – o ile dobrze pamiętam, tak ma na imię – wyciąga rękę i poklepuje ją po kolanie. Nigdy nie widziałam, żeby mama tyle płakała, i boli mnie to tak bardzo, że mam nerwy jak postronki. Od wyjazdu Zoey zmuszam się, żeby się nie rozklejać. Choć sama bardzo cierpię, nie chcę przysparzać jej bólu.

– Nie rozumiem, jak mógł to zrobić – szlocha mama.

– Ja też nie – przyznaje Cheryl. Ma mocny południowy akcent, przez który każde słowo, jakie wypowiada, wydaje się dwa razy dłuższe, oraz farbowane domowym sposobem włosy, natapirowane tak mocno, że w razie upadku mogłyby zastąpić kask. – Nigdy nie zrozumieję, dlaczego mężczyźni zamieniają się w zbrojniców przy ładnych, młodych dziewczynach.

Rzuca mi znaczące spojrzenie, pod ciężarem którego mimowolnie się krzywię. Wiem, że stara się tylko pocieszyć mamę, ale za bardzo brzmi to jak próba zrzucenia na mnie winy. Wstyd rozgaszca się w moim sercu, powoli przesączając się żyłami po całym ciele, aż trucizna staje się częścią mnie.

Po tygodniu mój szef żąda zwolnienia lekarskiego, którego nie mam. Mówię mamie, że muszę wracać do pracy, a następnego dnia, gdy wychodzę z sypialni, zastaję ją przy drzwiach z torbą w ręku.

– Dokąd się wybierasz? – pytam, patrząc to na nią, to na trzymany przez nią bagaż, i próbując zrozumieć, co się dzieje.

– Podrzucę cię do pracy i pojedę do domu. Mama Zoey wróci ze mną po południu odstawić twój samochód, więc będę miała się z kim zabrać.

Bezwiednie kręcę głową.

– O czym ty mówisz? Nie możesz tam wrócić.

Próbuje posłać mi uśmiech, ale wygląda on drwiąco. Jej fasada jest cienka, widzę przez nią na wylot. Po drugiej stronie dostrzegam lęk.

– Muszę. Trzeba uporządkować różne sprawy, spotkać się z prawnikiem, zdecydować, co dalej – wyjaśnia. – I czeka na mnie praca w kościele.

Podchodzę do niej i chwytam ją za rękę. Jest lepka od potu.

– Nie jedź. Ogarniemy wszystko stąd. Pastor to zrozumie.

Przygryza wargę tak mocno, aż pokazuje się na niej maleńka kropla krwi. Mama ściera ją językiem. Nagle czuję się bardzo krucha, jakby wszystkie emocje, które tłumiłam przez ostatnich kilka dni, teraz uderzały we mnie jednocześnie.

– Nie zostawiaj mnie, mamo.

– Dasz sobie radę. – Oplata mnie ramionami, ściska mocno i nagle zamieniam się w dziecko rozpaczliwie pragnące matczynej pociechy. – W każdej chwili możesz do mnie zadzwonić.

Czuję, jak zaczyna się ode mnie oddalać na długo przed tym, zanim wypuszcza mnie z objęć.

– To chyba wszystko.

Stephen zaciska wargi, dając mi czas na dojście do siebie i otarcie łez. Nie chcę ich dłużej powstrzymywać, przestałam widzieć w nich oznakę słabości. Pozwalam im płynąć, a gdy płacz ustaje, osuszam twarz.

– A później? Co dalej? – pyta mój terapeuta.

Pociągam nosem, niepewna, co ma na myśli.

– Hmm, wróciłam do pracy. Po kilku tygodniach lekarz skierował mnie do ciebie – odpowiadam. Dostrzega moją dezorientację, ale zachowuje stoicki spokój, gdy rozpaczliwie szukam odpowiedzi. – Nie wiem, co jeszcze chcesz usłyszeć. To koniec mojej opowieści.

Pokazuję mu stronę z nagryzmołonych przez ostatnich kilka miesięcy notatek i rysuję pod tekstem grubą kreskę dla podkreślenia własnych słów.

– Tak, to koniec tej opowieści – przytakuje.

Wiem, że stara się mnie na coś naprowadzić, ale jestem zbyt zmęczona, by za nim podążyć, więc zapieram się w miejscu i czekam, aż powie, o co mu chodzi. Kąciki jego ust unoszą się, znikając pod brodą, którą zapuszcza.

– Ale twoja historia się nie skończyła. Ani twoje życie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Po całym zajściu naprawdę czułam się tak, jakby wszystko dobiegło końca.

– Eden, najważniejszą częścią naszej historii nie są najgorsze rzeczy, jakie nas spotkały, a to, co dzieje się później. Tylko istoty ludzkie wykazują się imponującą wytrwałością, która pozwala im

podnieść się po tragedii i pięknie przeżywać życie mimo wszelkich jego niedoskonałości.

Myślę o wspaniałych chwilach, które spotkały mnie od tamtego dnia – chwilach, których nie miałabym szansy przeżyć, gdyby trauma nie zadziałała jak katalizator, pchając mnie w ich stronę. Pozwalam sobie na refleksję, że Stephen ma rację. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek poczuła wdzięczność do Marka za to, co zrobił, ale jestem dumna z siebie i tego, co sama zrobiłam później. Dumna z faktu, że otoczyłam się tak wieloma cudownymi osobami, które kochają mnie jak członka rodziny. A nawet bardziej.

– To co dalej? – pyta ponownie Stephen.

Wybucham śmiechem i odpowiadam:

– Cóż, dziś w końcu oblewamy nową nazwę baru.

Tego poranka dotarł szyld. Zoey pochwaliła mi się rano przed sesją i przesłała zdjęcie surowych czarnych liter ozdobionych gdzieś jaskrawymi geometrycznymi kształtami. Napis „Nomads” wygląda zarazem modnie i gościnnie, dokładnie tak, jak chciała. Jak wyjaśnia: „To miejsce dla dziwaków i wędrowców”.

– Przez cały ten czas bar nie miał nazwy? – pyta z niedowierzaniem Stephen, potem kręci głową i macha ręką, jakby odsuwał to pytanie na bok. – Nieważne, nie o to chodzi. Liczy się to, co dalej z twoją przyszłością. Jakie wspaniałe życie zbudujesz?

Uśmiecham się do niego i wreszcie spełniam jego prośbę. Na chwilę pozwalam przeszłości odpłynąć i skupiam się na całym dobru, jakie mam jeszcze przed sobą. Zamykam oczy i natychmiast pod moimi powiekami pojawia się Chase.

Rozdział 35

Rok później

Tętno ogłuszająco dudni mi w uszach. Skupiam się na głębokich, drżących oddechach, by uspokoić rozszalałe serce, i widzę, jak w chłodnym powietrzu z moich ust wydobywa się para przypominająca dym. Stąпам naprzód, noga za nogą, choć protestują przeciwko temu wszystkie mięśnie. Wbijam wzrok w tył głowy Chase'a, który idzie przed siebie pewnym krokiem, z energią, której mnie już zabrakło. Z góry wiem, co odpowie, ale uznaję, że mimo wszystko warto spróbować.

– Chase, może zrobilibyśmy jeszcze jedną krótką przerwę? Penny ledwo żyje.

Penny nadstawia uszu na dźwięk swego imienia. Patrząc w jej pełne wyrazu brązowe oczy, takie same jak u jej ojca. Nawet nie próbuje udawać, żeby mi pomóc – nadal skacze radośnie z niespożytą energią.

Kiedy wiosną przyszedł na świat miot szczeniąt, których ojcem był Otter, pracownik miesiąca przez okrągły rok, Chase nie mógł się oprzeć urokowi Penny i wziął ją do siebie. Przesuwam dłonią po puszystej miedzianej sierści suczki, ciemniejszej, niż widywałam dotąd u większości golden retrieverów. Cóż mogę powiedzieć? Chase ma słabość do rudzielców.

Teraz jednak rzuca mi przez ramię rozbawiony uśmiech, który ma znaczyć dokładnie to, co podejrzewałam: nie da się nabrać.

– Eden, jesteśmy prawie na miejscu. Nie możemy się teraz poddać.

Jęczę i w geście udawanej rozpaczyny odchylam głowę. Skoro nie mam szans, by zrezygnować, sięgam do najgłębszych rezerw determinacji. Wyruszyliśmy tuż przed świtem, a na początku szlaku oświetlaliśmy sobie drogę czołówkami. Po piątej przerwie, mniej niż godzinę temu, Chase zaczął kipieć nerwową energią i spieszyć się na szczyt. Penny energicznie wybiega przede mnie i wtula pysk w jego dłoń, a gdy on drapie jej kędzierzawą sierść za uchem, wysuwa język.

Kiedy czuję już, że serce zaraz pęknie mi z wysiłku, docieramy na grzbiet wzgórza, po którym się wspinaliśmy, i staje mi przed oczami cel naszej wędrówki: surowy szary szczyt, odcinający się od błękitnego nieba. Ostrożnie stawiam kroki na pokruszonych gładkach, ze znacznie mniejszą gracją niż moi towarzysze. Spoglądam w dół, na swoje dobrze już rozchodzone buty. Pomarańczową wyściółkę pokrywa gruba warstwa pyłu. Zmuszam się, by przeć naprzód, z oczyma utkwionymi w wierzchołek.

W oddali widzę dwoje turystów, którzy już do niego dotarli. Jeśli wierzyć słowom Chase'a, to i tak nieźle, bo z uwagi na ukształtowanie terenu, to jedna z najpopularniejszych tras w Kolorado. Nie ulegam pokusie, by poczuć z tego powodu urazę. Nieważne, czy dla innych to drobnostka – liczy się to, że ja mam sprostać wyzwaniu.

Choć wszystkie ścięgna w nogach krzyczą, bym odpuściła, z wysiłkiem pokonuję ostatnie metry. Chase w towarzystwie Penny wbiega przede mną. Czuję się zdezorientowana do chwili, gdy wyciąga z plecaka aparat i odwraca się, by zrobić mi zdjęcie,

gdy zdobywam szczyt. Szczerzy się triumfalnie od ucha do ucha i wiem, że mam na twarzy taki sam uśmiech.

Krzyczę z radości i wyrzucam w górę zaciśnięte pięści. Czuję, jak ulga ogarnia moje wyczerpane kończyny.

– Udało mi się! – Spoglądam Chase’owi w oczy. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Ja zawsze wiedziałem, że dasz radę – stwierdza.

Penny wyczuwa ogarniające nas radosne podniecenie, podskakuje i opiera łapy na moich biodrach. Przytulam ją i zanurzam palce w gęstym futrze na jej karku. Nabieram haust chłodnego, rozrzedzonego powietrza i rozkoszuję się widokiem roztaczającym się u moich stóp. Choć niżej wciąż jeszcze trwa lato, tutaj panuje taki chłód, że dygocę, choć mam na sobie kurtkę. W zmęczonych oczach stają mi łzy. Przebywanie na takiej wysokości naprawdę zapiera dech w piersiach.

Przez całe moje życie, ze względu na swój lęk wysokości, mama unikała towarzyszenia nam w miejscach, gdzie musiałaby stawić mu czoła. Stojąc twardo na ziemi, przyglądała się, jak pokonywałam trasę w parku linowym podczas kościelnej wycieczki lub zjeżdżałam tyrolką między drzewami w czasie rodzinnych wakacji. Stało się naszą tradycją, że zabierałam ze sobą aparat i robiłam zdjęcia z wysoka, aby mogła chociaż w ten sposób podziwiać widoki, których lęk nie pozwalał jej zobaczyć na własne oczy.

Teraz, stojąc na szczycie, biorę aparat z rąk Chase’a, który szuka czegoś w plecaku. Fotografuję pasma górskie wijące się w oddali i wiecznie zielone doliny poniżej. Robię nawet zbliżenie na porzucony kartonowy znak, który utkwiał między skałami kilka metrów na prawo ode mnie. Rozlega się dźwięk migawki i powstaje kolejne zdjęcie, którego nie będę mogła jej pokazać.

Ostrożnie kroczę po nierównej ścieżce i przykucam, by chwycić zniszczony wiatrem i deszczem karton. Grubym czarnym markerem wypisano na nim nazwę Quandary Peak, a poniżej wysokość: cztery tysiące trzysta pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Mój pierwszy czterotysięcznik.

Odwracam się, by pokazać Chase'owi znalezisko, i ze zdumieniem odkrywam, że jest tuż za mną, choć nie słyszałam, jak się zbliżał, a w dodatku przykląkł na jedno kolano. Początkowo wydaje mi się, że wiąże sznurowadła – ale spogląda na mnie i otwiera bordowe aksamitne pudełeczko, które trzyma w dłoni. Moje serce zatrzymuje się na chwilę, gdy olśniewający pierścionek z brylantem zaczyna migotać w południowym słońcu.

– Chase, co...

– Eden – przerywa mi i chwyta moją drżącą dłoń.

Penny przestaje dreptać i przygląda się nam, jakby nawet ona wyczuwała powagę chwili. Kątem oka dostrzegam, jak jedno z turystów wyciąga aparat i robi nam zdjęcie. Wyteżam wzrok i ze zdumieniem rozpoznaję Zoey i Aarona. Ona macha do mnie z uśmiechem, ale on zaraz otacza ją ramieniem i obraca, by dać nam nieco prywatności. Chase podąża wzrokiem za moim spojrzeniem i parska śmiechem na widok ich przepychanki.

– Pomyślałem, że w takiej chwili będziesz chciała mieć przy sobie najlepszą przyjaciółkę.

Fakt, że Chase'owi udało się namówić Zoey do wyprawy na ten szczyt, szokuje mnie w niemal równym stopniu, co pierścionek w jego dłoni. Patrząc na tamtych dwoje i mój szeroki uśmiech rozciąga się jeszcze bardziej. Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że to Aaron oświadczy się pierwszy, bo jest w oczywisty sposób zakochany w Zoey, ale ona najwyraźniej skutecznie stawia opór. Fakt, że mam ją u swego boku w najlepszym dniu mojego życia,

tak jak przedtem w wielu najgorszych, jest jak wisienka na torcie. Słyszę jej śmiech, gdy próbuje się oswobodzić z uścisku, i znów spoglądam na Chase'a. Aaron niedługo zdobędzie swą ukochaną, jeśli nauczył się czegokolwiek od przyjaciela.

Chase patrzy na mnie, a na jego twarzy maluje się najbardziej promienna radość, jaką w życiu widziałam. Jak zwykle w jego obecności, czuję ciepło rozchodzące się od środka, jakby słońce świeciło tylko dla mnie. Liczę piegi na jego policzkach, zaczerwienionych od silnego wiatru. Przygryzam dolną wargę, starając się powstrzymać łzy.

– Od chwili, gdy się poznaliśmy, chciałem... nie, musiałem... lepiej cię poznać. Byłaś zadziorna, zamyślona, zapierająca dech w piersiach. Nie mogłem się od ciebie oderwać.

Z moich ust wyrывa się nerwowy chichot, gdy przypominam sobie siebie podczas naszego pierwszego spotkania, niewyspaną i niepewną świata ani swojego miejsca w nim. Pamiętam, jak przebojowy wydawał mi się Chase tamtego dnia i jak podczas każdego kolejnego spotkania uczyłam się od niego nowych, cudownych rzeczy.

– A potem, gdy cię poznałem, okazałaś się jeszcze wspanialsza, niż potrafiłbym to sobie wyobrazić. Jesteś zażarcie, do bólu, lojalna. Dostrzegasz piękno w tym wszystkim – unosi podbródek (który, jak widzę, lekko drży) – i we mnie. Kochasz całą sobą i mam wielkie szczęście, że zdecydowałaś się pokochać właśnie mnie.

Nie mogę powstrzymać łez radości, ulgi i nadziei na przyszłość, z której niemal już zdążyłam zrezygnować, gdy w maju zeszłego roku zatrzymałam się przed „Nomads”. Chase jest taki dobry, zapewne zbyt dobry dla mnie – a jednak wybrał właśnie mnie, z całą moją paskudną przeszłością i piękną terażniejszością, i chce

dołączyć do mnie na niekończącej się drodze do nie tylko zdrowienia, ale też rozkwitu.

– Dlatego, Eden Ross, czy uczynisz mi ten zaszczyt i sprawisz, by moje życie stało się najlepsze, jakie może być, zostając moją żoną?

Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić moje uczucia, więc tylko kiwam głową. Czuję, jak moje serce rośnie poza granice mojej klatki piersiowej, rozszerzając się we wszystkie strony, aż obejmuje cały ten szczyt i wszystkich na nim obecnych, aby nosić ich w sobie na zawsze.

Chase powoli wsuwa mi złoty pierścionek na palec, aż do nasady, gdzie pasuje idealnie. Nie daję mu jednak szansy wstać – sama padam na kolana, a mój narzeczony przyciąga mnie do siebie. Jego usta odnajdują moje i czuję smak słonych łez, otwartej przestrzeni i czegoś w niewytłumaczalny sposób kojarzącego się z Chase'em, który obezwładnia moje zmysły. Czas zastyga w miejscu, a ja jestem zawieszona w tej chwili – i podejrzewam, że część mnie pozostanie w niej taka na zawsze.

W tle słyszę wiwaty Aarona i Zoey. Penny nie chce dłużej stać z boku i podbiega do nas. Zagarniamy ją, dopełniając kręgu. Chase chwytą moje dłonie, podziwiając swoje dzieło. Pierścionek wydaje się zbyt piękny dla kogoś takiego jak ja, ale postanawiam sprostać wyzwaniu, zamiast przed nim uciekać. Mój narzeczony instynktownie sięga kciukiem do nadgarstka mojej drugiej ręki i jak zwykle gładzi pomarszczony półkolisty kształt. Pozwalam sobie zerknąć na warstwę czarnego tuszu pokrywającą miejsce, gdzie kiedyś widniała biała blizna. Chase wodzi palcem po konturach zakrywającej ją cząstki cytryny. Gdy przyciska wargi do tatuażu, nie mam już wrażenia, że dotyka śladów po tym, ile

wycierpiałam – przypomina mi za to, ile pracy włożyłam w osłodzenie sobie gorzkiej życiowej sytuacji.

– Zostanę panią Eden Taylor – mówię rozemocjonowana.

Adrenalina i napięcie sprawiają, że moje słowa są jak bańki, unoszące się w powietrzu między nami. W kącikach bursztynowych oczu Chase’a pojawiają się zmarszczki. Mój narzeczony całuje mnie w skroń.

– Pani Taylor – mówi, bardziej do siebie niż do mnie, i patrzy za horyzont, skupiając wzrok na jakimś oddalonym punkcie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo moja mama się cieszy, że będziecie obie nosić ten tytuł.

Jego słowa są jak światło odbijające się na powierzchni wody. Tuż pod tym stwierdzeniem kryje się pamięć o dwojgu ludzi, z którymi oboje chcielibyśmy dzielić ów moment. W uśmiechu Chase’a pojawia się rozrzewnienie – wiem, że myśli w tej chwili o ojcu. Wtulam twarz w jego szyję. Radość miesza się z pokusą, by chwycić za komórkę, zadzwonić do matki i powiedzieć jej, że wychodzę za mąż.

Ta piękna chwila, podobnie jak wiele innych, które przeżyłam od naszej ostatniej rozmowy, ma słodko-gorzki smak i przypomina mi, że życie toczy się dalej, nawet jeśli początkowo nie wydaje się to możliwe. Długie dni zmieniły się w miesiące, a później w rok, a z każdą mijającą chwilą szala przechyla się coraz dalej od tego, co złe, ku temu, co dobre. Choć moja życiowa sytuacja nie była idealna, wykroiłam z niej swój mały kawałek nieba. To musi mi wystarczyć.

Zoey i Aaron w końcu ruszają biegiem ku nam, by dołączyć do grupowego uścisku. Penny skowyczy z radości. Chase odrywa wzrok od majaczącego w oddali punktu, skupiając się znów

na mnie i na obietnicy, którą przed chwilą sobie złożyliśmy.
Na dobre i na złe. Na całe życie. To wystarczy aż nadto.

Podziękowania

Po pierwsze i najważniejsze – zwracam się do Andrew. Byłam w stanie napisać książkę o miłości dobrego człowieka, bo pokazałeś mi, jak ona wygląda. Dziękuję, że pokochałeś mnie tak pięknie. Że stałeś się ciepłym promieniem słońca, docierającym do najmroczniejszych zakamarków mojej duszy. Nigdy nie przestanę się szczytać w ramię, by upewnić się, że wspañiałe życie, które wspólnie zbudowaliśmy, jest prawdziwe.

Na sto tysięcy podziękowań zasłużyła Lea Ann, redaktorka naczelna, profesjonalna kibicka, nocna lektorka tekstów, półprofesjonalna terapeutka i do tego wszystkiego – starsza siostra. Dziękuję, że uwierzyłaś w tę historię i, co jeszcze ważniejsze, w to, że będę w stanie ją opowiedzieć. Bez ciebie nie dałabym rady.

Do mojego wspañiałego zespołu czytelniczek testowych: Amandy, Patrice, Avery, Alexis i Savannah. Dziękuję, że poświęciłyście uwagę moim postaciom i pomogłyście mi w pełni rozwinąć ich potencjał. Dzięki Alexis dopracowałam sceny sesji terapeutycznych, Amanda przysyłała mi esemesy z reakcjami na pikantne sceny, a Patrice pomogła rozwiązać problemy z akcentem Zandera. Jestem winna wam wszystkim nieskończoną wdzięczność.

Nie mogę nie wspomnieć o Lauren, która zaprzyjaźniła się ze mną, zagrzewała mnie do boju i pomogła mi w kwestiach związanych z Bookstagramem oraz stroną internetową. Dziękuję, że pokochałaś tę książkę i szczerze się na nią cieszyłaś. Nicole,

mojej pisarskiej bratniej duszy, dziękuję za to, że zawsze wiedziała, jakie słowo mam na końcu języka, i że wraz ze mną wpatrywała się w ścianę.

Szczególna wzmianka należy się Noahowi Gundersenowi, którego muzyka stała się ścieżką dźwiękową moich czasów studenckich i trudnych lat po nich. Dziękuję za stworzenie hymnów dla każdego mojego zawodu miłosnego, każdej życiowej zmiany oraz pięknej chwili, jakich doświadczyłam.

Do wszystkich czytelniczek: nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam w pełni uzmysłwić wam, jak wiele dla mnie znaczy to, że przeczytałyście moją książkę. To przede wszystkim historia Eden, postaci, którą podziwiam za jej siłę i wytrzymałość. Mam nadzieję, że wy też je w niej pokochałyście. Jednak najtrudniejsze części tej historii zapożyczyłam z własnego życia.

Ta książka to pod pewnymi względami moja opowieść o traumie, którą spisałam w bardzo konkretnym celu. Chciałam jasno powiedzieć każdemu, kto potrzebuje to usłyszeć: to, co cię spotkało, należy do ciebie, a opowiedzenie o tym, choćby tylko sobie samej, daje siłę. Nie jesteś nikomu winna wyjaśnień ani przeprosin za granice, które stawiasz, by móc się uleczyć. Nie istnieje jedyny słuszny sposób wychodzenia z traumy, ale wiedz, że niezależnie od tego, jaką drogę wybierzesz, będę gdzieś dopingować cię ze wszystkich sił. Jesteś warta dobrej miłości, szczególnie tej, którą sama się obdarzasz. Droga czytelniczko, ta historia została stworzona dla ciebie.

**Jeśli doświadczyłaś przemocy seksualnej,
możesz uzyskać pomoc,
dzwoniąc pod numery interwencyjne:
600 070 717 (Fundacja Centrum Praw Kobiet),
888 88 33 88 (Fundacja Feminoteka) lub**

800 120 002 (Niebieska Linia).